REPORTAŻ

Michał Książek

# Jakuck

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Michał Książek

# Jakuck

## Słownik miejsca

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA
Fotografia na okładce © by MICHAŁ KSIĄŻEK

Copyright © by MICHAŁ KSIĄŻEK, 2013
Copyright for the maps © by www.geoservices.pl

Opieka redakcyjna ŁUKASZ NAJDER
Redakcja MAGDALENA BUDZIŃSKA
Korekty SANDRA TRELA / D2D.PL, ALICJA LISTWAN / D2D.PL
Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL
Skład ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-652-5

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Wołowiec 2013
Wydanie I

Skład wersji elektronicznej: MICHAŁ LATUSEK / VIRTUALO SP. Z O.O.

Spis treści


W serii

Dedykacja

Mapy

Jesień 2008

- Mapa
- Słownik języka jakuckiego I
- Słownik języka jakuckiego II
- Słownik języka jakuckiego III
- Nam
- Słownik języka jakuckiego IV

Zima 2008–2009

- Słownik języka jakuckiego V
- Słownik języka jakuckiego VI
- Słownik języka jakuckiego VII
- Słownik języka jakuckiego VIII
- Słownik języka jakuckiego IX
- Słownik języka jakuckiego X

Słownik języka jakuckiego XI

Wiosna 2009

Słownik języka jakuckiego XII

Nam

Słownik języka jakuckiego XIII

Mapa

Epilog. Archeologia widoku

Bibliografia

Podziękowania

Przypisy

W serii ukazały się ostatnio:
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania*
Ewa Winnicka *Londyńczycy*
Lidia Ostałowska *Farby wodne*
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 3 rozszerzone)
Necla Kelek *Słodko-gorzka ojczyzna. Raport z serca Turcji*
Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie*
Jean Hatzfeld *Sezon maczet*
Stig Dagerman *Niemiecka jesień. Reportaż z podróży po Niemczech*
Jerzy Haszczyński *Mój brat obalił dyktatora*
Ed Vulliamy *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy*
Günter Wallraff *Z nowego wspaniałego świata*
Kjetil Stensvik Østli *Policjanci i złodzieje*
Katarzyna Surmiak-Domańska *Mokradełko*
Andrzej Dybczak *Gugara*
Swietłana Aleksijewicz *Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości*
Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 2 poprawione)
Paweł Smoleński *Irak. Piekło w raju* (wyd. 2 poprawione)
Lidia Ostałowska *Cygan to Cygan* (wyd. 2 rozszerzone)
William Dalrymple *Dziewięć żywotów.*
*Na tropie świętości we współczesnych Indiach*
Mateusz Marczewski *Niewidzialni* (wyd. 2 poprawione)
Lidia Ostałowska *Bolało jeszcze bardziej*
Igor T. Miecik *14 : 57 do Czyty. Reportaże z Rosji*
Marcin Kącki *Lepperiada*
Peter Hessler *Przez drogi i bezdroża. Podróż po nowych Chinach*
Dariusz Rosiak *Człowiek o twardym karku.*
*Historia księdza Romualda Jakuba Wekslera-Waszkinela*
Peter Godwin *Strach. Ostatnie dni Roberta Mugabe*
Elisabeth Åsbrink *W Lesie Wiedeńskim wciąż szumią drzewa*

Swietłana Aleksijewicz *Ostatni świadkowie.Utwory solowe na głos dziecięcy*
Andrzej Muszyński *Południe*
Wojciech Górecki *Abchazja*
Katarzyna Kobylarczyk *Pył z landrynek. Hiszpańskie fiesty*
Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa*
Emma Larkin *Spustoszenie. Nieopowiedziana historia o katastrofie i dyktaturze wojskowej w Birmie*
Norman Lewis *Grobowiec w Sewilli. Podróż przez Hiszpanię u progu wojny domowej*
Gellert Tamas *Mężczyzna z laserem. Historia szwedzkiej nienawiści*
Angelika Kuźniak *Papusza*
Peter Robb *Sycylijski mrok*

W serii ukażą się m.in.:
Luca Rastello *Przemytnik doskonały. Jak transportować tony kokainy i żyć szczęśliwie*
Stefano Liberti *Na południe od Lampedusy. Podróże rozpaczy*

Dla Jasi

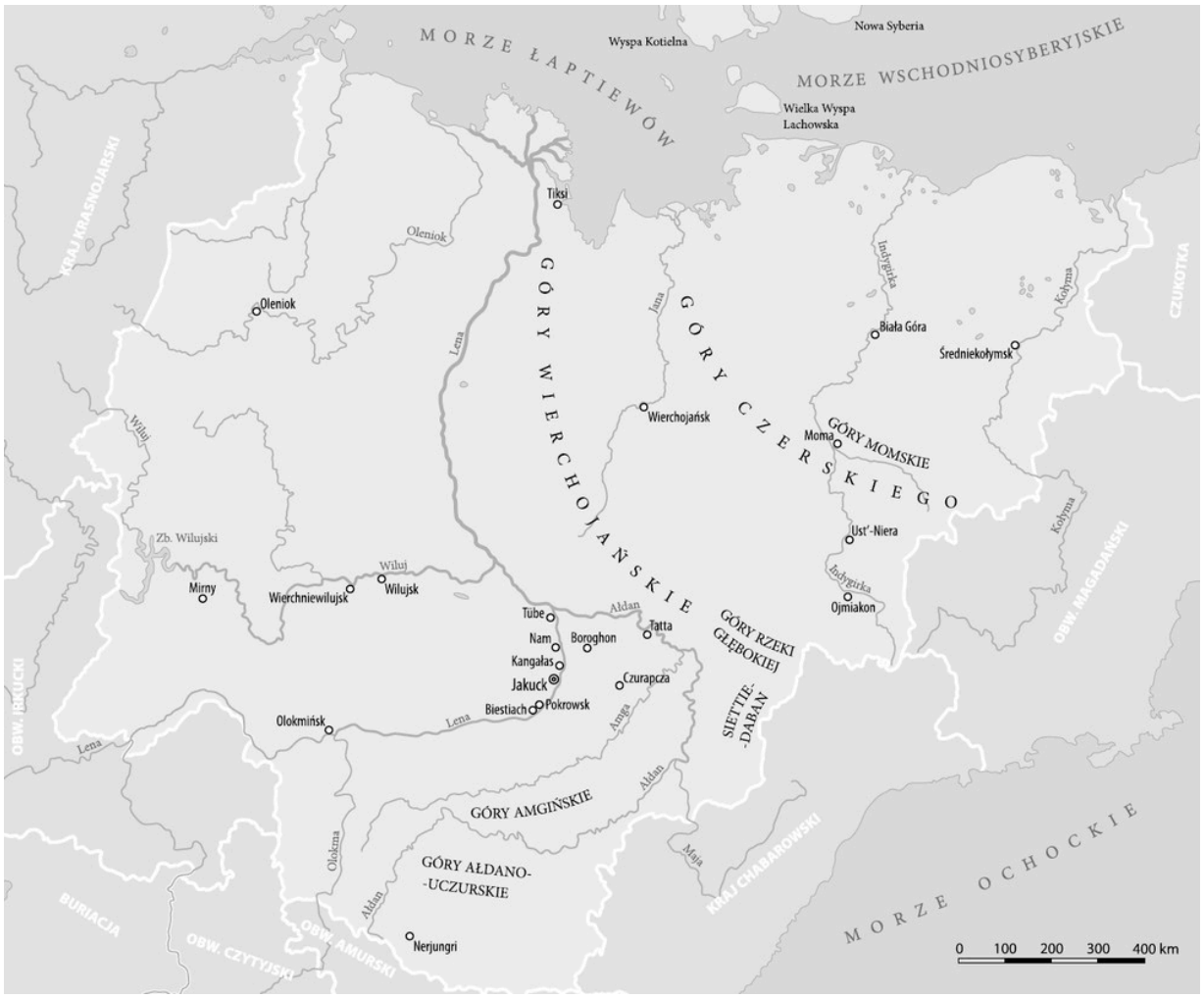
MORZE ŁAPTIEWÓW
Wyspa Kotielna
Nowa Syberia
MORZE WSCHODNIOSYBERYJSKIE
Wielka Wyspa Lachowska
KRAJ KRASNOJARSKI
Tiksi
Oleniok
Oleniok
Lena
GÓRY WIERCHOJAŃSKIE
Jana
GÓRY CZERSKIEGO
Indygirka
Kołyma
CZUKOTKA
Biała Góra
Średniekołymsk
Wierchojańsk
GÓRY MOMSKIE
Moma
Wilui
Zb. Wilujski
Mirny
Wierchniewilujsk
Wilujsk
Wilui
Ust'-Niera
Kołyma
Indygirka
Ojmiakon
OBW. MAGADAŃSKI
Aldan
Tatta
GÓRY RZEKI GŁĘBOKIEJ
Tube
Nam
Boroghon
Kangałas
Jakuck
Czurapcza
Biestiach
Pokrowsk
Olokmińsk
Lena
Amga
SIETTE-DABAN
OBW. IRKUCKI
Lena
Aldan
GÓRY AMGIŃSKIE
Olokma
GÓRY AŁDANO-UCZURSKIE
Aldan
Mgia
KRAJ CHABAROWSKI
MORZE OCHOCKIE
BURIACJA
OBW. CZYTYJSKI
OBW. AMURSKI
Nerjungri
0 100 200 300 400 km

Popowa
Świerdłowa
Dzierżyńskiego
Gubina
Chabarowa
Lena
Kriestiański
Lermontowa
Aleksiejewa
Kuraszowa
Pojarkowa
Korolenki
Kirowa
plac Ordżonikidzego
muzeum krajoznawcze (d. monastyr Zbawiciela)
kinoteatr Centralny
Ordżonikidzego
Lenina
jez. Tałe
Wiłujska
Czajkowskiego
Piotrowskiego
Oktiabrska
plac Lenina
Ammosowa
Czernyszewskiego
Puszkinka
Jarosławskiego
Krużało
cerkiew Przemienienia
Czechowa
Kalandariszwilego
Ojuńskiego
Zirkowa
Kułakowskiego
Krupskiej
Bielińskiego
Łog
Zielony Ług
uniwersytet
Czepałowa
Lenina
Załog
jez. Sajsary
Dzieżniowa
cerkiew Bogurodzicy
Czernyszewskiego
Wyspa Jesiotrowa
0 250 500 1000 1500 m

# Jesień 2008

# Mapa

Centralna Jakucja, czyli międzyrzecza Wiluja, Leny i Ałdanu, wygląda na mapie jak manowce na końcu świata. Od północy i wschodu zamyka ją klamra szczytów Gór Wierchojańskich, Gór Rzeki Głębokiej i Wielkiej Przeszkody, od południa Grzbiet Dygdy, wierchy Gór Amgińskich i Ałdano-Uczurskich, od zachodu Płaskowyż Przyleński i Wilujski, spod którego wycieka Wiluj. Rzeki jakuckich manowców przypominały zesłanemu tu Wacławowi Sieroszewskiemu bujną koronę drzewa, które pniem Leny uchodzi na północ, póki korzeniami delty nie wrośnie w Ocean Lodowaty. Jak mityczny modrzew w *allaraa dojdu*, podziemny świat z wierzeń Jakutów. Gałęzie drzewa – idąc za spojrzeniem pisarza – okalają łańcuchy górskie, pod których naporem konary rzek wpadają do Leny. Tylko dzikie witki Olokmy i Witimu kpią sobie z gór i wyrzynają w nich głębokie doliny. A górna Lena zgrabnym pędem wywija się łańcuchom, wytyczając uczęszczaną od paleolitu drogę z Bajkału na północ.

Ja zaś widzę w jej zlewni poroże starego renifera, co ma łeb wielki jak Morze Łaptiewów i wieńcem zaplątał się w zwojach poziomic. W gardzieli szerokości cieśnin Sannikowa i Łaptiewa razem wziętych utknął mu gigantyczny kęs chrobotka rozmiarów Wielkiej Wyspy Lachowskiej. Dalej szeroka szyja i kłąb rozciągają się jak Morze Wschodniosyberyjskie aż po ujście Kołymy i Czukotkę. Byk tratuje północne niebo, galopując do góry nogami, i zabiera się do pożarcia Tajmyru. Żeby jednak zobaczyć go na mapie Jakucji, trzeba parę razy samemu obudzić się z reniferową tyką między żebrami albo mieć mapę sięgającą siedemdziesiątego drugiego stopnia szerokości północnej.

Zaciszną tajgę w środkowym dorzeczu Leny wybrali na swoją ojczyznę Kurykanie, praszczurowie Jakutów, kiedy zaczęli docierać tu znad Bajkału setki lat temu. Czy gnały ich czambuły Czyngis-chana, ciekawość, czy zaraza, nie wie dziś nikt. Nad Leną koczowali już wówczas Tunguzi, protoplaści Ewenów i Ewenków. Gospodarze nazwali przybyszów *Jaakoo*, od

którego blisko już do „Jakut”. Eweński historyk i etnograf Anatolij Afanasjewicz Aleksiejew uważa, że to od pytania „Jeko?”, czyli „Kto to?”. Słowo „Jakuci” można by więc zgodnie z tą tunguską teorią przetłumaczyć jako: „Co to za jedni?”, lecz większość badaczy wywodzi określenie „Jakut” od staroturecki*ego jaka* – brzeg, skraj. *Jaka*, czyli ci, którzy mieszkają na skraju[1].

Podobnie nazywali Jakutów Jukagirzy, jedyni prawdziwi autochtoni dorzecza Leny, bo wywodzący się jeszcze z miejscowych ludów neolitycznych. Na północ wyparli ich właśnie wojowniczy Tunguzi, którzy przybyli tu z południa. Historia Tunguzów to jedna wielka kpina z przestrzeni, a ich język przechowuje takie słowa jak „nie bać się dalekich odległości”. W Górach Wierchojańskich żywioł tunguski i jukagirski zlały się jak Ałdan z Leną. W ten sposób powstał nowy naród – Eweni, zwani Lamutami, tak często przez podróżników i reporterów myleni z Ewenkami.

Echa spotkania Praewenków z Prajakutami przetrwały w jakuckich eposach *olongcho*. W jednym z nich jakucki bohater zmaga się z wojownikiem mieszkającym w tajdze, ubranym i uzbrojonym jak Tunguz. Jakuci, pasterze koni i bydła, zwarli się z Tunguzami, myśliwymi i hodowcami renów. Ci pierwsi zajmowali nadrzeczne łąki *kytył* i jeziorne polany *alaas*, pozbawiając Ewenków rybackich toni. Potrafili nie tylko osuszać jeziora, ale i wypalać tajgę pod nowe wygony, sprawiając, że ginęły jagielniki, czyli pastwiska renów porośnięte chrobotkiem. Pasterze reniferów uciekali więc w góry, gdzie mieli zwierzynę, chrobotka i ulubiony święty spokój.

Jako ostatni przybyli kozacy, którzy o Jakutach i ich wielkiej rzece dowiedzieli się od zachodnich Tunguzów, gdy dotarli nad Jenisej w początkach XVII wieku. Nic więc dziwnego, że pierwsze carskie dokumenty mienią Jakutów *Jakolskimi ludmi* bądź *Jakolcami* (właśnie od tunguskiego *Jaakool*). Potem była nazwa „Jakuck”, stąd zapewne Jakucja, wówczas Lenskij kraj. O sobie wolą Jakuci mówić *Sacha*, co w ich języku oznaczało też „człowiek”. Rosjanie zaś nazywają ich Jakutami i mają własną, choć wielce podejrzaną etymologię określenia „Jakut”. Rosyjskie *ja* i jakuckie *kut* można od biedy przetłumaczyć jako „ja częstuję, zapraszam”. Miałyby to być pierwsze słowa, którymi *Jakolcy* powitali tu kozaków. Jednak etymologia sklecona niedbale i w duchu sowieckiej przyjaźni narodów nikogo nie przekonuje. Tym bardziej że żadnych zaprosin nie było.

# Słownik języka jakuckiego I

## *Balaghan yja*, miesiąc domu – wrzesień

*Balaghan* po jakucku oznacza dom, a dokładniej solidną chatę w kształcie ściętej piramidy o ścianach z bierwion stawianych na sztorc i pochylonych do środka. Stiepan Konstantynowicz Kołodieżnikow, nauczyciel języka jakuckiego na tutejszym uniwersytecie, twierdzi, że nazwa miesiąca pochodzi od prac związanych z przygotowaniem domu do wielkich mrozów. To we wrześniu Sacha obrzucali drewniane jurty krowim nawozem i ogacali ziemią, a z pierwszymi chłodami zamiast muskowitu czy byczych pęcherzy w okna wstawiali tafle lodu. Mieszkający w tajdze myśliwi i pasterze półdzikich tarpanów robią tak do dziś. *Słownik języka jakuckiego* autorstwa Edwarda Piekarskiego – wyrocznia jakutologów – potwierdza, że nazwa związana jest z okresem powrotów z letnich pastwisk i sianokosów do zimowych balaghanów.

## Pierwszy dzień miesiąca domu

Jest dziesięć razy większa od Polski, a w swoich granicach pomieściłaby aż pięć Francji, sto państw wielkości Belgii, siedemdziesiąt cztery Holandie czy blisko pięćdziesiąt Litw. Czyli tak wielka, że Jakuci muszą używać aż trzech rodzajów zaimka „tam”. Chociaż z północy na południe Jakucja ma dwa tysiące kilometrów, a ze wschodu na zachód trzeba dodać jeszcze trzysta, to więcej tu zwierząt niż ludzi. A na wschód prowadzą zaledwie dwie drogi. Nie dość, że donikąd, to jeszcze nie zawsze przejezdne. Ta z Amgi do Jakucka to fragment starego szlaku pocztowego nad Morze Ochockie, druga to M-56, czyli osławiona Kołyma. Wiedzie do Magadanu i prosto w fabułę opowiadań Warłama Szałamowa.

Trakt z Amgi do Jakucka, wyjąwszy wiosenne roztopy i powodzie, jest dostępny cały rok. Miejscami tak wąski, że trudno go znaleźć, miejscami szerszy, że starczy akurat na dwa mijające się UAZ-y. Wraz z siecią tajgowych duktów łączy z Jakuckiem jeden posiołek[2] i parę wsi rozrzuconych na terytorium wielkim jak Pomorze. Po godzinie drogi z Amgi zahacza o kilka chatynek z tabliczką „Emissy", po następnej mija domek i napis „Byrama", po upływie kolejnych dwóch dociera do dużej wioski Maja, gdzie zaczyna się asfalt i skąd już tylko sześćdziesiąt minut do Leny. Gdzieś głębiej w tajdze pozostały jeszcze Altan, Butejdech, Suola, Abagha i Teligi. Mowa o Zarzeczu, które obok ułusu[3] Nam jest najgęściej zaludnioną częścią Jakucji.

Nikt w jakuckich wioskach nie używa rosyjskiej nazwy „Jakuck" ani nawet jakuckiej „Dżokuuskaj". Stolicę wszyscy nazywają *kuorat* – „miasto" – i każdy wie, o które miejsce chodzi. Pomylić się trudno, bo innego takiego miasta w Jakucji nie ma. Jest co prawda Nieriungri, ale Jakuci nie uważają go za swoje, bo mieszkają tam głównie Słowianie. Można wspomnieć o Mirnym, lecz tak naprawdę jest osadą kopaczy diamentów zagubioną w tajdze. Jest też kilka rozległych wsi o statusie miast, są to jednak tylko drewniane osiedla, niektóre hen za kołem polarnym. Często nie prowadzi do nich żadna stała droga i z trudem naliczyć w nich można więcej niż kilka czy kilkanaście tysięcy mieszkańców. Na określenie *kuorat* zasługuje tylko Jakuck. Tak mówią nad Indygirką w Ojmiakonie, nad Morzem Łaptiewów i nad Wilujem. Nic dziwnego zatem, że w jakuckim istnieje czasownik *kuorattaa*, który znaczy tyle, co „jechać do miasta". Do Jakucka oczywiście.

W jego kierunku przestrzeń gęstnieje nieubłaganie. Za oknem UAZ-a coraz więcej ścieżek, śladów kół i tropów ludzi. Między nimi czernieją kleksy moczu i oleju. Widać, jak krzepną powoli kolory, w Amdze jeszcze rozmyte przez odległości. Jednocześnie śmieci zostawione przez podróżnych wnoszą w widok niespotykane w tajdze barwy. Razi głównie czerwień, której plamy w jakuckim borze oglądać można rzadko: gdy gołębiarz rozerwie sójkę, wilk konia albo obficie obrodzą brusznica z poziomką. Za kolorami pojawiają się dźwięki. W gospodzie pod wsią Byrama tłumek podróżnych rozprawia o drodze, błocie i o przeprawie starym promem przez cztery tysiące czterysta kilometrów wody. Na szczęście nie wzdłuż, tylko w poprzek.

Z lewego brzegu Leny *kuorat* ledwo widać, bo to dziesięć kilometrów, z mostu nie widać w ogóle, bo jeszcze go nie zbudowali. Dopiero płynąc

promem, można zacząć odróżniać kształty bloków i kominy. Sto lat temu Jakuck od strony rzeki to była ciemna krecha, tylko trochę grubsza niż horyzont. W miarę przybliżania się transfigurowała w domy, saraje[4], cerkwie. Nad dachami unosił się pył, w którym miasto ginęło jak w chmurze. Wyglądu fatamorgany przydawały mu też dymiące śmietniska rozrzucone pierścieniem wokół zabudowań. W stolicy często panowała dyzenteria, więc w ciepłe dni fetor z przepełnionych wychodków czuć było aż na przystani. Już wtedy mieszkało w Jakucku dziesięć procent wszystkich Jakucjan[5], dziś żyje tu niemal co trzeci z nich. A miasto przyciąga jak dawniej. Każdy chce znaleźć się w centrum. W środku.

## Lermontowa

Nasze miejsce w Jakucku leży wysoko: na ósmym piętrze nowego wieżowca przy ulicy Lermontowa. Okna małego pokoju wychodzą na wschód, widać z nich blokowiska między ulicami Piotrowskiego i Kalandariszwilego, a dalej Lenę, której bieg powtarzają główne ulice miasta: Lenina, Jarosławskiego, Ordżonikidzego i pobliska Lermontowa. Okna kuchni i dużego pokoju wyglądają na zachód i jak na razie można oglądać z nich plac zabaw w dole, a u góry łańcuch wzgórz i niebo. Wszystko to mocno skadrowane przez dwa dziesięciopiętrowce. Jak na razie, bo naprzeciw powstaje trzeci wieżowiec, którego kolejne piętra zasłaniają już widok tak, że nieboskłon lada tydzień oprze się na ostatniej kondygnacji.

Grubą linę horyzontu widać tutaj cały czas. Za miastem towarzyszy wszędzie; jak ścieżka, którą się idzie, i nic jej nie zasłania. Przekreśla widok na pół na wysokości powiek. Żeby pamiętać, że coś za nią jeszcze jest, i nie zwariować, powiesiłem w kuchni na ścianie wielką mapę Jakucji. Dzięki niej nie ulegam złudzeniu, że otacza nas pustka, gigantyczne nic. Proszę bardzo: na północny wschód stąd są Jana, Kołyma i Ojmiakon, za nimi Morze Ochockie i Kamczatka. Na zachód rzeka Wiluj i miasteczko Mirny z kopalnią diamentów, Dolna Tunguzka z meteorytem, a dalej Jenisej i Nizina Zachodniosyberyjska. Czyli ogromne pustacie, ale przecież nazwane. Otaczają nas nazwy.

A po drugiej stronie Lermontowa ciągnie się szereg *dieriewiaszek*, czyli drewnianych piętrowych baraków pod eternitem z toaletami na dworze. Za

jedną kilka lat temu przewrócił się płotek oddzielający dom od chodnika. Teraz obok już czwarty dzień rozkłada się potrącony pies. Tuż pod oknami - mieszkańców parteru.

– *Prostitie*, mieszkam obok. Może go zakopiemy? – Zdybałem jednego.

– A gdzie ty mieszkasz?

– Tu. Na ósmym.

– I z tej wysokości ci przeszkadza? – odparł szczerze zdziwiony.

## Siódmy dzień miesiąca domu

W sklepie na dole już tylko ryży kocur reaguje na moje „*Dobryj dień*". Wpatruje się przez szybę w schaby, combry i polędwice, umilając sobie czas polowaniem na myszy. Gryzonie teraz intensywnie szukają miejsca na zimę. Dwie okazałe sklepowe moje „*Zdrawstwujtie*" przyjmują obojętnie, jakby chciały powiedzieć: „Znamy się?". A ja wciąż zapominam i powtarzam to infantylne powitanie. Dwie zmęczone życiem Słowianki w średnim wieku, ze śladami zaawansowanej maskulinizacji. Ostatnio jakoś bardziej wyluzowane. Pewnie dlatego że spłonął sąsiedni sklep, który był ich jedyną konkurencją w okolicy. To jasne, że w niejasnych okolicznościach.

Maskulinizacja dopada wiele kobiet w mieście na końcu świata. W mieście, które ze wszystkich leży najbliżej pustki. Zdaje się, że mężnienie zaczyna się od spojrzenia, potem tężeje głos, wagi nabierają chód i gesty. W końcu postura staje się całkiem męska: rozwijają się barki i mięśnie ramion. Całości dopełniają mocne jak u dalniebojszczika[6] dłonie. Nie oszczędza ani Słowianek, ani Jakutek. Może wynika z tego, że samotne kobiety, zmuszone odgrywać rolę mężczyzn, po latach przejmują ich cechy? W 2007 roku liczba rozwodów w Jakucku zrównała się z liczbą zawartych małżeństw.

To zmężnienie najbardziej wyraża się chyba w spojrzeniu. Zmęczonym, odważnym, ale niechętnym klientowi. Może cudzoziemcowi? Bywa, że przy ladzie czuję się jak piąte koło u wozu. Albo *natowskij szpion*, wrogi *razwiedczik*. Nie masz drobnych? To nie zawracaj głowy. Idź se najpierw rozmień, potem kupuj.

## Miejsce

Są słowa, które powinien znać każdy, kto chce w Jakucku spędzić zimę. Albo zamieszkać tu na dłużej. Ale nie ma słownika, w którym można je wszystkie znaleźć.

*Balaghan* – zdaniem autorów leksykonu Iz istorii ruskich słow jakuckie słowo balaghan jest rzeczownikiem tunguskim i oznacza dom albo szałas myśliwski. Miejsce życia. U Czukczów balaghan to nazwa małego namiotu, który rozpina się w jarandze[7], by mąż i żona mogli pobyć na osobności albo by dzieci zagrzały się w czasie purgi[8]. U Nieńców to kotara oddzielająca w czumie legowisko od ognia. W XVII wieku kozacy i ruscy pionierzy przejęli ten rzeczownik jako synonim nieporządku i nędzy. Od początku XVIII wieku balaghanami nazywano na Rusi objazdowe teatry, które dawały przedstawienia dla jarmarcznej gawiedzi. W jakuckim to słowo do dziś znaczy dom i określa wrzesień. W rosyjskim silnie związane jest z lichą budą, nieporządkiem i brzmi *bałagan*. W takiej formie przejęliśmy je od Rosjan.

*Kuorat* (z ros. *gorod*) – miasto, Jakuck, synonim miejsca i zarazem miejsce najważniejsze. Nie tyle stolica, ile antynomia przestrzeni. Zaprzeczenie pustki, która jesienią jakoś bardziej dojmuje. Może dlatego że modrzewie zrzucają igły, wierzby liście i widok staje się ażurowy? Tylko z miejsca widać, jak nic je otacza i prześwituje przez korony, pędy i krótkopędy niskich drzew.

*Kystyk* – bezpieczne i ciepłe miejsce, gdzie można przeczekać zimę. Ludzie zimują przy kaloryferach i piecach. Wiewiórki, rosomaki i wilki – w tajdze. Motyle umierają, ale tak jak inne owady mają dziwną ontologię: zimę przeczekują w postaci jaja albo poczwarki. Słońce, podobnie jak ptaki i *wriemienszczyki*[9], zimuje gdzieś na południu. Ale największym jakuckim kystykiem jest stolica. Mieszka tu dwieście czterdzieści tysięcy ludzi, a zimuje dużo więcej, bo w najsroższe mrozy przyjeżdżają krewni z drewnianych, niedogrzanych ułusów.

## Zimowisko

Wystarczy spojrzeć za okno, by się przekonać, że to miesiąc domu: temperatura spadła poniżej zera i mieszkańcy Jakucka biorą się do uszczelniania. Stare okno w bloku najlepiej zabić na głucho, a jeżeli jest duże, można zastawić materacem. Drewniane drzwi w stuletnim domku na osiedlu Załog koniecznie trzeba obić filcem, nada się też wiekowy płaszcz. Okna na poczcie i w sklepie dobrze jest uszczelnić pakułami bądź watą. Ciepłe gniazda w rozdzielniach rur ciepłowniczych moszczą już sobie myszy i nieliczni bomże[10], którzy cudem przeżyli poprzednią zimę. Przygotowują się też studenci w akademikach, kierowcy w samochodach i susły *Spermophilus parryii* w norkach na pastwiskach za miastem. Pluskwy wciskają się głębiej w fotele i za kołnierze swoich gospodarzy. Karaluchy walą hurmem ze strychów i piwnic do kuchni i za kaloryfery. Służby miejskie ku radości wróbli i mazurków szalikiem z pianki owijają rury ciepłownicze: za zwojami izolacji, przytulone do rury z ciepłą wodą, ptaki będą mogły przetrwać minus pięćdziesiąt pięć stopni. Nie sposób nie pomyśleć też o dziewięćdziesięciu tysiącach niedźwiedzi, które zamieszkują Republikę Sacha i właśnie włażą do gawr.

Najwięcej jakucjan zimuje w blokach, głównie w *kapiedieszkach*, czyli czteropiętrowych prostopadłościanach z wielkiej płyty, które tworzą zasadniczą topografię miasta. Reszta tłoczy się w jednopiętrowych dieriewiaszkach i starych, drewnianych, nierzadko stuletnich domach. Bloki od chałup różni nie tyle budulec, ile kibel i woda: kapiedieszki są *błagoustrojennyje*, czyli wyposażone w kran i sedes. Mieszkańcy modrzewiowych i sosnowych chałup wychodki mają na zewnątrz, w klimacie kontynentalnym, wodę zaś wytapiają z lodu, który wraz z drewnem składują w pryzmach na podwórku. Zdarzają się też „dieriewiaszki cz/b”, czyli częściowo *błagoustrojennyje*, z bieżącą wodą pod dachem, ale wychodkiem pod niebem. Ich stuletnie ściany poza rodzinami Popowów, Iwanowów i Pietrowów zamieszkują też rodziny kózkowatych, kołatkowatych i drwionkowatych. Karaczanowate (do których należą karaluchy) można spotkać zarówno na betonowych osiedlach, jak i w drewnianych chałupach. Ba, nawet na ulicy. Do ważnych mieszkańców Jakucka należą też rodzina molowatych i małe

chrząszcze *Attagenus*. Domem jednych i drugich są skórzane szuby, czapki i rękawice, którymi się żywią. Zjadają więc własne miejsce, by żyć.

Pośród dwunogich mieszkańców największej kropki na mapie Jakucji można spotkać budowniczego Trasy Kołymskiej, który siedział z Szałamowem, wydziaranego urkagana[11], co brał udział w chóralnych gwałtach[12] i wojenkach z sukami[13], w końcu sędziwego strażnika z łagru, który ma na sumieniu niejednego zeka. Na bazarze natkniesz się też na potomków polskich zesłańców z czasów carskich, którym zostało już tylko nazwisko, albo tych z czasów stalinowskich, którzy poza nazwiskiem zachowali jeszcze rysy dziadków. W żadnym innym mieście na kontynencie nie ma zapewne tylu łowców niedźwiedzi, poszukiwaczy złota i mamuciej kości, którzy znaczną część życia spędzili na bezdrożach subekumeny. Tropicieli, pasterzy renów i wagabundów różnej maści, mówiących ginącymi językami i wierzących w postaci z eposów, których nikt nigdy w całości nie spisał. Wreszcie zwykłych ludzi, którzy wspominając zmarłych, podają niezwykłe przyczyny ich śmierci: ten zginął w strzelaninie, tamtego zjadł niedźwiedź, ów wpadł kamazem pod lód Leny, inny zginął w walce z rannym rosomakiem. Ale też przyjezdnych wriemienszczików, którzy traktują Jakuck jak zakład pracy i po półrocznej harówie na budowie czy za kierownicą autobusu wracają do Duszanbe, Taszkentu, Osza bądź Erywania. Przyjezdni mają swoje kystyki na dalekim Kaukazie, w Kotlinie Fergańskiej albo nad Morzem Kaspijskim.

## Miejsce

W języku Sacha istnieje kilka słów, których desygnatem jest miejsce bądź jakaś jego istotna hipostaza. Jakuck, *kuorat*, zawiera w sobie po trosze sensu każdego z nich.

> *Oron* – oznacza miejsce do spania, legowisko, ale też po prostu miejsce. W tym ogromnym kraju, gdzie zima trwa większą część roku, do niedawna miejsce utożsamiano z noclegowiskiem. Miejsce, ważna kategoria porządkująca przestrzeń, było tu przede wszystkim punktem postoju i odpoczynku. Ciekawe są wariacje tego starego rzeczownika w innych językach ałtajskich, a więc zbliżonych do jakuckiego: po bu-

riacku *oron* oznacza miejsce do spania, ale też kraj, czyli miejsce zamieszkania narodu. Podobnie jest w mongolskim.

*Sir* – miejsce w znaczeniu potocznym, najczęściej dziś używanym. Miejsce zamieszkania. Miejsce wyrąbywania lodu na rzece. Także podłoga. Okolica. A nawet Ziemia.

*Sir* może oznaczać legowisko pod modrzewiem, ale i obszerny kawał tajgi. Być może właśnie dlatego w jakuckim nazwa wioski często brzmi tak jak określenie całej doliny, uroczyska czy źródlisk rzeki? Od słowa *sir* pochodzi jakuckie *sirdżit*, czyli tropiciel. Jakucję zaś nazywają Jakuci *Sacha Sire*, dosłownie: Miejsce Sacha.

*Uhuk* – ostrze, ale także czubek noża, grot włóczni, szpic igły. Czyli koniec (ostrego narzędzia). Miejsce, w którym wszystko się zbiega, miejsce, które skupia w sobie to, co najważniejsze. Jest pewnego rodzaju centrum i nierzadko okazuje się początkiem. *Uhuk* słychać w czasowniku *uhuktabyn*, to jest „budzę się”. Jak po ukłuciu światłem, chłodem czy dźwiękiem. Z umysłem jasnym i skoncentrowanym. By się zaś skoncentrować, trzeba znaleźć centrum, swoje *uhuk*. I pobyć w nim trochę.

## Zielony Ług

Na mapie jest punktem, wytłuszczoną kropką, ale jeśli spojrzeć z Wyspy Jesiotrowej albo chociaż z brzegu rzeki, Jakuck wyciąga się w linię Leny i bardziej przypomina odcinek, a więc część drogi, niż punkt, czyli miejsce. Jego ulice powtarzają bieg Leny, bo od początku swej historii miasto żyje rytmem rzeki: przyśpiesza na wiosnę i zastyga w zimie. Główny nurt Babci – jak mówią o niej Jakuci – płynie na wschód od miasta, za wyspami Jesiotrową i Wierzbową, szeroki na jakieś dwa kilometry. Jednak kiedy wzbiera siecią przetok zwanych wnukami, podchodzi aż pod ulicę Czernyszewskiego, która asfaltową wstęgą biegnie nabrzeżem, wyznaczając wątłą granicę pomiędzy miejscem a pustką. Z wysokiego brzegu przyświeca Babci świecznik dziesięciu kopuł soboru Przemienienia Pańskiego i złoty krzyż na pomniku Pietruchy Bekietowa, założyciela miasta. Świątynia, krzyż

i słońce iluminują widok tak mocno, że zieleń wierzbowych listków już za chwilę zamieni się w żółcień.

Wyschnięte po lecie łono Babci, pełne łąk i wierzbowych zarośli, to wyborne miejsce odpoczynku dla migrujących na południe ptaków i dla mnie. Częścią leżącą najbliżej miasta jest wielki jak trzy stadiony Zielony Ług. Wróblaki i gęsi muszą tu uważać na jastrzębie i sokoły wędrowne, ja – na głębokie starorzecza i pierwsze fale przyboru. Jesienią przychodzi równie niespodziewanie co ptaki, tyle że z południa, i rok w rok odcina od lądu pastuchów wypasających na wyspach konie, zaskakuje na łachach skacowanych myśliwych. Bywa, że wnuczek Leny, szeroki na skok, po godzinie zamienia się w strugę, którą trzeba przebyć wpław. Lada dzień woda wypełni niemal całe łożysko, lada tydzień zamarznie. Będzie można samochodem przeprawiać się po lodzie na wschodni brzeg zwany Zarzeczem. Marszrutki tratują Lenę aż do maja, póki wyjeżdżone koleiny nie zamienią się w przeręble, w których jak co roku coś lub ktoś utonie. Pierwszy most ma powstać za pięć lat.

Ostatniego dnia kwietnia szliśmy przez rozkisłą rzekę na drugi brzeg z Walerym Aleksiejewiczem, cieślą z Wilujska. Dostał fuchę przy budowie domu we wsi Maja na wschodnim brzegu i bał się wsiąść do jednej z marszrutek, które mimo szlabanów i zakazów milicji wciąż przeprawiały się przez lód. Poznaliśmy się na brzegu i ruszyliśmy: ja z lornetką na szyi i duszą na ramieniu, on z torbą pełną sprzętu ciesielskiego i piwa. Porowaty jak stary pumeks lód to chrupał, to chlupał nam pod stopami, przykryty śniegiem i wodą. Wiosenne światło lało się z nieba jak z kufla, ściekało po oczach do gardła, a my łykaliśmy je haustami, zapijając piwem z zapasów cieśli. Cicho mijali nas podobni nam przechodnie, podpowiadając, którędy bezpiecznie iść, dużo głośniej zaś dzikie gęsi, pokazując, gdzie północ, i migając w lustrach wody jak światełka. Odprowadziłem cieślę pod Biestiach, posiołek na przeciwległej stronie, a sam wróciłem po śladach, wdrapałem się na stromy brzeg Wyspy Jesiotrowej i z odległości kilometra wyglądałem starego Jakucka wojewody Piotra Piotrowicza Gołowina.

W pobliżu soboru Przemienienia Pańskiego, w miejscu, gdzie poznałem cieślę, czterysta lat temu ląd sięgał w rzekę cyplem nazywanym Tabagha. Wojewoda Piotr Gołowin zbudował tam warowny gród, który po dwudziestu latach połknęła Lena. Często wracam na brzeg, by samemu się przekonać, czy rzeczywiście nic z niego nie zostało. Znaleźć tam można jednak

tylko kłody dwustuletnich modrzewi, ale te rzeka przyniosła z południa albo zwieźli je robotnicy wyburzający domy pod budowę pobliskiej ulicy Czernyszewskiego. Tabaghę zmyła woda, a kolejny wojewoda – Iwan Wasiljewicz Prikłoński – w 1681 roku przeniósł ostróg w głąb lądu. Jednak już z podgrodzia, które powstało w sąsiedztwie warowni Gołowina, rozwinął się dzisiejszy Jakuck.

Jeśli wespniesz się na brzeg z miejsca, gdzie kiedyś stała warownia, wyjdziesz naprzeciw świątyni Przemienienia Pańskiego. Nabrzeżem można iść stąd na północ, czyli w prawo, w stronę byłego monastyru Zbawiciela, można i na południe, znaczy w lewo, w kierunku Załogu. Warto jednak chwilę postać, bo tu znajduje się początek, a może i środek Jakucka. Cerkiew wznosi się pomiędzy uliczkami Kirowa i Ammosowa, biegnącymi w głąb miasta, gdzie wraz z arteriami Lenina i Jarosławskiego wycinają z przestrzeni kwadrat placu Lenina. Na miejscu drewnianej poprzedniczki świątyni płonie ogień ku pamięci krasnoarmiejców, którzy ją podpalili. Na prawo od cerkwi, tuż za Ammosowa, stoi pięciobok Krużała, czyli odrestaurowanych jakuckich Sukiennic. Wszystko to na tle zwartego szeregu bloków, olbrzymiego parkanu z betonu i blachy. Jakuck jakiś taki wystraszony chowa się za nim. Na mapie wygląda dużo pewniej.

## Słówka

*Kiin* – najpierw oznaczało pępek, teraz także środek, centrum. Czyli Jakuck. Stolica po jakucku to *kiin kuorat*, dosłownie: miasto-pępek.

Opisując widok, Jakuci często odwołują się do porównania z częściami ciała – górny bieg rzeki to jej głowa, występ na stoku to wątroba wzgórza, łagodne wzniesienie nad rzeką to jej brew. A lesisty podłużny cypel to *tumus*, czyli morda, nos, dziób. Pępek zaś jest środkiem.

*Köstüü* – widok. W interiorze Jakucji kategoria równie ważna jak droga, miejsce, punkt. Środek, peryferie, dal. Początek i koniec. Dopóki ma się przed oczami widok, dopóty nie można się zgubić. Daje wrażenie panowania nad terytorium, podobnie jak mapa. Widok, zbiór wielu małych, efemerycznych miejsc, jest jakąś antynomią przestrzeni, choć

pozorną, bo kiedy już w niego wejść, okazuje się pusty i niezamieszkany. Zresztą można go zobaczyć tylko za dnia.

*Tuhach* – stalowa pętla na zające, którą myśliwi stawiają na zajęczych ścieżkach. Nieświadome zwierzaki wpadają w *tuhach* i próbując uciekać, same się duszą. Dla mnie *tuhach* to linia widnokręgu wokół Jakucka. Granica spojrzenia, ale też czarna *curva*, która często doskwiera, niepokoi i przeszkadza.

## Kozacy

Cudzoziemcy i nieliczni turyści dziwią się, czemu pomnik nad Zielonym Ługiem postawiono kozackiemu sotnikowi Piotrowi Bekietowowi, skoro stary Jakuck założył wojewoda Gołowin. Otóż Gołowin przybył nad Lenę dopiero w roku 1641, Bekietow zaś już w 1632. Przed nimi, w 1631 roku, był tu jeszcze Iwaszko Gałkin. Ale żaden z tej trójcy nie był pierwszy.

Jakucję zdobywał dla cara Polak Antoni Dobryński. Działał na polecenie innego Polaka – Samsona Nowackiego. To Dobryński zbudował pierwszy umocniony punkt na ziemi Jakutów, który jednak z racji małych rozmiarów i krótkiego żywota nie został uznany za początek Jakucka. Nowacki i Dobryński byli jeńcami wojennymi, którzy nie skorzystali bądź nie mogli skorzystać z możliwości powrotu do ojczyzny i służyli pierwszemu Romanowowi. W 1628 roku wojewoda tobolski wysłał Samsona Nowackiego na wschód, by wraz z oddziałem śmiałków sprowadził Tunguzów pod *carskuju wysokuju ruku*. W Turuchańsku pan Samson spotkał grupę kozaków, a wśród nich swojego rodaka, niejakiego Antoniego Dobryńskiego, który przeszedł pod jego rozkazy. Płynąc w górę Dolnej Tunguzki, Nowacki dowiedział się o Lenie i Jakutach. Wysłał do nich Dobryńskiego na czele trzydziestu uzbrojonych ludzi. Z Tunguzki brzegami rzeki Czony oddział dotarł nad Wiluj, największy zachodni dopływ Leny. Zbierając po drodze carski jasak[14], Dobryński zatrzymał się dopiero nad wielką rzeką Jakutów, gdzie zbudował niedużą warownię. W listopadzie 1630 roku napadli na niego wojowniczy Sacha i oblegali aż do maja następnego roku. Do Turuchańska Polak powrócił zaledwie z piętnastoma ludźmi. Przekazał wojewodzie jasak i sprawozdanie, a sam udał się do Tobolska, by starać się o pozwolenie na

kolejną wyprawę nad Lenę. Nie wziął już jednak udziału w żadnej eskapadzie: wyszło na jaw, że zbierając podatek, napełniał też własną sakiewkę.

Równolegle z kozakami Dobryńskiego nad Leną pojawił się jenisejski oddział Iwana Gałkina. W 1631 roku Gałkin z rozkazu wojewody jenisejskiego wraz z niewielkim oddziałem dotarł do Jakutów od południa. Spłynął Leną i na wysokości Tujmaady[15] pobił i obłożył jasakiem pięciu jakuckich tojonów[16]. Zamiast wracać ze skórami do Jenisejska albo budować warowny gród, Iwaszko puścił się z nurtem wielkiej rzeki na północ, aż do ujścia Ałdanu, gdzie jego ludzie wybili miejscowych mężczyzn, kobiety zgwałcili, a dzieci wzięli w pęta. W drodze powrotnej w górę rzeki na wysokości Tujmaady jeńców próbował odbić jakucki wódz Tygyn Darchan, ale Iwaszko przebił się i dopłynął do ujścia rzeki Kut, skąd przez Tunguzkę przeprawił się na Jenisej.

W następnym roku wojewoda wysłał spokojniejszego ponoć Pietruchę Bekietowa, ale Jakuci na wieść o tym, że muszą płacić skórami, chwycili za łuki i palmy[17]. Piotr Bekietow walczył z nimi blisko rok, zbudował solidną warownię uważaną za fundament Jakucka, wytrzymał oblężenie i stłumił bunt. Około stu powstańców spalił w drewnianych wieżycach, z których się bronili. Wielu historyków to właśnie zduszenie oporu Jakutów, a nie zbudowanie warowni uważa za datę przyłączenia Jakucji do państwa Romanowów. Warownia Bekietowa stanęła nad Leną dwa dni drogi łodzią w dół rzeki od dzisiejszego Jakucka, na zalewanej wiosną łące. Jednak ledwie tylko obładowany skórami Bekietow latem 1633 roku opuścił Lenskij ostrog[18], ni stąd, ni zowąd zjawił się Gałkin z tuzinem mołojców i gwałtem przejął władzę. Ten, kto ją miał, czerpał zyski z jasaku i handlu niewolnikami. Ataman przeniósł zagrożoną przez Lenę warownię w górę rzeki, ale i on wybrał złe miejsce. Zyskał tyle, że mówiło się o ostrogu Gałkina, a nie Bekietowa. Wolał jednak wojować, niż budować. Kiedy spotkał oddział kozaków mangaziejskich, którzy konkurowali z jenisejskimi o pierwszeństwo nad Leną, uderzył na nich jak wcześniej na Tunguzów. Samowole atamanów w *Jakolskiej ziemlicy* i gwałty na tuziemcach miał ukrócić dopiero Piotr Gołowin, pierwszy wojewoda kraju. Zaczął od tego, że przeniósł warownię Gałkina na cypel Tabagha. I zbudował dwanaście lochów wraz z izbą tortur.

*

Śledząc na mapie ruchy kozaków i ich poszukiwania miejsca na przyczółek, trudno oprzeć się wrażeniu, że *pierwoprochodcy dość nieporadnie kręc*ili się tam i z powrotem wzdłuż brzegów Leny. Zwyczajnie nie mogli znaleźć środka. Bardziej niż suchego brzegu szukali jakiegoś centrum czy punctum, z którego mogliby ruszyć dalej i opisać granice przyszłej Jakucji. Znaleźć Kołymę, Ojmiakon, wykreślić bieg Jany, Indygirki, Olenioka, Anabaru i wybrzeże Oceanu Lodowatego. Słowem: początek i koniec.

Okazało się, że Gołowin wybrał dobrze, bo choć Tabaghę zmyło, to z jej podgrodzia wyrósł Jakuck. A nie mógł przecież wiedzieć krwawy wojewoda, że słowo *tabagha* tłumaczy się „w centrum". Czy nawet: „u celu".

## Słówka

*Kyrbyj* – dosłownie zabijaka, a po polsku pustułka, czyli niewielki sokół. Gnieździ się na dachu jednego z bloków w pobliżu Zielonego Ługu, nad którym poluje. Druga para założyła gniazdo na dachu budynku Rosyjskiej Akademii Nauk na prospekcie Lenina. Trzecia – u wylotu prospektu na nadrzeczne łąki, na gzymsie nowego gmachu uniwersytetu. Zapewne zakładały też gniazda na wieżach warowni Gołowina. Choć pochodzenie nazwy nie jest do końca znane, języki słowiańskie zauważają upodobanie tego sokoła do miejsc pustych, tymczasem Jakuci zwrócili uwagę na jego siłę. Nazwa „pustułka" nie mogłaby tu powstać – tu wszędzie jest pusto.

Inne sokoły, które można zobaczyć nad Zielonym Ługiem, to kobuz, drzemlik, sokół wędrowny i największy z nich, a zarazem najszybszy ptak świata – białozór. Samica białozora wygląda jak latająca biała plama.

*Chaas* – oznacza gęś i brew. Są to dwa słowa o różnym pochodzeniu i tylko przypadkowo brzmiące tak samo. Ale kiedy klucz gęsi leci nad wschodzącym słońcem, wygląda jak cienka brew ognistego ślepia. Wtedy treść tych słów na krótko się zgadza. Ale dzieje się tak rzadko. Tylko w porze migracji gęsi, wczesnym rankiem, kiedy ptaki podrywają się do lotu, i przed wieczorem, kiedy lądują. Słowniki o tym milczą.

Na Zielonym Ługu najczęściej przysiadują gęsi białoczelne i zbożowe. Rzadziej bernikle i śnieżyce. Te ostatnie przypominają samotne zaspy świeżego śniegu. Z gęsich piór powstawały bełty jakuckich strzał, na które musieli uważać kozacy oblężeni w ostrogu Bekietowa.

*Kutujachsyt* – to błotniak zbożowy. Skrzydlaty drapieżnik wielkości myszołowa w kolorach, w których właściwie nie powinno go być widać. Jakieś sine smugi, stalowe błyski, błękitne cienie i czarne końce skrzydeł. Często tylko tyle musi starczyć patrzącemu za sens słowa *kutujachsyt*. Nie przelatuje, lecz się zjawia. Wygląda trochę jak dziura w widoku. Czysty ruch i biel w jakiejś archaicznej, dzikiej postaci. Kozacy musieli znać go z innych części Syberii. Poza tym na północ migruje w tym samym czasie, w którym dotarł tu najpierw Gałkin, a potem Bekietow. W maju.

## Pantalejmon Pienda

Kiedy kozackie kocze pojawiły się na Lenie, trwała tu w najlepsze epoka żelaza, a Czukcze i Jukagirzy łupali jeszcze kamień[19]. Uzbrojeni w palmy i zakuci w zbroje z kościanych płytek Jakuci byli łatwym celem: walcząc, stawali zwartą ławą i można było do nich strzelać jak do kaczek. Długie nosy i brody Rosjan, ich blade twarze i „lodowe” oczy przerażały Jakutów nie mniej niż huk muszkietów. Nic zatem dziwnego, że najeźdźcy dołączyli do panteonu mitologicznych potworów i maszkar, od których nikt ich tam już dziś nie odróżni. Co niektórzy ze starszych Sacha uważają, że jakuckie *nuuczcza*, tłumaczone jako „Rosjanin”, oznaczało też niegdyś straszydło, czupiradło. Sacha do dziś mówią tak o każdym białym, a dzieci w wioskach z krzykiem uciekają na ich, czyli także na nasz, widok.

Posyłani na wschód kozacy rekrutowali się spośród pospolitych przestępców i wojennych kajdaniarzy, którym karę więzienia zamieniono na służbę na Syberii. Wyruszając na nieopisane na mapach ziemie, nieśli ludom epoki żelaza proch, podatki i syfilis. Towarzyszyli im traperzy, którzy czasem z rozkazu wojewody jenisejskiego, czasem samopas myszkowali po Syberii w poszukiwaniu sobolowych i lisich skórek, które tanio kupiwszy u Tunguzów, mogli drogo sprzedać w Jenisejsku. Ludzi tych gnała na wschód fu-

trzana gorączka, a zapanować nad nimi mógł tylko silny watażka. Nie dziwi więc, że według przekazów ludowych pierwszym *nuuczcza*, który dotarł nad Lenę, nie był ani Dobryński, ani Bekietow, tylko myśliwy i wagabunda Pantalejmon Pianda, przez niektórych uczonych nazywany niemalże z polska Piendą. Stał na czele stada czterdziestu takich jak on niebieskich ptaków, którzy docierali na nowe ziemie wcześniej niż carskie wojsko.

Opowieść o wizycie Piandy *vel* Piendy zachowała się w pamięci Jakutów z rodu Kangałas i po trzystu latach, w 1921 roku, kilka jej wariantów zapisał Gawrił Wasiljewicz Ksenofontow. Powtarza się w nich motyw śmierci Tygyna, najznamienitszego z jakuckich tojonów, w którym niektórzy chcieliby widzieć pierwszego króla Jakutów. Otóż wódz spuchł i zmarł po tym, jak jeden z białych dotknął go swoim przyrodzeniem. Syfilis nazywali Jakuci chorobą rosyjską. Rosjanie zaś – polską.

Zbioru wyśmienitych jakuckich legend zatytułowanego *Ellejada* nie udało się Gawriłowi Wasiljewiczowi wydać za życia, bo po ukazaniu się w 1937 jego *Urangchaj Sachalar*, znakomitego dzieła o pochodzeniu i historii Jakutów, oskarżono go o nacjonalizm i rozstrzelano. *Ellejada* ukazała się dopiero w roku 1977, ale bez wstępu, czyli *Archaicznej pastuszej biblii Jakutów*. W tym obszernym tekście Ksenofontow dowodził, że ludy koczownicze mają większy wkład w historię kultury niż narody osiadłe. A to choćby dlatego, że udomowienie zwierząt wymagało więcej trudu i czasu niż uprawa roślin.

## Początek

Innym dobrym miejscem na całodniową wycieczkę za miasto jest zachodni skraj doliny Tujmaada. W łańcuchu *myraan*, czyli malowniczych wzgórz i połonin, które stanowią jej zachodni kraniec, można zagubić się na cały dzień. Uważać trzeba tylko, by nie runąć w dół, prosto w widok. Najsławniejszy *myraan* to Spiczasta Góra, gdzie Tygyn urządzał swoje pijatyki, i Górka Miłości, gdzie po lecie prezerwatyw zostaje tyle, że z daleka można je wziąć za dmuchawce. Widać stamtąd najpierw drewniane dacze i altany, dalej betonowe miasto, czekające na jesienną wodę łożysko Leny i w końcu ledwo, ledwo samą rzekę – popod wysokim wschodnim brzegiem i niebem.

Widać też doskonale początek Tujmaady – wbitą w nurt Leny wysoką skałę Tabagińskiego Tumusu, czyli Tabagińskiego Nochala.

Kiedyś rzeka wypełniała dolinę po brzegi, dziś próbują ją wypełnić Jakuck i kilka okolicznych wsi. Jednak domy wyraźnie nie panują nad przestrzenią, bo coraz to nowe budynki rozpadają się lub zapadają w wieczną zmarzlinę, na której stoi miasto. Pusto tu i przestronnie. Gdzie spojrzeć, tylko strony świata: wschód, zachód, północ i południe. Przenikają się swobodnie i składają na przestrzeń Tujmaady. Na jej pustkę.

Kiedy zmęczy mnie balansowanie na granicy tajgi i widoku, włażę głębiej w bór albo badam rozpadliny między myraanami. Już w neolicie zamieszkiwali je ludzie i po dziś dzień można tam znaleźć narzędzia z poroża rena, skrobaki i surowe groty strzał. To też dobre miejsce do rozważań o początku opowieści. Czasem chciałbym go umieścić na szpicy neolitycznego ostrza, innym razem na czubku igły modrzewia, kiedy indziej w pierwszym dniu nowiu, który tysiące lat temu zaznaczyła kreską na kości łabędzia brzemienna kobieta w pieczarze Chajyrgas nad Leną. Wymyka się, wyślizguje i ucieka. Zimą niby wyraźniejszy, kiedy kropka nasionka modrzewia kontrastuje ze śniegiem. Ale i wtedy myli się ze środkiem, a bywa, że z końcem.

*

Jakuck to świetny początek, punkt startu wielu udanych wypraw, eskapad i wycieczek. Stąd kozak Iwan Riebrow i jego kompan Ilija Pierfiljew wyruszyli, by odkryć dla Europy Janę i Indygirkę, Misza Staduchin z jakuckim przewodnikiem Uwajem – by dojść do rzeki Kołymy, Władimir Atłasow – by nanieść na mapę Kamczatkę i wspomnieć o Kurylach. Mógłbym dodać jeszcze Wasilija Pojarkowa, który wykreślił bieg Amuru, czy Siemiona Dieżniewa, który jako pierwszy Europejczyk zobaczył Ojmiakon. Albo rodaków – Jana Czerskiego, Aleksandra Czekanowskiego czy Wacława Sieroszewskiego.

# Słownik języka jakuckiego II

## Horyzont

Jakucki rzeczownik „początek” – *saghalaahyn* – ma ten sam korzeń co słowa „horyzont” – *saghach* i „skraj”– *sagha*. *Sagha* to po jakucku także kołnierz, czyli skraj ubrania. Antenaci Jakutów, wojowniczy koczownicy z południa Syberii, wymyślili sobie początek, śmiem mniemać, wpatrując się w dal. W kres. Wypatrzyli go na horyzoncie, czyli granicy tego, co widać. Robię tak samo, tylko że równie często jak w widnokrąg gapię się też w mapę. W metaforę widoku.

Znamienne, że archaiczną jakucką epopeję *olongcho* zaczyna dokładny opis miejsca. Narrator z epoki żelaza widzi lasy, balaghany, skały i drogi, jakby czytał szczegółową mapę. Początek jest opisem. Przynajmniej w jakuckim folklorze.

## Dziesiąty dzień miesiąca domu

Opisując swoje jedyne miasto, Jakuci używają rosyjskich słów zmienionych przez silną rodzimą fonetykę. Stąd słowa *poćta*, *milisija*, *fontan*. Jakuckie rzeczowniki nie pasowały tutaj, tak jak i miary odległości: *künnük* – dosłownie „dziennik”, czyli dystans, który można przebyć w ciągu jednego dnia, albo *kös* – odcinek szlaku długości około dziesięciu kilometrów. Zatem ulica to nie *suol* (droga), tylko *uulussa*, od rosyjskiego *ulica*, podobnie skrzyżowanie to nie *bilir*[20], tylko *pieriekrostok*, a *pieriechod* to przejście dla pieszych. Jedynie budynki Jakuci z jakiegoś powodu nazywają, jak nakazuje im ich prastary język: każdy murowaniec, kapiedieszka i wieżowiec to *taas dżie*, czyli kamienny dom, dieriewiaszka zaś – *mas dżie*, dom drewniany. Cerkiew to *Tangara dżiete*, czyli dom Boga.

## Ulica

Mapa miasta zdradza, że wszystkie główne ulice noszą imiona bolszewickich bohaterów: *uulussa* Lenina, Dzierżyńskiego, Ordżonikidzego, Swierdłowa, Krupskiej, albo co najwyżej dziewiętnastowiecznych carskich zesłańców, jak Czernyszewski czy Bestużew-Marlinski. Jest też Feliks Kon, bolszewik z Warszawy, w towarzystwie Edwarda Piekarskiego, autora *Słownika języka jakuckiego*, ale obaj dostali małe uliczki w głębi Tujmaady, bez centymetra asfaltu. Asfalt leży za to na obowiązkowej już wszędzie na Syberii ulicy Stiepana Chałturina, który wysadził w powietrze jadalnię w Pałacu Zimowym, tyle że w chwili, gdy nie było w niej cara. Z bolszewickich działaczy, którzy ustanowili władzę radziecką na Syberii i w Jakucji, są jeszcze Kalandariszwili, Strod, Aleksiejew, Piotrowski i dwaj Polacy – Bogdan Czyżyk i Apolinary Rydzyński. Doszukać by się można jeszcze paru urzędasów z okresu Gułagu i wochrowca[21] Ocziczenki, strażnika z łagru pod Chandygą *zariezanego* przez błatnych[22]. Dużo nazwisk, które poza wąską grupą znawców historii sowieckiej Jakucji nie mówią nic nikomu na świecie. Urzędnicy, czynownicy, stachanowcy, a na koniec zbój Waśka Manczary, jakucki Janosik, w którym bolszewicy chcieli widzieć pierwszego komunistę tej części świata.

Z Jakutów też sami bolszewicy: Stiepan Arżakow, Maksim Ammosow i Płaton Ojuński. Jest co prawda Aleksiej Kułakowski, antykomunista i ojciec literatury jakuckiej, ale pewnie tylko dlatego, że sformułował tezę: lepiej już żyć z Ruskimi niż z Chińczykami. Od Słowian zawsze będziemy się różnić, a w azjatycki żywioł wsiąkniemy jak woda w piasek.

Brak Wasilija Nikiforowa, Izydora Barachowa, Gawriła Ksenofontowa i wielu postaci zasłużonych dla grodu nad Leną. Choćby kupców, którzy uciekli po rewolucji do Chin, czy wszystkich represjonowanych związanych z biełobandytami (tak do dziś określa się tu zwolenników caratu). Na skraju miejsca „Jakuck”, pod myraanami gdzieś za Jeziorem Białym, aż osiemset metrów przestrzeni nosi imię Teki Odułoka, pierwszego z trzech pisarzy narodu Jukagirów. Lermontow nigdy w Jakucku nie był, ale też dostał swój kawałek – długą ulicę od jeziora Sajsary do dawnego Jeziora Monastyrskiego. Na łąkach między ulicą Lermontowa a Leną działa się najdawniejsza historia Jakucka.

# Droga

Nowy typ drogi, jakim była dla Sacha ulica, wymagał nowej nazwy. Stąd wzięło się *uulussa*. Jednak inne rosyjskie słowo – *doroga* – nigdy nie zastąpiło żadnego z jakuckich rzeczowników, opisujących rozmaite rodzaje szlaków, po których Jakuci podróżowali i które rozróżniali od wieków.

*Aartyk* – skromne „droga” nie wyczerpuje definicji tego słowa, bo oznacza ono też przełęcz. Miejsce na wododziale, gdzie woda zaczyna płynąć w inną stronę i gdzie podróżni zostawiają ofiary dla *iczczi*, gospodarza miejsca i traktu. Słowo to silnie związane jest z drogą w górach. U Piekarskiego oznacza wąski wąwóz, ścieżkę na zboczu góry, przełęcz. Jakuccy przewodnicy o takiej drodze mawiali: pani droga. *Aartyk* to także droga wiodąca do większej miejscowości bądź największy trakt w okolicy. Czasem starszym ludziom zdarzy się powiedzieć tak o M-56, drodze federalnej Kołyma.

*Ajan* – przede wszystkim podróż. Jazda, marsz, daleka droga. W Europie podróżny stawał zazwyczaj na rozstaju dróg, a w bajkach powstałych na Syberii i w Jakucji[23] miał do wyboru rozdroża ośmiokrotne. Od tego słowa pochodzi rzeczownik „podróżnik” i czasownik „podróżować”. *Ajan* oznacza więc drogę metaforyczną.

*Ajaan* – to miejsce na rzece, gdzie niedostępne zazwyczaj koryto rozszerza się, tworząc rozległą kamienistą mieliznę lub łachę. Także pozbawione roślinności wyschnięte starorzecze. Tamtędy wygodnie jest podróżować z karawaną renów bądź konno, dziś częściej ziłem albo kamazem.

*Suol* – droga w znaczeniu dosłownym i najczęściej dziś używanym. Można tak powiedzieć o ścieżce w lesie, dróżce przez wieś czy o ulicy Lermontowa. *Suol* to także trop zwierzęcia albo człowieka, ślad po ugryzieniu albo nożu. Na ulicę *suol* się nie nadawał z powodu pewnej niedoskonałości. *Suol* to często sama możliwość przejścia. Jeśli idąc na skróty, da się przejść przez dziurę w parkanie, ruchliwą ulicę i dziedziniec jakiegoś urzędu, to Sacha powie, że jest tamtędy droga. Jeśli wzdłuż rzek Tulukan i Dulgalach przez Góry Wierchojańskie da się

przedrzeć do Wierchojańska, to przewodnik też powie, że jest tam *suol*. *Suol* nigdy nie był więc drogą wygodną.

## Ulica Lermontowa

Ulicę Lermontowa łączą z prospektem Lenina uliczki Kalandariszwilego i Piotrowskiego. Jeśli pójść Kalandariszwilego na wschód, przez miasto w stronę rzeki, zaprowadzi nas ona na południową pierzeję placu Przyjaźni Narodów i do baru Czarait, urządzonego w soborze Świętej Trójcy. Jeśli zaś wzdłuż Piotrowskiego – wyjdziemy na północną pierzeję placu, tuż obok budynku akademii nauk. Kwartał zajęty przez plac, teatr, mały park i skwerek to miejsce, gdzie kiedyś stał czwarty Jakuck, ten wojewody Prikłońskiego. Lermontowa jednak jako tako zaznacza się dopiero na mapie Jakucka z 1917 roku. Jej linię można już wówczas wyodrębnić z wątłej zabudowy miasta, która zaczyna się tu kształtować. Jeszcze nie ma ulicy, jest jedynie ścieżka wzdłuż kilku domów wciśniętych między wychodzące z miasta uliczki: Prawleńską (przyszła Piotrowskiego) i Soborną (Kalandariszwilego). Dalej w głąb Tujmaady, tam, gdzie dziś stoją nasz wieżowiec i drewniane domy osiedla Sajsary, ciągnęły się łąki pocięte starorzeczami Leny. Wody i zieleni było tu w bród, toteż wszędzie pasły się konie i krowy, stały chotony[24] i balaghany. Budynki z drewna wymyślone jeszcze przez Kurykanów współtworzyły architekturę Jakucka od czasów Bekietowa po epokę Breżniewa. Ich resztki do dziś można odnaleźć na ciasnych podwórkach Załogu i Sajsarów.

Sajsary to zapomniane przez Boga i urzędników osiedle drewnianych domków i szop, które zaczyna się tuż za naszym blokiem. Cały kwartał wygląda właściwie jak wioska. Rzadko można tam trafić na piętrową dieriewiaszkę, jeszcze rzadziej na dwupiętrowy blok z cegły. Nie brakuje za to sklepów z wódą i melin. Nietrudno też o hotelik, gdzie para może wynająć pokój nawet na godzinkę. Jeszcze łatwiej, i najtaniej w mieście, można tu znaleźć stancję, dlatego nieoświetlone uliczki pełne są wypitych młodych ludzi, którzy – jeśli wezmą cię za Rosjanina – mogą być groźni.

Chyba co drugi mieszkaniec Sajsarów ma psa. Psy, niepilnowane przez nikogo, parzą się na wiosnę jak króliki, a jesienią łączą się w watahy jak wilki i rzucają na siebie, rzadziej na przechodniów. Właśnie na skraju Saj-

sarów, u zbiegu Kalandariszwilego i Lermontowa, widziałem najliczniejsze jak na razie stado: dwadzieścia trzy sztuki. Minąłem je pewnym krokiem, bo wystarczy pomieszkać miesiąc w Jakucku, by przestać bać się psów. Tak jak pewien przedszkolak, który niósł bochenek chleba w reklamówce. Kiedy okrążyło go kilkanaście wygłodniałych kundli, smarkacz uniósł spokojnie torbę nad głowę i przeszedł na drugą stronę ulicy, nie zwalniając kroku i patrząc pewnie przed siebie.

Ulica Lermontowa omija Sajsary, przecina Kalandariszwilego i biegnie dalej na południe, trochę między blokami, trochę brzegiem jeziora Sajsary, od którego nazwę przejęło osiedle widmo. O jeziorze wspominają najstarsze jakuckie podania i legendy. Tu według sędziwych bajarzy stały balaghany znamienitego tojona Tygyn Darchana, tu wódz spotykał się z Pantalejmonem Piandą i stąd ruszył w 1631 roku na wracającego z północy Gałkina.

Dalej, za jezioro, nie ma już po co iść. Dojść można najwyżej do nowiutkiego centrum medycznego albo drogi na Sergelech, jak mówi się na część Tujmaady zabudowaną daczami. Lepiej zatem zawrócić na północ, a dokładniej na północny wschód, i mijając Kalandariszwilego, zatrzymać się tuż za naszym blokiem. Stoi tam samotna chatka otoczona łanem trzciny wysokiej jak parkan. Krzepkie modrzewie w ścianach domku pozwalają mniemać, że zbudowano go przed wojną, ale nie jest zbyt sędziwy: *naliczniki*[25], okiennice, podokapnik i okap zrobione są niestarannie, po sowiecku. Trudno uwierzyć, że w takiej łupinie można spędzić zimę. Ba, nawet na adres wydaje się za krucha.

Zaledwie strzał z procy dalej Lermontowa krzyżuje się z Piotrowskiego. Jeśli skręcisz w lewo, to znaczy na zachód, trafisz na stary Trakt Wilujski. Tędy nad Wiluj jeździli uczeni, podróżnicy i zesłańcy, dziś jeżdżą mieszkający tam, a odwiedzający stolicę Jakuci. Tamtędy właśnie chadzam na *myraan*, a jeśli nie chce mi się dreptać te cztery kilometry, wsiadam w trójkę i autobus podwozi mnie prawie pod samą Górkę Miłości.

Nieco dalej za skrzyżowaniem, w miejscu, gdzie spomiędzy drewnianych chałup i niskich bloków połyskuje kopułka erekcyjna cerkwi Świętego Mikołaja, od Lermontowa odchodzi w stronę centrum ulica Oktiabrska. Na jej wysokości, ale po zachodniej stronie Lermontowa, ostał się szmat tajgi z podszytem z krzyży, barierek i nagrobków. Stary cmentarz rozciągał się też niegdyś wokół soboru, a część pod sosnami była przeznaczona dla ży-

dów, mahometan, samobójców i skazanych na śmierć. Szukałem tam swego czasu mogił monastyriewców, to jest uczestników buntu z 1889 roku, ale trafiałem tylko na groby z czasów sowieckich, zazwyczaj bez krzyża, z kawałkiem czerwonego gałganka albo z sierpem i młotem na słupku. Gdzie spoczywają monastyriewcy, nikt nie umiał mi wskazać.

Cerkiew Świętego Mikołaja leży tak blisko ulicy Lermontowa i cmentarza, że bez wątpienia asfalt wylano na dawne groby, podobnie jak ten na Oktiabrskiej. Wygląda na to, że wszystkie okoliczne domy, a nawet pobliski dworzec autobusowy stoją na mogiłach. Czy coś z nich pod stojącymi na palach blokami zostało, nigdy nie mam czasu sprawdzić, bo tędy prowadzi moja droga na Kriestiański, najbardziej gwarny rynek Jakucka. Na drewnianych straganach można tam dostać świeży kumys z Namu, twaróg z Tulagina, wyborną śmietanę z Marchy czy świeżą źrebięcinę z Zarzecza. O rybach wypadnie napisać, dopiero kiedy zamarzną rzeki i znad Kołymy i Jany przyjadą świeże czyry, nelmy, muksuny, pelugi i jesiotry.

Żeby uzupełnić obraz okolicy, trzeba domalować, najlepiej ołówkiem i brązową kredką, szeregi dieriewiaszek ciągnące się wzdłuż Lermontowa od strony miasta oraz nie zapomnieć o wyglądających zza nich betonowych osiedlach. Jak wszystko tutaj dieriewiaszki stoją na wiecznym lodzie, toteż w środku, w najcieplejszym punkcie, zapadają się w zmarzlinę, która z roku na rok pod nimi taje. Na wiosnę dom stoi, okazuje się, w niewielkim leju wypełnionym wodą. Lica tych drewnianych jednopiętrowców o dużych oknach wyglądają wtedy, jakby się uśmiechały. Blokom to nie grozi, bo stoją na betonowych palach. Ich owadzie, wielookie oblicza są zatem obojętne i bez wyrazu.

Mieszkanie przy ulicy Lermontowa to nasze czwarte lokum w Jakucku, choć jesteśmy tu zaledwie od ośmiu miesięcy. Najtrudniej było w akademiku. Ja, N. i Jasia wytrzymaliśmy tam pięć tygodni – na dwunastu metrach kwadratowych. Zostalibyśmy dłużej, ale swoich metrów domagały się też książki, zimowe szuby i buty, a wreszcie karaluchy. Owady nie przeszkadzały za bardzo, były jednak zbyt natarczywe i liczne. Tupot setek karaluszych nóżek zwielokrotniony rezonującą jak gitara tapetą nie dawał spać ani myśleć.

## Akademik

W akademiku można spotkać Ewenów z Gór Wierchojańskich, Ewenków znad Ałdanu i Olokmy, nawet Dołgan znad Chatangi i Kotuja. Najtrudniej o Czukczów i Jukagirów. Nie lubią określenia „małe narody Północy” albo „narody ginące” i chętnie podają się za Jakutów, świetnie zresztą władają ich językiem. Na uniwersytecie najliczniejsi są Sacha, którzy podkreślają, że skoro jest ich blisko pół miliona, to nie zaliczają się do małych narodów. „Czy wy aby na pewno w Europie o tym wiecie?”

Patrzymy na siebie z wzajemną ciekawością, nie uchylając się od rozmów. Najodważniejszy jest Kim z Gór Czerskiego. Podchodzi śmiało, najpierw wyczerpuje spory zapas słów angielskich, po czym przechodzi na rosyjski. Rzuca hasła, na które jakoś powinienem reagować: Brad Pitt, Paris Hilton, jakby myślał, że to moi sąsiedzi. Jest Ewenem, do osiemnastego roku życia mieszkał w Momie, odciętym od świata posiołku nad Indygirką, gdzie czasem brakuje banknotów w sklepach, więc ludzie piszą sumy na kartkach. Żyje tam pięć tysięcy osób, choć Moma jest stolicą ułusu o powierzchni równej jednej trzeciej obszaru Polski. Kim, tak jak jego sąsiedzi z Momy, jest poliglotą. Mówi w trzech językach: rosyjskim, jakuckim i eweńskim. Uczy się angielskiego.

Jakuci mówią niby tym samym językiem, ale nie zawsze mogą się porozumieć. Jakucki ze wschodnich ułusów, czyli z Ilin Engeru, różni się nieco od tego znad Wiluja. Używane tu na co dzień formy rozkazujące dla Sacha z zachodu brzmią twardo i apodyktycznie, a przez to obraźliwie. Toteż jeśli w jednym pokoju w akademiku zamieszka dwóch pierwszoroczniaków z przeciwnych brzegów Leny, niechybnie pokłócą się, a nawet pobiją. Bo kiedy jeden mówi: „Podaj mi to”, to drugi słyszy: „Dawaj mi to zaraz!”. Zanim wyjaśnią sobie, o co chodzi, jeden ma podbite oko, a drugi rozbity nos. W styczniu 2006 roku taka kłótnia doprowadziła do regularnej bitwy. Z powodu subtelnych różnic w formie imperatywnej czasownika „dać” na lodzie Łogu, jednego z dawnych kanałów Leny, tłukło się stu pięćdziesięciu studentów z Bülüü Bölöghö i Ilin Engeru. Tylu przynajmniej zatrzymała milicja.

*Bülüü Bölöghö* – grupa ułusów na zachód od Leny, nad rzeką Wiluj (po jakucku Bülüü). Studenci stamtąd wydają się szczególnie wojow-

niczy, przedkładają jakucki nad rosyjski, nie lubią *nuuczcza*, czyli białych. Równie gorliwie stają w obronie ziomków, jak i biją się między sobą, choć przede wszystkim tłuką tych ze wschodniego brzegu Leny, z Ilin Engeru.

*Ilin Enger* – czyli Zarzecze. Podobnie jak Bülüü Bölöghö jest nazwą miejsca, ale opisuje też jego mieszkańców. Wystarczy powiedzieć tak o kimś, by było jasne, że chodzi o człowieka spokojnego, nieskłonnego do bitki i opanowanego. Za takich uchodzą mieszkańcy ułusów Amma, Menge-Kangałas i Ust′-Ałdan. Wyjątkiem są Tatta i Czurapcza. To ułusy, z których pochodzą wszyscy jakuccy pisarze i wielu polityków. Tattanie i Czurapczanie doskonale mówią po jakucku i noszą często jakuckie, a nie rosyjskie nazwiska. W latach dziewięćdziesiątych rosyjscy taksówkarze z Jakucka bali się tam jeździć, bo czekało ich ostre lanie.

Wielu naszych sąsiadów pyta, czy prezydentem Polski jest Polak, czy mamy mniejszości narodowe, czy wszyscy mówimy po polsku i czy dużo mamy bibliotek. Wyłania się z tych pytań jakucka wizja narodu i pobrzmiewają w nich echa etnicznego przebudzenia z lat dziewięćdziesiątych. Po upadku Sojuza Jakuci zrozumieli, że po raz pierwszy od lat mogą pisać i mówić o własnej kulturze. Kiedy prezydentem Jakucji został Sacha, Michaił Nikołajew, jakucki uznano za język oficjalny. Powstały szkoły z wykładowym jakuckim, próbowano nawet nauczać go w szkołach rosyjskojęzycznych. Zaangażowana inteligencja opracowywała nową religię narodową, spierając się o to, co jest bardziej jakuckie: szamanizm, panteon bóstw Ajyy czy zespół animistycznych wierzeń określanych jako religia przyrody. W szkołach pojawiły się przedmioty poświęcone kulturze i historii Sacha. Dzieci potrafiły z pamięci wymienić imiona bogów i zamieszkiwane przez nich nieba, o których wychowani w socjalizmie rodzice nie mieli pojęcia. Gospodynie ze stolicy, chcąc starym zwyczajem karmić ogień, lały śmietanę na fajerki albo płytki kuchenek elektrycznych, młodzież na dyskotekach tańczyła narodowy taniec *ohuochaj*. Jakuckie święto lata, *yhyach*, stało się oficjalną uroczystością w całej republice – musieli je obchodzić nawet Eweni. A pewien sędziwy mieszkaniec miasteczka Batagaj w testamencie zażądał pochówku zgodnie ze zwyczajem przodków: na wysokiej platfor-

mie (*arangas*), na świeżym powietrzu, w tajdze. Mimo sprzeciwu sąsiadów rodzina spełniła wolę zmarłego. Na kolejne otwarte groby nie pozwolił tamtejszy sanepid.

W latach dziewięćdziesiątych Jakuci po raz pierwszy od czasu przyjścia kozaków poczuli się nad Leną gospodarzami. Nawet administracja pierwszego prezydenta była na wskroś jakucka, podobnie pracownicy podległych jej urzędów i szefowie przedsiębiorstw. Nic dziwnego, że nie-Jakuci tłumnie wyjeżdżali. W 1999 roku, po sześćdziesięciu latach, Sacha znów stali się u siebie większością. Dziś w blisko milionowej republice jest ich około czterystu pięćdziesięciu tysięcy.

## Ulica Kalandariszwilego

W Jakucku chadzam najczęściej ulicą Kalandariszwilego: nad Lenę, na uniwersytet, do akademika i do czwartej warowni. Szybko mijam zabudowany nowymi blokami i sowieckimi dieriewiaszkami odcinek od Lermontowa do przecznicy Ojuńskiego, bo nie ma go na starych mapach, powstał zaledwie po wojnie. Przystaję dopiero na skrzyżowaniu, w miejscu, które zieje pustką po starym drewnianym domu. Nie był to typowy sowiecki barak. Dom musiał być starszy, bo miał piętro z wkomponowanym od frontu balkonem, zdobionymi wiatrownicami i nalicznikami. Mijam je zatem i dochodzę do kolejnej przecznicy, to jest Bielińskiego. Skręcam w nią, jeśli idę na zajęcia z ewenkijskiego, do akademika bądź do głównego budynku uniwersytetu. Stoi za akademikami, nad Łogiem. Zbudowali go w latach pięćdziesiątych przywiezieni tu z Kołymy zekowie. Podobnie jak pobliski Instytut Anatomii i kilka innych gmachów w mieście. Z małego dziedzińca uniwersytetu rozciąga się rozległy widok na Załog.

Najchętniej jednak trzymam się prostej imienia Gruzina o trudnym nazwisku. Tuż za krzyżówką przez dobre dwieście metrów, i to po obu stronach ulicy, ciągną się drewniane domy ze starymi nalicznikami – aż do miejsca, gdzie na lewo odchodzi uliczka Żirkowa. W XIX wieku nazywano ją Baszienną, od rosyjskiego *basznia*, czyli baszta. Powstała ze ścieżki wydeptanej wzdłuż zachodniej ściany twierdzy Prikłońskiego, pod tamtejszymi basztami. Oddziela ją od pobliskiego soboru Świętej Trójcy już tylko jedno podwórko z drewnianym domkiem. Było ich więcej, ale właśnie trwa

ich wyburzanie. Mimo to Kalandariszwilego jest wciąż jedynym miejscem w Jakucku, poza Załogiem, gdzie otaczają przechodnia stare drewniane chałupy.

Sobór Świętej Trójcy od początku stał w południowo-wschodnim kącie warowni. Żeby w tym, co z niego dziś zostało, rozpoznać świątynię, trzeba się dobrze przyjrzeć. Zdradzają ją portal, tambur[26] i solidne mury. Przed wojną sobór służył jako teatr, z czasem przyklejono do niego olbrzymią dobudówkę i tak powstał Teatr Opery i Baletu. Za jego ogromnym gmachem jeszcze dwadzieścia lat temu stała kancelaria wojewódzka z 1707 roku[27], pierwszy murowany budynek w Jakucku, ale zburzono go, by na jego miejscu postawić Instytut Nauk Humanistycznych. Przed teatrem wznosi się pomnik Aleksieja Elisiejewicza Kułakowskiego, ojca literatury jakuckiej. Jest uderzająco podobny do pomnika Chopina z Łazienek. Pierwszy współczesny jakucki utwór literacki – *Zaklinanie Bajanaja*[28] – wyszedł spod pióra Kułakowskiego w 1900 roku. Jak na warunki, w których przyszło mu żyć, tworzył wyjątkowo interesującą i żywą poezję. Znany jest głównie z profetycznego poematu *Sen szamana*, w którym przepowiedział pierwszą wojnę światową i jej przebieg, ale zaskakuje też niespodziewanymi jak na epokę i miejsce wierszami, w których ujmuje się za dźwigającymi ciężki los jakuckimi kobietami (*Portrety Jakutek* i *Pieśń stuletniej staruchy*).

W 1912 poeta napisał *List do jakuckiej inteligencji*, w którym opowiedział się za spokojnym życiem w granicach Rosji. Zdrowym rozsądkiem wykazał się też pięć lat później, kiedy na wylot przejrzał bolszewików. Jako szef komitetu wierchojańskiego zwołał radę, na której obwołano ich zdrajcami. Kiedy w roku 1918 na krótko zajęli Jakuck, Kułakowski zdołał ukryć kasę Wierchojańska w tundrze.

Kalandariszwilego uchodzi w prospekt Lenina w pobliżu Łogu. Można zatem skręcić tu w prawo i przez mostek pójść na Załog, ale można też w lewo, prospektem na plac Lenina, z którego widać już blask złotych kopuł cerkwi Przemienienia. Zazwyczaj idę prosto, wzdłuż brudnej wody Łogu nad Zielony Ług. Z prawej, za przetoką, chylą się drewniane domki dzielnicy Założnej, o której pisał w *Imperium* Kapuściński, a z lewej stoją blokowiska, o których nie pisał jeszcze nikt. Betonowy widok inkrustowany jest jednym tylko drewnianym budynkiem gimnazjum, za to dwupiętrowym, z drugiej połowy XIX wieku. Aleksiej Kułakowski ukończył je w 1897 roku.

Od sędziwego budynku odciąga spojrzenie wielka jak niebo dziura w jakuckiej *urbe*: to w ujściu Łogu widok obrywa się jak stromy brzeg. Tamtędy przestrzeń przenika do miasta. Do niedawna przedostawała się też woda z wiosennych powodzi, ale ujście zasypano. W ten sposób ze starej przetoki powstało kiszkowate jeziorko. Za czasów carskich wojewodów koryto przez większą cześć roku było puste, dlatego nazywano je Łogiem, czyli łąką, i wypasano tu bydło. Kwartał za Łogiem nazwano zaś Załogiem, inaczej dzielnicą Założną. To tam mieszkają potomkowie starych rodów i stoją sędziwe budynki. A czasem gruchnie stamtąd wieść o ciekawym znalezisku: słoiku ze złotem pod podłogą albo zaginionym niegdyś krzyżu z cerkwi odkopanym w kącie podwórza.

## Słówka

*Yllyk* – ścieżka. Nie miała szans posłużyć za rzeczownik „ulica”, bo to zaledwie ślad po saniach. Czyli steczka, ta wyjeżdżona na śniegu albo wydeptana w lesie. Tym samym słowem określa się płozy sań.

*Oroch* – ścieżka, ale wydeptana w tajdze przez zwierzęta. Do wodopoju, na stoku góry, przez przełęcz. Nikt nie chciałby przecież mówić: zwierzęca ścieżka Lermontowa.

*Tochtobul* – dziś przystanek autobusowy, odpoczynek. Także popas, obozowisko. Pasuje do widoku Jakucka jak stopa do własnego śladu i jest często używany. Bo Jakuck wygląda niczym wielki obóz. Nie tylko dlatego że w jego architekturze tak często wykorzystuje się stożkowaty motyw czumu albo urasy[29].

Połowa dzisiejszych Sacha to mieszczuchy. Ale ich wędrowne pochodzenie wciąż ujawnia się w języku, którym się posługują. Czasownik *kös*, czyli koczować, w podstawowym znaczeniu z czasów Kurykanów i Czyngis-chana używany już tylko w tajdze, ma też kilka innych znaczeń szczególnie przydatnych w mieście. Pozwala opowiedzieć o zmianie pracy, stanowiska, przeprowadzce bądź podróży. Za pomocą „koczowania” opisuje się też losy zsyłanych tu więźniów cara i Stalina[30]. A dziś w autobusie usłyszałem, że *kös* znaczy też „przesiądź się”.

Starojakuckie *kös* ma niewątpliwie wspólne pochodzenie z tureckim *köcz*, które poprzez rosyjski dało początek polskiemu „koczować”. I tak w autobusie na końcu świata trafiłem na początek dobrze znanego słowa.

*

Dwaj Słowianie w autobusie numer pięć:

– Po chuj ci inostrańcy uczą się jakuckiego?

– *Szpiony…*

– W TV Sacha widziałem, pokazywali ich.

– *Szpiony…*

– Są Japońce, Kitajcy, Polak, Amerykanka. I *faszysty* nawet. (Śmiech).

– *Szpiony.* Wtyczki. Kontakty operacyjne. Natowskie śpiochy. Werbują Jakutów. Przecież my tu na tablicy Mendelejewa jak na pierzynie siedzimy! To nie żarty.

– Ale na chuj im ten trudny język? Ruski by im starczył, nie? Że też im się tak chce…

– *Szpiony, szpiony.*

– Jeden *Koriejec* to dwa lata już tu siedzi i nic tylko „Zdrawstwuj, da, zdrawstwuj”… i ni chuja *bolsze.* A po coś siedzi, nie?

– Mówię ci: *szpiony. Razwiedcziki.*

– Takie czasy, że każdy może przyjechać. Nie wiesz, z kim w autobusie jedziesz.

*

Samogłoski jakuckie wydają się szersze i swobodniejsze niż ich polskie odpowiedniki, ale polskich można od biedy używać w jakuckich frazach. Bo fonetyka syberyjskich języków tureckich, czyli wielu języków południowej części Syberii, poza kilkoma wyjątkami jest podobna do słowiańskiej. Języki Jakutów, Szorów, Tofalarów, Sojotów i Tatarów można opanować w ciągu roku. Tymczasem w Jakucji zaledwie dziesięć tysięcy nie-Jakutów deklaruje znajomość drugiego urzędowego języka republiki. Naucza się go w szkołach podstawowych i średnich, ale obowiązkowym językiem wykładowym jest tylko na wydziale filologii jakuckiej. Czasem można tam spo-

tkać nielicznych studentów z zagranicy, co niektórych mieszkańców Jakucka bardzo, ale to bardzo dziwi.

# Słownik języka jakuckiego III

## Strony świata

Jakuckie słowa porządkujące krajobraz plączą się po głowie jak siano we włosach po drzemce w stogu na podmiejskich łąkach. Jakby ich znajomość mogła ustrzec przed zabłądzeniem w rozległym kraju i pozwoliła czuć się bezpieczniej. A miejscowy język miał być panaceum na pierwsze objawy lekkiej agorafobii. W mieście raczej nie grozi, ale dość wyjrzeć na Zielony Ług, by pojąć, że wschód, zachód, północ i południe muszą tu starczyć za tak dobrze znane współrzędne jak Poznań, Warszawa, Kołobrzeg czy Zakopane. „Przestrzeń” nazywają Jakuci *kujaar*. Niepokoi mnie, że tak samo jak szaleńca.

*Argha* – to zachód, ale też tył. Niekoniecznie z powodu, jak by się zdawało, jakiegoś pokoleniowego marszu koczowników na wschód. Po prostu wschód (słońca) to dla Jakutów pewien archaiczny przód, początek, kierunek, w którym patrzysz po przebudzeniu. Oczywiście jeśli nie śpisz w bloku czy w chałupie.

*Ilin* – przód i wschód zarazem. Początkujący studenci filologii jakuckiej z zagranicy często tłumaczą to słowo jako „wschodni”, w efekcie uzyskując „wschodnie nogi konia”, miast przednich, i „wschodnie zęby”, zamiast siekaczy. Co ważne – *ilin* oznacza też przyszłość. Jest jednym z tych słów, w których czas zgodnie łączy się z przestrzenią, co tak często zdarza się w jakuckim.

*Soghuruu* – to geograficzne południe, ale kiedy Sacha mówią, że ktoś pojechał *soghuruu*, to często chodzi o zachód. Niegdyś wszyscy, którzy opuszczali Jakuck, podróżowali na południe, Leną bądź wzdłuż Leny, ale po dotarciu do Irkucka, czyli Wielkiego Szlaku Syberyjskiego, kierowali się na Moskwę, czyli na zachód. Stąd do dziś o kimś, kto

wyjechał do Moskwy lub do Europy, choćby i samolotem, mówi się, że pojechał na południe.

*Chotu* – oznacza północ. Najczęściej słychać je w wyrażeniu *chotu dżono*, czyli ludzie Północy. Tak mówi się o żyjących za kołem podbiegunowym Ewenach, Ewenkach, Jukagirach i Czukczach, najczęściej w kontekście jakiejś strzelaniny bądź bijatyki, czasem podziwiając ich wytrzymałość i umiejętności łowieckie. Kiedy „Jakuck Wieczorny" donosi, że podczas kłótni ktoś w Tiksi bądź Momie zastrzelił adwersarza, czytelnicy kwitują: „*Chotu dżono*". A studentki medycyny drżą ze strachu, że dziekan może je wysłać tam na rok czy dwa w ramach odrabiania pańszczyzny za bezpłatne studia.

Prospekt Lenina – czyli piąta strona świata. Główna arteria Jakucka. Wyasfaltowana prosta, którą zna każdy mieszkaniec miasta, ale i pastuch z tundry nad Oleniokiem, myśliwy z olokmińskiej tajgi i rybak znad północnych rzek. Był tu każdy jakucjanin i prawie każdy Jakucjanin, wszyscy mają stąd zdjęcie albo chociaż wspomnienie, o którym opowiadają jednym tchem zaraz po relacji z kołchozowej wycieczki do Moskwy czy Petersburga. Może więc na Lenina leży geograficzny środek Jakucji? Może stąd Jakuci odmierzają odległości i liczą kilometry, porządkują i pozycjonują?

## Prospekt Lenina

Na mapie grodu z 1776 roku z trudem można, pomiędzy bezładnie stojącymi chałupami, wytyczyć przyszły prospekt. Ale już na planie z 1846 roku biegnie wyraźnie jak Lena między równo ustawionymi obejściami urzędników, kupców i kozaków. Wówczas nazywał się ulicą Bolszą. Znamienne, że Bolsza była końcem szlaku z Irkucka i zarazem jego przedłużeniem. Niepostrzeżenie bowiem, wiodąc za miasto, przechodziła w trakt do Ochocka. U swego zarania był więc Jakuck nanizany na szlak jak podróżny krzyżyk na sznurek pod koszulą prawosławnego kupca. Pełen ludzi drogi: przewodników, tłumaczy, kupców, rabusiów i handlarzy niewolników. W jego miejskich i prywatnych łaźniach kwitły niewielkie burdele, zwane domami *tierpimosti*, czyli… tolerancji. W licznych szynkach i oberżach trwały nieprze-

rwanie pijatyka i rozmowa o drodze: ci, którzy lada dzień wyruszali, wypytywali świeżo przybyłych o brody, wołoki[31] i mosty, o tuziemców, niedźwiedzie i niebezpieczne oparzeliska na lodowych przeprawach przez rzeki.

Prospekt Lenina zaczyna się przy cerkwi Bogurodzicy, gdzieś w odległych zakątkach Załogu, a dawny wyjazd nad Lenę i do Irkucka tarasują dziś dieriewiaszki. Cerkiew stoi, jak ją majster stworzył: bez ikonostasu, polichromii, bez drzwi i okien nawet, odarta z tynku i pozłoty. Ulica ucieka stąd w stronę miasta, mijając nieliczne stare domy. Za skrzyżowaniem z Czepałowa trwa właśnie rozbiórka jednego z nich, drewnianej apteki z 1904 roku, która działała jeszcze kilka miesięcy temu.

Dalej, przez most na Łogu, prospekt opuszcza Załog i grubą krechą asfaltu podkreśla plac Przyjaźni Narodów przed Teatrem Opery i Baletu, gdzie niegdyś stała twierdza Prikłońskiego. Najpierw otaczał ją solidny płot, z czasem postawiono wokół palisadę z ośmioma basztami. Ulice Piotrowskiego i Kalandariszwilego powstały ze ścieżek wydeptanych wzdłuż jego flanek, podobnie jak obecny prospekt Lenina, którym dawniej wyjeżdżano z warowni do podgrodzia. Nie bez kozery naprzeciw dawnej bramy, gdzieś tam, gdzie wznosi się gmach Instytutu Geologii Diamentów, stała cerkiew Matki Bożej Hodegetrii, czyli Wskazującej Drogę.

Po starej cerkwi nie ma śladu, są za to piętrowe bunkry, których frontony otwierają betonowy tunel prospektu Lenina. Zwarte ściany ciągną się aż do skrzyżowania z Oktiabrską, gdzie pośród współczesnych sześcianów wyróżnia się zbudowany w rusko-bizantyjskim stylu bieluśki budynek dawnego sądu okręgowego. Ze starego widoku miasta ocalała tu również wzniesiona w tymże stylu czerwona bryła biblioteki imienia Puszkina, zwanej Puszkinką. Projektantem obydwu był Polak Klemens Leszewicz. Co ciekawe, nie zesłaniec, tylko carski urzędnik. Sprowadził go do Jakucka Iwan Iwanowicz Kraft, jeden z najbardziej zasłużonych dla stolicy cywilnych gubernatorów Jakutskoj obłasti.

Za skrzyżowaniem betonowy korytarz wiedzie na plac Lenina, asfaltowy skwer otoczony ciężkimi modernistycznymi bryłami budynków rządowych i siedziby spółki ALROSA, największego w świecie wydobywcy diamentów. W budynku rządowym numer jeden urzęduje prezydent republiki. By wznieść siedzibę dzisiejszych tojonów, zburzono dziewiętnastowieczny sklep kupca Gawriła Nikiforowa. Zespojone zaprawą z jajek mury trzeba było wysadzić w powietrze, bo nie imał się ich ni kilof, ni młot. Nikiforowa

nazywano Manńyattaach, czyli Kasiasty. Uciekł po rewolucji, jak wielu innych kupców, ale został jego klucznik, pilnujący składów w rodzinnym Menge-Kangałas. I aż do lat siedemdziesiątych minionego wieku palił carski tytoń i pił prasowaną herbatę z zapasów Kasiastego.

Nad ruchliwym prospektem dominuje pomnik wodza rewolucji, wersja z palcem wskazującym skierowanym na wschód, znaczy na prawo. Rzeczywiście, jak żartują studenci, Władimir Iljicz wygląda, jakby łapał stopa. Do roku 1957 pośrodku placu stał Gostinnyj Dwor, czworobok sklepów z dziedzińcem wewnętrznym i zewnętrzną kolumnadą, a całość otaczały cztery ulice i domy mieszczan. Dziś miejsce po zabytku z 1836 roku zdobi fontanna z lat osiemdziesiątych, według standardów syberyjskich nieodłączny atrybut miasta.

Budowniczowie powojennego Jakucka wyraźnie chcieli przy prospekcie wyznaczyć jakieś centrum, dlatego na placu stanął Lenin. Tymczasem jakkolwiek wyobrażać by sobie miasto: w kształcie kwadratu, prostokąta czy rombu, środek nijak nie chce wyjść ani w miejscu, gdzie stoi Lenin, ani w geometrycznym centrum figury. Każdy wie, że prawdziwy środek leży na skraju grodu, gdzieś w cerkwi Przemienienia Pańskiego albo na dziedzińcu Krużała. Szukać go trzeba nad brzegiem Leny, tuż obok nieistniejącej warowni Gołowina. I wtedy, by zachować prawidła symetrii, trzeba uznać, że częścią miasta jest też te kilka wysp przylegających do niego od wschodu. No i sama Lena. W czasie powodzi, kiedy w jej nurcie miasto może się przejrzeć jak w lustrze, Jakuck zyskuje swoją drugą połowę i bywa kompletny. A środek geometryczny zgadza się z historycznym.

Betonowy tunel ciągnie się dalej do hotelu Gwiazda Polarna. Ponoć – jeśli się długo wpatrywać – dostrzec można w jego bryle kształty jakuckiego balaghanu i zarazem oszlifowanego diamentu. Hotel stoi na cmentarzu i ruinach cerkwi Jana Chrzciciela zbudowanej w 1820 roku. Przed pobliskim Teatrem Rosyjskim do niedawna znajdował się dom, w którym część zesłania odbył Josafat Ohryzko, komisarz powstania styczniowego. Przy przecznicy Korolenki przetrwał zaś budynek dawnego biura aerogeodezyjnego, w którym opracowywano pierwsze profesjonalne mapy Kołymy. W sklepie kartograficznym Globus na parterze został z tamtych czasów stos starych map, zaledwie osiemdziesiąt rubli za sztukę. Można znaleźć na nich łagry i dokładny projekt Trasy Kołymskiej. W górnym prawym rogu każdego arkusza widnieje napis: „*S I E K R I E T N O*”.

Z Globusa już tylko parę kroków do kinoteatru Centralny, zbudowanego w latach czterdziestych przez przedsiębiorstwo budowlane Gułag. Nazwa kina zdaje się sugerować, że środek znów jest gdzieś blisko. Tym bardziej że naprzeciwko stoi budynek rady miejskiej i mera miasta (ważne: pierwszy sześciopiętrowy budynek w tej części świata, a z 1978 roku). Przed Centralnym na małym placyku spotyka się młodzież, tu redakcje gazet organizują finały konkursów, a czasem zawody. Na przykład na najdłuższy pocałunek, czternastego lutego przy trzydziestu stopniach mrozu. Centralny to chyba jedyne miejsce, gdzie w kraju o zaludnieniu trzy dziesiąte człowieka na kilometr kwadratowy co wieczór można spotkać spory tłumek. Ale tylko dlatego że przy placyku jest też przystanek autobusowy.

Gdy maszeruje się dalej prospektem, trudno uwierzyć, że jeszcze pół wieku temu wyznaczały go szeregi drewnianych domów, częściej carskich niż sowieckich. Rewolucja widoku zaczęła się tu w latach sześćdziesiątych, gdy z Leningradu wrócili pierwsi wykształceni architekci, obwieszczając koniec epoki cieśli i początek czasów murarzy. Na jej czele stanął Dmitrij Sawwinow, Sacha z Wiluja wychowany w tradycyjnym balaghanie. Znawcy historii Jakucka powiadają, że to najważniejszy okres w historii Jakucji, nie mniej przełomowy niż przyjście kozaków. Kiedy w 1971 roku otwarto kombinat *krupnopanielnogo domostrojenija*[32], Jakuck z wolna zaczął przybierać wygląd osiedla z wielkiej płyty. Budowane na potęgę kapiedieszki zasłoniły stary gród. A drewniane domy z XVII wieku zginęły bezpowrotnie.

Z Centralnego już tylko jeden przystanek autobusowy do placu Ordżonikidzego. Na mapie sporządzonej tuż przed rewolucją plac to spora płacheć ziemi pomiędzy zabudowaniami monastyru Zbawiciela a leżącymi nieco dalej więzieniem i winiarnią. Pole obrastało powoli drewnianą zabudową, aż po wojnie stanął na jego zachodnim, węższym krańcu wielki budynek mieszkalny ze sklepami na parterze. Stoi do dziś, na rozdrożu dwóch ulic: Aleksiejewa i Dzierżyńskiego. Przy tej drugiej na miejscu carskiej tiurmy postawiono gmach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a w miejscu, gdzie siedzieli Sieroszewski i Piekarski – pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Ulica imienia pierwszego czekisty biegnie daleko za miasto, mija Lermontowa, Chiński Rynek, lotnisko i już jako Trakt Namski wsiąka w widok gdzieś pod myraanami. *Na placu spośród stalinowskich monumentalnych brył wyróżnia się nowy teatr imienia Ojuńskiego. Autorem projektu jest oczywiście Sawwinow, który tym razem elementy jakuckiego balaghanu wstawił*

*w ramy klasycznego sześcianu. Jak opowiada zagadnięty uczeń pobliskiego* liceum sztuk pięknych, teatr ma ruchomą scenę, osobną salę prób, a w dwupiętrowym otwartym foyer zachowana jest zasada „przeciekającej przestrzeni”.

Co to dokładnie oznacza, nie zapytałem, bo ciągnęło mnie już na skraj miasta, gdzie prospekt Lenina urywa się nad starym korytem Leny. Jeszcze osiemdziesiąt lat temu biegł nabrzeżem jako droga do Ochocka, dziś rozpływa się w alei Chabarowa. Można wrócić stąd skrajem widoku do znajomej ulicy Czernyszewskiego i dalej, wzdłuż Zielonego Ługu, obok Krużała i cerkwi Przemienienia, dojść z powrotem na Załog. Otacza się wtedy miasto od wschodu i widać jak na dłoni, że leży na skraju olbrzymiej pustki. A zasada przeciekającej przestrzeni, założę się, jest tu równie skrupulatnie zachowana jak w *foyer* teatru imienia Ojuńskiego.

## Trzynasty dzień miesiąca domu

Była ogromna, większa od tych, które widywałem na stancjach w Warszawie i w transsyberyjskich płackartach. Rudobura i płaska jak strup. Pluskwa. Wielka samica. Dziś rano. Pojechaliśmy ze znajomym na jego daczę przywieźć stamtąd trochę mebli do naszego pustego mieszkania. Zwyczajnie poczułem, że się na mnie gapi z ciemnej szczeliny za regałem. A ponoć nie widzą i oczy potrzebne im są tylko do tego, by mogły zbadać, czy jest już dostatecznie ciemno. Cierpią na heliofobię.

Pierwsze, o czym pomyślałem, było to, że pewnie jest z pokoleń kołymskich pluskiew łagrowych, wspominanych przez tych, którzy przeszli Gułag. Łagry były też w samym Jakucku, wszak zekowie budowali miasto. Co zbudowali, to i zapluskwili.

W rzeczywistości *Cimex lectularius* siedziała nie tylko w łagrach, ale też w ciemnych lochach wojewody Gołowina, o czym mniemać pozwala jej dawno powstała jakucka nazwa *chaptagaj*. Należy więc do jednych z najstarszych mieszkańców miasta. Trudno ją zobaczyć, bo jest płaska jak skrawek papieru i aktywna tylko o zmroku. Trudno się jej pozbyć nawet w niskich temperaturach, bo potrafi hibernować. Samiec przebija penisem odwłok samicy i tam zostawia nasienie. Tak traumatycznie zapłodniona matka

potrafi w ciągu wiosny znieść do pięciuset jaj, z których młode wyklują się już po dziesięciu dniach.

Pierwsi jakucjanie radzili sobie z tym szałem rozmnażania, opuszczając domy na kilka dni w największe mrozy. Zabierali też pluskwy z własnej pościeli na pogrzeby i wrzucali je do grobów, mówiąc: *„Kuda grob, tuda kłop”*[33]. Ci, co mieszkali w okolicach cerkwi Przemienienia, rzucali owady na kry sięgającej tam do niedawna Leny, zaklinając: „Ljod potaszczit i wsiech utaszczit”[34]. Jednak najciekawszy znany syberyjski sposób magicznej dezynsekcji wymagał zaangażowania wszystkich domowników: należało omotać dwie pluskwy nicią i całą rodziną wyciągnąć je przez próg. Zapewne to dlatego widuje się je dziś coraz rzadziej.

## Piętnasty dzień miesiąca domu

Park Kultury i Odpoczynku huczy od muzyki, a naprzeciw pomnika Lenina ze sceny słychać ostry jakucki rap: Jakuck obchodzi trzysta siedemdziesiąte szóste urodziny. Właściwie nie wiadomo dlaczego dziś, skoro Pietruszka Bekietow ukończył budowę ostrogu 25 września (według starego stylu), o czym sam zresztą donosi carowi w swoich zapiskach. Rocznica wypadałaby zatem, według nowego stylu, 8 października (dodać trzeba trzynaście dni). Ale kto by zważał na kilkanaście dób, kiedy celebruje się trzysta siedemdziesiąt sześć lat?

Jakuci do dziś nie mogą się zdecydować, czy był to podbój, czy dobrowolne poddanie. Spotyka się jeszcze eufemistyczne „przyłączenie”. A przecież kiedy Bekietow wylądował nad Leną i zaproponował potomkom rodu Bötüngów carskie zwierzchnictwo, ci zaczęli szyć do niego z łuków. Dopiero gdy schwytał Doka, syna księcia Kamyka, książątko zgodziło się płacić jasak i przysiąc wierność carowi. Zaraz potem Bekietow napadł na sąsiednich Diupsiuńców, zabił księcia Kruka i pięciu jego przednich ludzi, wziął w niewolę Sureniaka, tojona rodu chatyryckiego, i porwał Noguja, brata księcia Batulińców. Tojonów brał jako zakładników, zmuszając tym samym ich poddanych do płacenia jasaku. Kiedy jesienią napadli na niego Megińcy, mógł już się skryć za palisadą warowni. Zabił dwudziestu i zamknął dwóch krewnych wodza Buruchi. Przed zimą rozbił jeszcze oddział szamana Inieni, a czarownika wtrącił do lochu. W marcu 1633 roku znów zbun-

towali się Diupsiuńcy. Walczyli w drewnianych schronach, pod które kozacy po długim oblężeniu podłożyli ogień, paląc w ten sposób żywcem około stu wojów. W czołobitnej[35] do cara Bekietow pisze, że po tej „bitwie” ponad trzydziestu tojonów zgodziło się ukorzyć przed Tym, Który Jest Daleko[36]. Jakucja została podporządkowana młodemu państwu carów. Kolejne powstanie z lat 1633–1634 niczego już nie zmieniło.

W czasie bitew jakuccy booturowie[37] dziwili się ranionym z samopałów i muszkietów towarzyszom.

– Jak możecie umierać od ranki wielkości gza? – pytali z niedowierzaniem i złością.

## Zimno

Nad ranem termometr pokazał minus dwa stopnie. To znak, że zaczyna się wielkie zimno. Kozacy Bekietowa trzysta siedemdziesiąt siedem lat temu mieli już gotową palisadę i domy. Według relacji kangałaskich Jakutów *nuuczcza przyby*li nad Lenę z przygotowanymi zawczasu fragmentami umocnień. Wiedzieli, kiedy zaczynają się tu mrozy, bo był z nimi doświadczony Jakunka Zarubow, pierwszy kozak, który mówił po jakucku i znał tajgę nad Leną jak własną kieszeń.

Co rano słucham prognozy pogody z całej republiki. Za Górami Wierchojańskimi, nad Janą, Indygirką i Kołymą zawsze najzimniej. Tam zima dawno już przyszła. Kapuściński, łażąc po Workucie, rozmyślał, że do zimna nie można się przyzwyczaić. Jeszcze siedemdziesiąt lat temu większość Jakutów, Ewenów i Ewenków żyła w balaghanach i czumach, co oznacza, że nieustannie marzli. Potem marzli i zamarzali jeszcze zekowie w łagrach Kołymy. Dopiero w latach sześćdziesiątych, kiedy łagry nieco opustoszały, a większość Sacha zamieszkała w wioskach i w mieście, ludziom zrobiło się tu trochę cieplej. Co roku przyjeżdżają do Jakucji tysiące gastarbeiterów z republik byłego Sojuza i co roku tysiące stąd wyjeżdżają. Bo przyjezdni nie mogą się przyzwyczaić do zimna. Jakucki folklor przedstawia mróz nie w postaci Dziadka Mroza, tylko Byka Zimy. Nad Leną mróz nie szczypie, lecz bodzie.

## Siedemnasty dzień miesiąca domu

Lena wylała. Płynie wzdłuż granicy zabudowań i powstrzymuje ją już tylko ulica Czernyszewskiego. Miasto zyskało na parę dni odbicie w wodzie i w końcu jego widok jest kompletny. Jak na starych kozackich mapach. Jeszcze przed rewolucją woda utrzymywała się tutaj przez okrągły rok, ale z czasem cofnęła się pod wschodni brzeg, odsłaniając połacie Zielonego Ługu. Warłam Szałamow wspomina o tym w rosyjskim wydaniu *Opowiadań*, opisując swój powrót z Kołymy przez Jakuck w 1954 roku. Pisarz skrzętnie zanotował, że choć Jakuck leży nad Leną, to do rzeki stąd kawał drogi – trzeba iść przez wysychające i zapiaszczone koryto. Dziś porosła je trawa i czterdzieści gatunków podobnych do siebie wierzb. Stolicę Jakucji z lat pięćdziesiątych nazwał Warłam Szałamow wielką wsią.

*

Jakucki historyk Jegor Antonow mityguje mnie, że tak naprawdę nie wiadomo, czy w 1633 roku kozacy spalili Jakutów, bo dowodów na to nie ma. A przecież sam Bekietow pisze o tym w meldunku do cara. Relację sotnika wykorzystuje zaś w swoich pracach wielu badaczy. O spaleniu jakuckich wojowników wspomina również Wacław Sieroszewski w swoim etnograficznym *opus magnum*. Sieroszewski notował relacje mieszkańców Namu, pośród których spędził sześć lat zesłania. Tyle że w namskiej wersji bitwy kozacy spalili wojów Tygyna, tymczasem Bekietow zamknął w ambarze[38] ludzi innego wodza, Ospieka. Opowieść czekała trzy wieki na zapisanie, nic dziwnego, że zblakła, a z czasem miejsce Ospieka mógł zająć uważany za najwaleczniejszego wśród Sacha Tygyn Darchan. Może też Sieroszewski zapisał historię zupełnie innego wypadku?

Jego *Dwanaście lat w kraju Jakutów* czyta się jak współczesne reportaże podróżnicze. Opisał Jakucję, poczynając od geografii, poprzez gospodarkę i architekturę, kończąc na jej mieszkańcach, ich pochodzeniu, codziennym życiu i zwyczajach. Czytelnik znajdzie tam informacje o wyglądzie jakuckiego noża i o zwyczajach weselnych, o sposobach na bezpłodność i o kulcie niedźwiedzia, o mydle i o powidle, prawie dosłownie. Dzięki tej książce i dzięki słownikowi autorstwa innego Polaka – Edwarda Piekarskiego – Jakuci zostali najlepiej opisanym narodem Syberii.

## Sieroszewski

Najpierw – na złość carskiemu belfrowi – schował pod podłogą klasy pozytywkę wygrywającą *Mazurka Dąbrowskiego*, potem wyrzucili go z gimnazjum. Nic dziwnego, że szybko trafił do X Pawilonu – za pomoc w ucieczce z Warszawy do Galicji towarzyszom z tajnej organizacji. Był rok 1877. Szlachectwa się wyrzekał, ale i tak kontynuował rodzinne tradycje: w celi znalazł wyryte „na podokniu" nazwisko swojego ojca, weterana z 1863 roku. Byłby się zapewne wykpił i dostał lżejszy wyrok, ale na wieść o zastrzeleniu więźnia Józefa Bejta cisnął w naczelnika Cytadeli wyrwaną ze ściany ramą okienną. Dostał za to osiem lat katorgi, co z racji młodego wieku zamieniono mu na *posielenije*, czyli osiedlenie, w Jakucji. Kiedy zatrzymawszy się z etapem w okręgowym więzieniu w Krasnojarsku, znów wyłamał wrota, by bronić bitego kajdaniarza, nie miał jeszcze pojęcia, że wyrok złagodzono. Dopiero w Irkucku dowiedział się, że nie czeka go twierdza. Jednak za połamane wrota wysłano go aż za Góry Wierchojańskie.

Do Jakucka przybył Sirko sannym etapem w kwietniu 1880 roku – na czełdońskich[39] saniach i pod kozacką strażą. Tu zaczęło się sześć lat pełnych awantur i podróży: już to prób i planów karkołomnych ucieczek, już to malowniczych rajdów pomiędzy kolejnymi miejscami zesłania. O mieście nie wspomina za dużo, spędził w nim zaledwie kilka dni, bo póki był śnieg, trzeba było jechać dalej. Kozacy dowieźli go do Wierchojańska, małej osady za Górami Wierchojańskimi. W kilkanaście miesięcy nie tylko nauczył się polować i łowić miętusy, otworzył warsztat ślusarski, znalazł żonę i spłodził córkę, ale też zbudował w tajemnicy wielką łódź, skrzyknął grupę zesłańców i dwa razy próbował ucieczki. Za tę drugą – szaleńczą próbę spłynięcia Janą do Morza Łaptiewów i podążenia dalej, wzdłuż jego brzegu, do Ameryki – sąd skazał go na baty i osiedlenie na Kołymie: sto wiorst[40] od miasta, sto od drogi i sto od rzeki. Baty ominęły go tylko dlatego, że w całym Wierchojańsku nie było akurat ni knuta, ni kata. A ucieczka Janą udałaby się, gdyby nie lekkomyślność jednego z towarzyszy, który zdezerterował i wpadł w ręce wynajętych przez policję Jukagirów. Znad Jany pod strażą wysłano Sirkę nad sąsiednią Kołymę, na uroczysko Andylaach, na „kresy lasów". Komendant kołymskiej policji Bolesław Kaczorow-

ski, Polak, nie śpieszył się jednak z wykonaniem wyroku. Wacław zamieszkał tymczasowo u Jakutów Slepcowów, których krewny Ujbaan został chyba najważniejszym informatorem i tłumaczem przyszłego pisarza. Notatki sporządzał Wacław już od początku znajomości z żoną Annuszką, kiedy snuł jeszcze plany pierwszej ucieczki, ale to właśnie na Kołymie postanowił zostać pisarzem Sybiru. Atrament robił z soku z wierzby, zeskrobanej rdzy i sadzy, pisał piórami dzikich gęsi. Najtrudniej było z papierem: notować przyszło mu na korze brzozowej, deseczkach i zapisanych skrawkach listów. Z tych palimpsestów wyłoniło się pierwsze opowiadanie: *Chajlach*, a także zaczyn późniejszych prac etnograficznych. U Slepcowów Sirko intensywnie uczył się też jakuckiego, doskonalił w tropieniu i polowaniu. Cudem przeżył epidemię ospy. Życie mieszkańców Andylaachu pochłonęło go tak bardzo, że złapał ciężki syfilis.

W 1884 roku Sirko wyjechał do odległego o sześć dni jazdy Średniekołymska. We wspomnieniach podaje, że wezwał go komendant Kaczorowski, ale nie wiedzieć czemu pan Wacław zakwaterował się w szpitalu dla syfilityków. Kiedy już zaleczył *lues*, od razu uruchomił zakład ślusarski. Zarabiał tyle, że mógł pomóc towarzyszom i jeszcze wysyłać pieniądze Annuszce i córce Marysi. Okres spokoju skończył się wraz z przenosinami komendanta Kaczorowskiego na południe, do Olokmińska. Jego miejsce zajął Władimir Gawriłowicz Karzin, ten sam, który z Jukagirami i Jakutami pojmał Sirkę u ujścia Jany. Nowy komendant pamiętał o wyroku i wysłał Sieroszewskiego tam, gdzie poprzedni był powinien: sto wiorst od rzeki Kołymy, sto od tajgowego duktu i sto od osady, którą jest „miasto” Średniekołymsk. Z uroczyska Jąża bliżej już było na Alaskę niż do Jakucka, toteż Sirko postanowił tym razem wiać do Ameryki przez Czukotkę. Zaczął intensywnie wkuwać czukockie słówka i uczyć się zwyczajów wojowniczych pasterzy renów. Kiedy poznał je na tyle, by zrozumieć, że Czukcze obcych chętnie biorą w niewolę i zmuszają do pracy, porzucił ten wariant. Z Jąży wydostała go siostra Paulina, jakimś cudem wystarawszy się o przeniesienie Sieroszewskiego na południe, tuż za Góry Wierchojańskie, nad Ałdan. Łagodny klimat wielkiej rzeki pozwalał mu żywić nadzieję, że w końcu naje się do syta. Tymczasem nigdzie chyba nie głodował właśnie tak, jak mieszkając w Ebee. Tamtejsi Jakuci nie chcieli mu oddać ziemi pod zasiew, zatem żeby wykarmić siebie, Marysię (Annuszka zmarła i córka zamieszkała z nim) i współzesłańca Kornela Bagrynowskiego, Sieroszewski znów zajął się po-

łowem ryb. Jednocześnie cały czas słał do Jakucka prośby o przeniesienie nad Lenę, do ułusu Nam, gdzie warunki życia były łatwiejsze i skąd blisko było do stolicy. Jesienią 1886 roku otrzymał zgodę, a w grudniu wraz z córką był już w Namie. Na uprawie ziemi i pisaniu spędził tu ostatnie, nieco tłustsze i spokojniejsze sześć lat zesłania.

*

Mało który z Polaków i syberyjskich podróżników tak dokładnie zdeptał Jakucję jak pan Wacław. Zjeździł jakucką północ wszerz i wzdłuż, pieszo, konno, na grzbiecie rena i w łodzi. Podróż z Jakucka do Wierchojańska okazała się bezcenna dla jego badań etnograficznych, poświęcił jej po latach oddzielne wspomnienie. Wykorzystać potrafił nawet pierwszą ucieczkę z Wierchojańska i kilkudniowy marsz po okolicznej tajdze. Kiedy uciekał drugi raz, łodzią po Janie, jako jeden z nielicznych widział sławne Szczioki, czyli skalistą gardziel, przez którą w dolnym biegu przedziera się Jana. Gdy zaś pojmali go łucznicy komendanta Karzina, wyprosił u niego zgodę na powrót do Wierchojańska konno. Dzięki tej podróży był bodaj pierwszym uczonym, który widział w całości i tak dokładnie opisał dolinę Jany. Na Kołymę jechał zaś z kozakiem Trzywargim i przekraczając Indygirkę, przeciął szlak Czerskiego. Ostatnią wielką podróż północną odbył z Kołymy do Jakucka. Kiedy osiadł w ułusie namskim, wędrował już mało: w ujście Ałdanu, raptem osiemdziesiąt kilometrów na północ od Namu, i niewiele więcej na południe, głównie do Jakucka.

Koniec września to ostatni dzwonek, by szukać śladów pisarza w Namie. Śladów, nie tropów. Śladami myśliwi nazywają oznaki działalności zwierzęcia czy człowieka, tropami zaś same odbicia stóp, łap i kopyt. Starych śladów dobrze jest szukać, zanim spadnie śnieg i przyjdą mrozy. Trzeba się zatem śpieszyć, bo lada dzień przykryje je biel. Tropów już się nie znajdzie, bo ostatnie zmyły jesienne deszcze po jego wyjeździe latem 1892 roku. No, chyba że odcisnął je w czyjejś pamięci. Ekskursję szykujemy z profesorem Kołodieżnikowem już od wiosny.

# Nam

## Namierzanie

Według mapy Nam leży jakieś sto kilometrów na północ od Jakucka w dolinie Engsieli. Autobusy jeżdżą tam rzadko, więc wybraliśmy się toyotą Stiepana Konstantynowicza. Profesor zajechał po drodze na dworzec autobusowy, gdzie zawsze można znaleźć czekających na okazję i biorąc ich ze sobą, zarobić parę rubli na paliwo. Najłatwiej o kogoś do Zarzecza, to jest do Tatty, Boroghonu, Mai czy Amgi, bo tam autobusy nie jeżdżą wcale. Mówiąc „Nam", Jakuci mają na myśli miasteczko, ale też całe terytorium ułusu, toteż kiedy zabieramy dwóch pasażerów, dopiero po krótkiej rozmowie okazuje się, że wysiadają po drodze, w Chamaghatcie i Üödeju. W samym Namie jesteśmy po niespełna dwóch godzinach. Tu znajdowała się *uprawa ułusu, cz*yli zarząd, któremu bezpośrednio podlegał zesłaniec Sieroszewski.

Najpełniejszy opis swojego obejścia zostawił w *Pamiętnikach. Gospodarstwo znajdowało się o pięć wiorst na północ od budynku zarządu, a o dwie wiorsty na zachód od brzegu Leny. Stoi tam dziś, a raczej chwieje się, wieś Appany. Dom, dwa ambary i jakucką oborę kupił Sirko od zesłańca Iwana Piotrowicza Rozienowa. Nieopodal biegła jedyna tu droga na północ, tuż obok zabudowań błyszczało jeziorko. Wokół obejścia ciągnęło się też te piętnaście dziesięcin, na których z takim trudem siał zboże, walcząc z susłami północnymi, pasikonikami i Jakutami. Były też ogród, płoty i serge,* czyli drewniany słup do wiązania koni.

Dom Sirki wyróżniał się, bo w przeciwieństwie do jakuckich siedzib miał spadzisty dach i dwa oszklone okna. O północną ścianę wspierał się skromny balaghan, który pan Wacław nazywał kuchnią. Do kuchni zaś przylegał jeszcze ażurowy okólnik dla bydła. Sirko mieszkał z Marysią, ale miał też gospodynię Okulinę, która żyła w kuchni wraz ze ślepą przyjaciółką Ketris, jej synkiem i kurami. A że ściągnął znad Ałdanu Kornela Bagrynowskiego i często gościł innych zesłańców, zbudował „w kącie podwórza" nowy bala-

ghan. Poza Bagrynowskim przemieszkiwali tam jeszcze Franc Cobel z Łodzi i Leonard Frenkel z Warszawy. Czasem wpadał Feliks Kon, też warszawiak, jeszcze częściej znany w okolicy lekarz Aleksander Sipowicz, wilnianin. Polaków i polskich Żydów było tu tak wielu, że nawet Mania i Okulina zaczynały rozumieć po polsku.

– Nikt taki tu nie mieszka – na pytanie o Sieroszewskiego odpowiada spotkany na skraju Appany jeździec.

O takim nazwisku nie słyszał też Prokop, który prowadzi kobyłę po inseminacji i ostrzega, że „jeszcze bryka". Pomóc nie mogą również Siemion, pracujący przy ogacaniu domu, ani sklepowa i bibliotekarka, choć dobrze wiedzą, kim był pan Wacław. Wieś Appany, jak większość wiosek w Jakucji, powstała dopiero po kolektywizacji, czyli w latach trzydziestych. A i to bardziej na papierze niż w przestrzeni. Sacha żyli wówczas tak jak za Bekietowa, w ogromnym rozproszeniu – dwie, trzy jurty na nadrzecznych łąkach *kytył* bądź jeziornych, okrągłych jak patelnia alaasach. Spotykali się rzadko, na weselach czy dla wypitki, czasem, żeby posłuchać *olongcho*. Sieroszewski nie miał więc raczej sąsiadów. Rodzina, która mieszkała najbliżej, zmarła na wąglik w 1888 roku, a ich balaghan spalono. W gminie na nasz widok wzruszyli ramionami (wójta nie ma) i odesłali nas do Mikołaja Siemionowicza Gawrilewa, najstarszego mieszkańca Appany.

Staruszek Mikołaj Siemionowicz jest chyba z drewna, z kruchych patyków i suchej kory modrzewia. Oczy ma nie swoje, raczej sowy (puszczyk mszarny, *Strix nebulosa*), a i słowa wypuszcza jak ptaki. Całe stada spłoszonych piskląt, jakieś rzadkie gatunki, o których nie ma zdania w żadnych książkach. Nie nadążam za tą ornitologią i proszę go, żeby powtórzył po rosyjsku, a on zapewnia: „*Choroszo*" i znowu wraca do swoich ptaków. Sirko pisał, że elokwentnego rozmówcę Jakuci nazywali „człowiekiem o skrzydlatych słowach". Jeśli zatem chcesz się czegokolwiek dowiedzieć o zesłanych tu Polakach, musisz chwytać po kilka naraz i zaglądać przy tym do słownika! Na szczęście w sukurs przychodzi profesor.

Pan Mikołaj urodził się w 1921 roku, dwadzieścia dziewięć lat po wyjeździe Sieroszewskiego. Wychowywał się pośród ludzi, którzy znali polskiego zesłańca, ba, pomagali mu zbierać materiały do *Dwunastu lat w kraju Jakutów*. Rozdziały poświęcone rolnictwu, rodzinie i wierzeniom pełne są wypowiedzi mieszkańców Namu. Staruszek otwiera raz po raz tę najbar-

dziej znaną w Jakucji książkę (obok *Dzieł* Lenina) i coś tam z niej wydrapuje ptasim pazurem. Jakby to była zdrapka.

Obejścia carskich osiedleńców się nie zachowały, ale to pewne, że Sieroszewski tu żył. Nikt nie wie jednak gdzie. Jakuci wymawiali jego nazwisko *Czaraczyaskaj*. Jeszcze przed wojną, kiedy projektowano kołchoz imienia Karola Marksa i wioskę Appany, staruszek słyszał historię o pochodzeniu nazwy jeziora za wsią: Woda Sieroszewskiego. Ponoć kiedyś przejeżdżał tamtędy prawosławny batiuszka na bani, spadł z konia i utonął. Mieszkający na okolicznych łąkach i w lasach Jakuci myśleli, że to sam Sieroszewski. Stąd się wzięła *Czaraczyaskaj uuta*, Woda Sieroszewskiego, nazywana też Wodą Rosjanina. Ale czy nad tą wodą stał jego dom? Tego nie wie Mikołaj Siemionowicz. Pamięta natomiast, że nieżyjący już Piotr Siwcew, założyciel muzeum w Namie, wspominał mu, że Polak mieszkał gdzieś od zachodniej strony Kyhył Dieriebine, to jest sąsiedniej wioski. Leży ona jednak tak blisko Appany, że nawet gdyby Sirko mieszkał nad bajorkiem swojego imienia, można by uznać, że to od zachodniej strony Kyhył Dieriebine. Nie zgadza się jednak *nasleg*, czyli gmina: Woda Sieroszewskiego leży na terenie dawnego naslegu Kusaghan Yal, a Sirko zesłany był przecież do sąsiedniego: Chatyng Aryy. Ten drugi zaczyna się zaraz za drogą, która biegnie brzegiem bajorka, tam, gdzie u stóp podługowatego pagóra blika drugie, jakby bliźniacze jeziorko. Może sto lat temu stanowiło jedno z Wodą Sieroszewskiego? A w miejscu brodu, w którym utonął podchmielony batiuszka, z czasem zbudowano drogę, która przedzieliła Wodę na pół? Nazwy nie dało się rozdzielić, więc została tylko przy jednej z połówek. Dziwne, że staruszek mały staw, jakim jest Woda, uparcie nazywa jeziorem.

Na nazwy trzeba tutaj uważać. Powstające po kolektywizacji sztuczne wsie chrzczono hasłami z czerwonych transparentów albo według własnego widzimisię. Na przykład Kyhył Dieriebine, czyli Czerwona Wioska, albo Appany, co po jakucku oznacza „wąwóz”, choć wąwozów tu nie ma. Tych nazw używają jednak głównie przyjezdni, Rosjanie albo rosyjskojęzyczni Jakuci, można je także znaleźć na współczesnych mapach. Mówiący po jakucku nazywają zaś swoje wsie tak jak naslegi: Chatyng Aryy i Kusaghan Yal. Tak też jest zapewne w nielicznych innych tutejszych siołach: we Frunze, Partizanie, Chatyryku. Być może multiplikacja miejsca przez dublowanie toponimiki to sposób na radzenie sobie z przestrzenią? Na jej zagęszczanie.

Przetrwała zatem Woda Sieroszewskiego i etymologia. I opowieść Nauma Naumowicza Siwcewa, najstarszego mieszkańca Kyhył Dieriebine, zasłużonego traktorzysty kołchozu imienia Karola Marksa. Zapytany o Sieroszewskiego Naum Naumowicz wsiadł do toyoty i kazał się wieźć na górkę przy Wodzie Sieroszewskiego, tę po stronie Chatyng Aryy. Twierdzi, że prawie czterdzieści lat bronował i orał na polach, z których niegdyś żął Polak. Jego zdaniem *Czaraczyaskaj* musiał mieszkać nad wodą swojego imienia, na szczycie wspomnianego pagórka. Jeszcze w latach trzydziestych znalazł na nim stary *ötöch*, czyli resztki jakuckiego balaghanu. Potem zbudowano tam prowizoryczny tartak, jakąś szopę, a niedawno ubojnię bydła.

Podłużny pagór nad Wodą Sieroszewskiego – jak wszystko w Engsieli: droga, rzeka, klucze gęsi i horyzont – ciągnie się z południa na północ. Południowy stok, wielki niczym szkolne boisko, zbiega łagodnie aż do ścieżki, za którą leży Woda. Północny zaś obrywa się gwałtownie, choć zdaje się, że zniwelowano go buldożerem, by można wjeżdżać na górkę i od tej strony. Na szczycie spojrzenie przykuwają plama ceglanego miału i kilka odłamków starej cegły w trawie. Kiedyś stał tu piec. Dalej cztery sterczące z ziemi pale, jak pniaki po ściętych drzewach, wyznaczają kwadrat zielonej trawy z trójkątem tasznika i rdestu ptasiego w kącie. To ślad po balaghanie, a tasznik i rdest wyrosły w miejscu, gdzie stało palenisko. Do kwadratu przylega jeszcze jeden czworokąt, tej samej wielkości co miejsce po balaghanie, ale trawa tam rośnie bujna i żywozielona, jakby nawożona; to bez wątpienia dawna zagroda dla krów. Ze śladów wynika zatem, że stały tu blisko siebie dom, kuchnia i okólnik. A w takim trojaku mieszkał przecież Sirko. Ale czy na pewno w tym?

– Innego *ötöch* w pobliżu nigdy nie było – zapewnia nas Naum Naumowicz.

Wspomina jeszcze, że kiedy po rewolucji powstawały okoliczne wsie, budynki z tajgi przenoszono do pierwszych kołchozów. Tak najprawdopodobniej było z obejściem pisarza, obok którego wyrosła po rewolucji wioska Appany. Balaghanów i zagród często już nie odtwarzano, ale służyły jako budulec dla nowych, wznoszonych już z rosyjska chat. Odbudowywano za to spichlerze, które rzadko otwierane i nigdy nieogrzewane są dużo trwalsze niż domy. Niewykluczone zatem, że bierwiona z domku pisarza tkwią do dziś w ścianie jakiegoś chotonu, a jego dwa ambary nadal komuś służą.

Dom może i przenieśli, ale miejsca nigdzie zabrać nie można. Miejsce, póki ludzie je nazywają, nie przemija i pewnie się nie starzeje. To nie tylko powietrze czy jakieś ruiny. Ma przecież współrzędne: pięć wiorst na północ od Namu, dwie wiorsty na zachód od Leny. Gdzieś tu jest, gdzieś tu się rozciąga.

*

Nocleg wypadł nam u rodziny Awwakumowów, szkolnych przyjaciół profesora Kołodieżnikowa. Mieszkają w drewnianym szpitalu z czasów Stalina w samym Namie. Nam jest najstarszą miejscowością w ułusie, pierwszą cerkiew postawiono tu w 1881 roku i już wówczas zebrało się wokół niej kilka jakuckich obejść. Miasteczko nazywało się wtedy Konta Kriest. Najstarszy jest obecny budynek milicji, ale co się w nim mieściło, nikt nie pamięta. Może zarząd ułusu? Żeby zobaczyć stare domostwa, trzeba udać się w głąb tajgi na dawne terytoria rodowe. Niektóre z balaghanów, te najstarsze, bywają ośmiokątne i do złudzenia przypominają mongolskie jurty[41]. Jakuci jednak niechętnie wskazują takie miejsca, uważają bowiem, że nie należy tam chodzić i niepokoić dawnych mieszkańców. Wierzą, że zmarły mógł zostać tam, gdzie mieszkał.

## Sipowicz

Cały następny dzień, pokrzepieni küörczechem[42] i słońcem, włóczyliśmy się po dawnej carskiej drodze na północ. Naum Naumowicz wytłumaczył nam wczoraj, że asfalt z Namu do Appany jest w miarę nowy i dopiero z Appany prowadzi dawny carski trakt. A stary odcinek tej drogi z zarządu ułusu nad Wodę Sieroszewskiego wiedzie przez las i pastwiska, z dala od asfaltu. Sirko chadzał tamtędy do zarządu gminy, na polowania i przekradał się cichcem do Jakucka.

Toyotą po starej drodze nie przejedzie nawet profesor, ruszyliśmy zatem asfaltową szosą do Appany i po krótkim postoju nad Wodą Sieroszewskiego dalej, w stronę Kyhył Dieriebine i Bötüngu, tropem wytyczonym w pamiętnikach zesłańca. Ta druga wieś powstała kilka lat przed jego przybyciem. Założyli ją zesłani tu skopcy, członkowie prawosławnej sekty. Ponoć zosta-

wiono ich na łąkach nad Leną jak zeków na budowie Kanału Białomorsko-Bałtyckiego czy osadników w Birobidżanie: pod gołym niebem, a o resztę mieli zatroszczyć się sami. Okazali się świetnymi kolonistami, budowali domy, młyny, karczowali tajgę pod nowiny. W 1904 roku w ramach carskiej amnestii wyemigrowali do Ameryki. Przedziwne, ale w ich stuletnich izbach do dziś mieszkają ludzie. Jeszcze dziwniejsza była nauka o grzechu, czyli hamartiologia skopców. Wierzyli, że genitalia wyrosły na ciele pierwszych rodziców jako kara za zerwanie zakazanego owocu. By się pozbyć grzechu, sięgali po siekiery czy noże i okrzesywali braci i siostry z piersi, prąci, łechtaczek i warg sromowych, jak pnie modrzewi z gałęzi na swoje domy.

Licznik toyoty pokazał, że ze wsi kastratów do Wody jest pięć kilometrów, czyli jakieś pięć wiorst: tak też zanotował w *Pamiętnikach* Sirko. Przyjeżdżał tu mielić zboże, a w 1889 roku wykraść tajemnicę budowy kół zębatych stosowanych w młynach skopców. Udało mu się podpatrzeć, jak konstruują młyny, dzięki czemu naprawił wiatrak w wiosce Tochtuur na Trakcie Irkuckim. W zamian za to wójt tamtejszej gminy przyjął Sieroszewskiego w poczet członków wioski, co umożliwiło zesłańcowi staranie się o dowód tożsamości. Skazańcy ich nie dostawali, a dokument był niezbędny do wyjazdu z Jakucji po odbyciu kary. Zatem w wiosce skopców odnaleźliśmy kolejną ważną współrzędną.

Stare chaty członków tajemniczej sekty minęliśmy jednak z daleka, by poszukać domu lekarza Aleksandra Sipowicza. Lecz na piętnastej wiorście od obejścia Sirki, czyli tam, gdzie podają *Pamiętniki*, domku z przybudówką ani widu, ani słychu. Wróciliśmy zatem na czternastą, ale i tam pusto. Pojechaliśmy na szesnastą i też nic. Dopiero Władimir Gulajew, dyrektor szkoły w sąsiedniej wiosce Modut, wyjaśnił nam, że po domu nie została belka na belce i nikt nie wie dokładnie, gdzie mieszkał polski lekarz.

Za jego czasów w ułusie Nam żyło około dziewięciu tysięcy ludzi, którzy innego najbliższego doktora mieli dopiero w Jakucku. Sipowicz przyjmował chorych u siebie i odwiedzał ich w tajdze, nie bacząc, czy na zewnątrz było minus dziesięć stopni, czy minus sześćdziesiąt.

Do chorego pastucha jechał nawet dwieście wiorst bezdrożem, kategorycznie odmawiając przyjęcia zapłaty. Nierzadko sam zabieg trwał krócej niż wzbranianie się. Wdzięczni Jakuci karmili go więc mięsem – dziczyzną, rybami. Dzięki uczciwości i umiejętnościom stał się tak znany, że zaczęto

przysyłać po niego zza Leny, a nawet z miasta, co było już niebezpieczne: oficjalnie zesłaniec nie miał prawa leczyć. W 1896 roku, po ukończeniu wyroku, Sipowicz opuścił Nam. Został za to jego ekonom Iwan Tonyszew, żołnierz carski, rodem z Archangielska. Doktor był tak zajęty leczeniem, że nie miał czasu na orkę i siew na zesłańczych dziesięcinach, toteż gospodarstwo prowadził mu właśnie Tonyszew. Jakuci nazywali go Könkö albo Sołdat (żołnierz). Jego potomkowie do dziś żyją w Moducie. Władimir Gulajew pokazał nam miejsce, gdzie stała jurta Tonyszewa. Na mapie zakreśliłem inne, o nazwie Zagon Żołnierza. Dom Sipowicza musiał stać gdzieś w pobliżu.

Kiedy zbieraliśmy się już w drogę powrotną, Władimir zapytał, czy wiemy w Polsce, kim był sławny rewolucjonista Feliks Jakowlewicz Kon.

– Aż za dobrze! – odparłem.

On bowiem także zapisał się złotymi zgłoskami w historii naslegu Modut: zbudował tu pierwszy młyn.

## Trzydziesty dzień miesiąca domu

Po kilku dniach znów wycieczka do Appany. Od wschodu do zachodu słońca opisywałem już to kołami, pieszo, już to słowami, w notesie, wzgórze i łąki za wsią. Przyjechałem wcześnie rano i raz jeszcze zapytałem w administracji o Sirkę. Wywieźli mnie na stary *ötöch* dwa kilometry na północ od Wody Sieroszewskiego, gdzie mieszkał ponoć jakiś znaczny *gosudarstwiennyj priestupnik*[43]. Na pniu trzystuletniego modrzewia znalazłem tam wycięty cyrylicą napis:

М-СО
1890 Г
1891 Г
ЕНС
РОД

Trzeba będzie dopasować te inicjały do nazwiska któregoś z sąsiadów Sirki.

Poszedłem zatem cały w babim lecie i opadających igłach modrzewi skrajem jeziora, które – jak zapewnił kierowca – ciągnie się długim łukiem aż pod Appany. Z mapy i z widoku można było wyczytać, że jezioro leży

w wielkiej kiszkowatej niecce, pewnie w starorzeczu-wnuczku Leny. Niecka zwęża się na wysokości Appany, jest tam jednak dość szeroka, by zmieścić Wzgórze Sieroszewskiego wraz z okolicznymi łąkami i jeziorkami. Na przełaj przez łąki mieli do siebie z sąsiadem nie więcej niż dwa kilometry.

*

Widok, sto lat, opowieści Nauma i Mikołaja nałożyły się na siebie tak, że historia Sirki przypomina palimpsest. Trzeba go czytać powoli, najlepiej pod ostre jesienne słońce. Widać wtedy, jak przez krajobraz prześwituje najstarszy tekst, to jest ostatnia ćwiartka XIX wieku. Choćby opowieść o orle przednim, którego spłoszyłem, idąc wysokim brzegiem starorzecza w stronę Appany. Sirko pisał, że gnieździły się w tajdze za jego obejściem. Albo wspomnienie o ręcznie kutej ciężkiej bronie, którą znalazłem porzuconą w krzakach. Miał pan Wacław przecież dwie brony – drewnianą i żelazną. A łąkowy widok wokół, czy nie ten sam co w opowiadaniach? By opisać koniec lata i nadejście zimy w dolinie Engsieli, jak sam mawiał, trzeba „nie lada literackiego snycerstwa”.

*Larix dahurica*, modrzewie dahurskie, przybierają tu w połowie września barwę gęstego miodu lipowego albo nawet ciemnego moczu. Są tak pyszne i intensywne, że nie mniej przecież złote brzozy *Betulus pubescens*, jeśli rosną w sąsiedztwie, mogą być dla nich co najwyżej tłem. Pod koniec miesiąca modrzewie bledną, ale jeżeli zima się spóźnia, wpadają jeszcze w pewien ciepły odcień żółtego, który można obserwować jesienią na piersiach lecących z północy młodych błotniaków zbożowych. W końcu przerzedzone przymrozkami i wiatrem, wyblakłe od słońca i deszczów igły przybierają barwę płowożółtą, bardzo podobną do koloru plam, które migają myśliwemu za uszami biegnących wilków. W połowie października opadają już zupełnie, a nagość dopiero co złotych modrzewi od razu chowa się pod śniegiem.

Wieczorem wróciłem ostatnią taksówką do Jakucka, a w mieście nie było prądu. Zjedliśmy kolację przy świecy. Jasia zapytała, pokazując płomyk:

– Kto jest jego tatą?

# 4 października

Wczesnym rankiem w Namie wizyta u Mikołaja Zachariewicza Kriwoszapkina, dyrektora muzeum. Wyjaśnił mi, dlaczego tak dobrze pamiętają tutaj Kona czy Sipowicza, a Sieroszewskiego już nie. Otóż Sieroszewski, legionista, przyjaciel Piłsudskiego i minister w pierwszym rządzie niepodległej Polski, w sowieckiej Jakucji, jak i w całym Sojuzie, był z oczywistych względów skazany na zapomnienie. Toteż nikt nie potrafi dziś dokładnie pokazać miejsca, w którym mieszkał, pisał i siał. Do roku 1993, kiedy wydano w Jakucji *Dwanaście lat w kraju Jakutów*, wielu jego czytelników i mieszkańców Namu nie wiedziało nawet, że autor spędził tu połowę zesłania.

W Appany czekał na mnie dziadek Mikołaj Gawrilew, tak podniecony, że wystraszyłem się o jego zdrowie. Wynalazł w swoim archiwum wycinek z gazety „Droga Lenina" sprzed pięćdziesięciu lat – artykuł autorstwa regionalisty Piotra Siwcewa. Wynikało z niego, że Sieroszewski mieszkał „tak jak ciągnie się pagórek (*kyrdaal*) i trawiasta rzeczka (*ot ürech*), nad małym jeziorkiem. Na południe od jego balaghanu, tam, gdzie stok opada, jest jeziorko zwane Wodą Sieroszewskiego". Jakuci mają kilka określeń na górki i rzeki, w zależności od ich kształtu, wielkości i położenia. *Kyrdaal* Piekarski tłumaczy jako „podługowaty pagórek", a *ot ürech* oznacza małą rzekę z trawiastym dnem, ale też starorzecze. Opis pasuje zatem jak ulał do Wzgórza Sieroszewskiego, bo wzgórze jest kyrdaalem leżącym we wrzecionowatym starorzeczu Leny. Dnem starorzecza ciągnie się zaś łańcuch jeziorek, z których jedno to właśnie Woda Sieroszewskiego.

Po spotkaniu ze staruszkiem znalazłem na wzgórzu kilka sędziwych modrzewiowych bierwion. I nieomal zarośnięte trawą, co najmniej stuletnie *serge*. W *Pamiętnikach* Sirko wspomina, że przed zajazdem stały takie dwa. O tym, że moje *serge* nie stało samotnie, świadczy wywiercona w nim wielka dziura, ślad po poprzecznym drążku, który łączył je z palikiem stojącym obok. Pewnie więc do niego przywiązywał pan Wacław Siwka, swojego konia, z którym rozmawiał po polsku.

*

Nazajutrz rano maszerowałem powoli starą drogą z Namu do Appany. Czułem się, jakbym chodził nią wiele razy, i to nie dlatego, że szedłem tamtędy wczoraj na nocleg do Namu. Zresztą wczoraj było ciemno, choć oko wykol. Raczej dlatego że czytałem o niej już od wielu lat. Tędy właśnie w 1892 roku Sirko z Manią i parobkiem Botiugatem pędzili wozem w dwa konie, by zdążyć na parowiec z Jakucka w górę Leny. Sto dwadzieścia wiorst przejechali w dwadzieścia godzin, ale parowiec odpłynął i przyszło podróżować kupiecką barką. Nowela *Powrót* jest trochę jak reportaż z tej pełnej przygód podróży.

*Nowele* i *Dwanaście lat w kraju Jakutów* wraz z pozostałymi tomami stały na półce w pokoju, w którym dorastałem. Uczyłem się z nich czytać, dlatego jakuckie słowa jak *byhach* (nóż) czy *at* (koń) pamiętam równie dobrze jak polskie „sztylet” czy „wierzchowiec”. Dwadzieścia dwa tomy w białych obwolutach stały obok kryształów i srebrnych tac na starym kredensie. Kiedy wiele lat później trafiłem do Ewenków w południowej Jakucji, miałem *Dwanaście lat* w plecaku. Gdy po raz pierwszy zamieszkałem w Jakucku, mogłem przeczytać je w oryginale, po rosyjsku. Teraz, kiedy jestem tu ponownie, czytam je w języku jego bohaterów. Postać autora okazała się kluczem do epoki. Szlaki jego podróży – niezłą mapą. Jedno z najlepiej oznaczonych na niej miejsc i zarazem zwornik wszystkich wędrówek to Jakuck.

Tymczasem nie tylko Engsieli, ale i Tujmaada pożółkła jak stare zdjęcie. Widać na nim feerię żółtego i złota, prawie żadnych form, konturów, no, może linie drogi, horyzontu i Leny. Głównie kolory, mało kształtów, żadnej geometrii. Passa, bessa, passa. Zapewne i trzecia, południowa siostra, dolina Erkeeni, też już dojrzała, a ja, zamknięty w mieście i zajęty poszukiwaniem Sirki, niczego poza jego tropem nie widzę. Trzeba będzie wybrać się na *myraan* i opisać jakucką jesień z perspektywy Górki Miłości.

## Śnieg

Październikowy Jakuck łatwo ginie z oczu: to w październierzach trzciny, przez które nie sposób dojrzeć ludzi i domów, to w tumanach neolitycznego kurzu, który przez tysiące lat nanosiła tu pra-Lena. Ostatnie nici babiego lata próbują zszyć w jedno oniryczny obraz starego grodu, ale na próżno: wiatr zawieje i zasłona z pyłu ogarnia dolinę Tujmaada, a chmura trzcinowego

puchu pcha się w oczy. A jeszcze to jesienne słońce, które świeci nisko znad horyzontu, jakby wilkiem spoglądało na miasto. Gród na Lenie bywa wtedy jak omam: trzeba się z niego otrząsnąć, by coś zobaczyć. Wyjść na skraj doliny, gdzie od Leny duje chłodny wiatr, i upewnić się, że Jakuck rzeczywiście jest.

Atlas chromatyczny Dumonta nazywający dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć kolorów świata to za mało, by opisać to, co widać z brzegów Tujmaady. Pośrodku złotego sztychu leży Jakuck, betonowy, z kominami, chmurami kurzu. Wiszący za nim horyzont podkreśla jeszcze sina wstążka Leny, na razie wciąż wolna od lodu i kry. Ale i tego widoku nie można być pewnym, bo przecież cały ten horyzont to złudzenie.

Realny jest bez wątpienia zapach świeżej sielawy na rynku Kriestiańskim, dopiero co przywiezionej znad Jany. Sielawa, ryba ze szlachetnej rodziny łososiowatych, umiejętnie solona podawana jest tutaj na surowo. Jeśli nieco skruszeje, skóra odchodzi od tuszki jak papierek od cukierka. Mięso ma mało ości, nie pachnie intensywnie i nie wywołuje smoczego pragnienia – w przeciwieństwie do śledzi. Tuż za sielawą, z małą przerwą na lubiane powszechnie karasie, pojawią się czyr, muksun, omul i nelma, czyli białorybica syberyjska. To znak że na Indygirce i Janie już zima i że rozpoczęło się łowienie spod lodu. Następny zwiastun zimy na Kriestiańskim to wyborne borsucze sadło. Cena za słoik tego specyfiku znad Morza Ochockiego dochodzi do tysiąca rubli, czyli stu złotych, i droższa od niego może być już tylko żółć niedźwiedzia. Kiedy sielawa pojawi się po raz drugi, a z nią sieja i peluga, łowione już spod lodu, to znak, że na północy stanęły rzeki. A po ściętych lodem bagnach wyładowane sieją i sielawą samochody mogą dotrzeć do Jakucka.

Jesienny czyr jest tak ceniony, że transportuje się go tylko samolotem, gdyż w ciężarówce mógłby się połamać albo potłuc. Ryba słynie z delikatnego tłuszczu, który umożliwia spożywanie jej na surowo, ba, właśnie tylko na surowo, a do tego zamrożonej. Ze zmarzniętej na kość tuszki heblujesz ostrym nożem ogromne wióry (*stroganina*), które nieco posolone doskonale rozpływają się w ustach i jak jakiś gęsty napój giną w żołądku. *Stroganina* z jesiennego czyra uważana jest za danie królewskie, równać się z nią może tylko strugany jesiotr. Ważne, by ryby były z jesiennego połowu, bo właśnie wtedy mają najwięcej szlachetnego tłuszczu. Na Nowy Rok będą już chuda-

we i nie tak smaczne. Nie dziw więc, że na Kriestiańskim ciągną się kolejki, a oczekującym z apetytu pływają grdyki.

Wokół stoisk z rybami pojawiły się prowizoryczne kramy, na których leży kolejny znak jesieni, a nawet zimy. Jakuckie babcie, czasami ledwo rozumiejące po rosyjsku, sprzedają *tys*, czyli skóry z nóg zwierząt futerkowych i koni na zimowe obuwie zwane *eterbes*, a do tego *kamys*, czyli skóry z nóg renów na ciepłe *unty*. Znajdziesz tu i filcową podeszwę, i walonki, i czapkę uszankę, i szal z owczej czy koziej wełny. Czasem ktoś szeptem zaproponuje *czubuku* – skórę rzadkiej owcy śnieżnej, najlepszą na półkożuszek albo czapkę. Ale lepiej udać, że nie słyszysz, bo *czubuku* są pod ochroną, a skóra jest cholernie droga.

Śniegu jeszcze jak na lekarstwo, wystarczy jednak rzucić okiem na tę *silva rerum*, by zimny dreszcz przebiegł po plecach. W początkach października przydałby się już kożuch – temperatura za dnia maleje do zera stopni, a w nocy spada do minus dziesięciu. Na placu Lenina widać już pierwsze uszanki. Rzucają się w oczy tak samo, jak pierwsza goła głowa bądź szyja na wiosnę. Mieszkańcy północnej republiki wdziewają najpierw czapki najlżejsze, to jest piżmaki albo norki, dużo cieplejszego wilka czy lisa nikt teraz, w październiku, jeszcze nie założy. Choćby na zewnątrz było minus dwadzieścia, powiadają, że to jeszcze jesień.

Niby babie lato, a w Jakucku stężały kałuże. Wyglądają jak stare brudne lustra porozrzucane po całym mieście. Nad ranem możesz się w takim przejrzeć, a w południe już się zamieni w wodę. Nie należy się jednak wpatrywać zbyt długo, bo można zobaczyć Byka Zimy, a to zapowiedź zimy mroźnej i śnieżnej. Już w połowie miesiąca mróz zwarzył jeziorka w centrum i ściął łączące je kanały, wpełzł z haftem na okna domów i pokrył szyby UAZ-ów cienką sztukaturką. Zamarzły nawet liczne miejscami psie gówna. Teraz nie grozi wdepnięcie, tylko potknięcie, jak dziś na Ordżonikidzego. Na koniec mróz skrzepił największe śródmiejskie jezioro – Sajsary, a z nim starorzecza Leny. Zanim schwyci główny nurt rzeki, krępuje jej wąskie ramiona i odgałęzienia w pobliżu Jakucka.

Jako ostatnie po kałużach i jeziorkach gdzieś przed rocznicą rewolucji zaciąga się niebo. Nie lodem, tylko ciężkim jak wieko skrzyni stratusem koloru podbitego oka. Nad doliną Tujmaady zamyka się sferyczny dekiel w kolorze siniec ultramaryna. Zdarzają się wtedy dni, gdy chyląca się pod makijażem szronu trzcina, młody lód na Sajsarach, a w końcu i samo niebo

miewają wspólny odcień zimnego ciemnego lazuru. Chętnie chłoną go oczy, odpoczywając po jesiennym kurzu i ostrym słońcu. Ale ten akwarelowy cień, hen na skraju Tujmaady przechodzący w brzemienny, nieco rozwodniony granat, zwiastuje śnieg. Spacerują przechodnie, zadzierają głowy. Rzadko taki kolor wisi nad miastem.

Pierwszy śnieg wypadł gdzieś dziesiątego. Kurzyło już wcześniej, ale zaledwie jakoś tak jak z poduszki, tymczasem w sobotę było już jak z pierzyny. Ten pierwszy zazwyczaj się klei, ale coś nie w tym roku. Leci niczym boskie pierze albo dziwny biały rój, tak lekki, że przejeżdżające samochody zdmuchują go z trotuarów, a dzieci nie mogą nic ulepić. Profesor Nakaya z uniwersytetu w Hokkaido w swojej pracy *Klasyfikacja kryształów śnieżnych* opisał aż czterdzieści jeden typów śnieżynek. Poszczególne kryształki nazywał kombinacjami dużych i małych liter oraz cyfr. Poczytasz trochę profesora Nakayi i wyda ci się, że oto P2b przeleciał ci przed nosem, N1a roztopił się na rękawiczce, A2d osiada na parapecie. Dosłownie: litery i literki, cyfry i cyferki lecą z nieba.

Jasia przywitała je z należnym szacunkiem: zadzierając głowę.

# Słownik języka jakuckiego IV

## Miara

Z Namu widać, że Jakuck to ogromne zagęszczenie milimetrów, centymetrów i metrów. Minut i kroków. Adresów. To wielkości i jednostki najczęściej potrzebne w mieście: jak trafić, wyminąć, jak zaparkować. Ale już na peryferiach miasta-miejsca tysiące linii krótkich i ostrych znika, a zastępują je dwie – długie i łagodne: horyzont i droga. Oczy odpoczywają tam od gęstej toponimiki: nazw ulic, zaułków, placów, budynków, przystanków, autobusów, wydziałów i oddziałów. Od licznych i bezładnie biegnących granic, parkanów, płotów, bram i krawężników. Trzy chałupy na krzyż i krzak *Salix species* na skraju rozległego jak Bałtyk Nic to widok w sam raz dla zmęczonych oczu.

## 9 października

Cela warszawskiej Cytadeli, w której siedział Sieroszewski po aresztowaniu w 1878 roku, miała pięć kroków wszerz i tyleż wzdłuż. Nasz pokój w akademiku dla studentów z dziećmi ma siedem kroków na pięć, czyli jest tylko o dwa kroki szerszy. Przemieszkaliśmy tu cały luty. Teraz pokój służy mi jako pracownia. Właśnie siedzę w nim i porządkuję zebrane w Namie wiadomości o Sirce. Na ścianach powiesiłem stare mapy Jakucka i ułusu namskiego, a z pobliskiego głównego gmachu uniwersytetu przytaszczyłem wielkie stare biurko. Jak zapewniała uprzejma pani woźna, wniesione jeszcze rękami zeków.

Żeby tu zamieszkać, musisz udowodnić, że nie masz syfilisu, gruźlicy, a twój stolec wolny jest od jaj glist. O ile próbę gruźliczą i zdjęcie płuc można znieść łatwo, o tyle badanie kupy okazało się niemałą traumą. Starsza pani za biurkiem w żadnym wypadku nie chciała, bym otwierał przygo-

towaną zawczasu fiolkę, bo okna zostały już zaśrubowane na zimę i nie można wietrzyć. Wręczyła mi więc zapałkę, nakazała kucnąć, „poszperać sobie tam, gdzie trzeba, i wydostać ciut-ciut”. Kiedy tak kucałem, speszony, za parawanem niskim jak pierwsze bizantyńskie ikonostasy, czułem na sobie jej badawczy wzrok i zwyczajnie nie mogłem się skupić. Wtedy dostrzegłem na ziemi zapałkę z nienaturalnie wielkim brązowym łebkiem, pozostawioną tu najwyraźniej przez któregoś z poprzedników. Podciągnąłem spodnie i, trochę ryzykując, wręczyłem pielęgniarce znalezisko jako swoje.

– *W poriadkie* – zawyrokowała, zapuściwszy badawcze oko w okular mikroskopu, a po chwili zerkając na mnie.

## Język miejsca

Kiedy wiosną zamieszkaliśmy w akademiku, uderzyło mnie, jak wiele słów znanych z rzeczywistości łagrów używanych jest tu do dziś, także w organizacji studenckiego życia. Nie chodzi o to, że w schludnym akademiku mieszka się jak w baraku, tylko o epigraf zamieszczony w słowniku, który sporządził Jakutom polski zesłaniec: „Język narodu to wyrażenie całego jego życia, to muzeum, w którym zebrano wszystkie skarby jego kultury i intelektu”.

*Komiendant* – dziś kierownik akademika, w łagrach człowiek wolny albo więzień, zazwyczaj kryminalny, wyznaczony przez naczelnika łagru do pełnienia służby porządkowej w obozie bądź jego filii.

*Wachta* – portiernia przy wejściu, w której siedzi *wachtiorsza*, czyli portierka. W łagrach wachta znajdowała się tuż przy wrotach zony. Tu odbywał się słynny *razwod*, czyli odprawa zeków do pracy. *Wachtior* otwierał bramę i liczył wychodzących i wracających więźniów.

*Jawka* – obecność (obowiązkowa) studentów na pochodach pierwszomajowych, paradach z okazji Dnia Zwycięstwa bądź na wyborach. W łagrach *niejawka* na zebraniu, rozprowadzeniu czy na wezwanie komendanta groziła poważnymi konsekwencjami. Wychodzących na pochód studentów liczy i zapisuje wachtiorsza.

*Bahiła* – foliowe ochraniacze na obuwie, których wymaga wachtiorsza, jeśli studentowi nie chce się zmieniać butów. W łagrach były to mocowane gałgankami szmaciane buty na sznurkowych podeszwach, wydawane zamiast walonek więźniom o niższym statusie.

*Wospitatielka* – wychowawczyni, odpowiednik pedagoga szkolnego. Razem z wachtiorszą pilnuje, by studenci brali udział w życiu publicznym republiki. W łagrach *wospitatiel* agitował i wpisywał nazwiska zeków na „deskę chwały" albo hańby. W akademiku ma dużo do powiedzenia przy przydziale pokoju na następny rok.

*Podjom* – pobudka. Słowo przez lata powtarzane w barakach Gułagu.

Można by dodać jeszcze kilka stron zapisanych słowami ze złodziejskiego języka używanymi w życiu codziennym, od *parasza* – kibel – poczynając, na *pachan* – kryminalny autorytet, a dziś ojciec – kończąc. Ale to materiał na osobny rozdział. Może nawet i na całą książkę?

## 18 października

Temperatura za dnia już stale utrzymuje się poniżej zera. To oczywiste, że do zimna nie można się przyzwyczaić, bo mróz boli. Tymczasem taka sama, końska dawka ciepła co najwyżej męczy, ale na pewno nie dokucza tak jak zimno. Zmarznięty człowiek jest jak chory i zbity. U Czukczów i Jukagirów pasterz, który zmarzł, poszukując stada czy polując, traktowany był na równi z chorym, jadł więcej, spał dłużej, ostatni wychodził do pracy.

Ból, podobnie jak zachwyt, jest doświadczeniem mistycznym. Trzeba poszperać w bajkach i legendach narodów Jakucji i poszukać, jaki wpływ musiało mieć zimno – swego rodzaju ćwiczenie fizyczne i rodzaj ascezy – na fantasmagoryczne życie rdzennych mieszkańców Jakucji.

## Środek. Ulica Nikoło-Prieobrażeńska

Wybrałem się dziś ulicą Nikoło-Prieobrażeńską do środka miejsca. Od cerkwi Świętego Mikołaja (czyli Nikoły), której kopuła służy jako drogowskaz w drodze na rynek Kriestiański, aż po sobór Przemienienia Pańskiego (Prieobrażeński), który mijam, schodząc na dawną Tabaghę i pobliski Zielony Ług. Ulica Nikoło-Prieobrażeńska od XVIII wieku łączyła te dwie świątynie, stąd też wzięła się jej nazwa. Gdyby jednak ktoś bez starych map spróbował ją odnaleźć, tabliczki z takim napisem nigdzie by nie dostrzegł. Dziś nazywa się bowiem Oktiabrska, czyli Październikowa i, co gorsza, urywa się kawałek za skrzyżowaniem z Lenina, w miejscu, gdzie uchodzi w Jarosławskiego. Jednak wbrew widokowi, wierny starej mapie, wciskam się pomiędzy bloki, kluczę między sławojkami, zaglądam pod stojące na betonowych palach bloki i przełażę przez parkany ostatnich drewnianych obejść. W ten sposób trzymam się historycznej Nikoło-Prieobrażeńskiej aż do zaułka Głuchego, który jest tym, co ocalało z jej dawnej świetności. Od trzech wieków wiedzie prosto pod bramę soboru Przemienienia Pańskiego.

Z zabudowy dziewiętnastowiecznego miasta została przy zaułku Głuchym Solnaja Ławka, czyli skład solny. Tak chciałoby się napisać, ale jej ściany są przygnębiająco nowe. W 2005 roku blisko dwustuletni budynek zburzono, by wznieść go od fundamentów z jakichś podejrzanych materiałów. Wierne w tej rekonstrukcji, poza kształtem i wymiarami, pozostało więc tylko miejsce. Podobny los spotkał inne sędziwe budynki starego miasta, które zaczyna się właśnie na Głuchym. Dlatego rzadko tam bywam.

Jedynie świątynia wygląda tu autentycznie. Przemienienie Pańskie, po rosyjsku *Prieobrażenije*, czyli transfiguracja Chrystusa na górze Tabor. Na północy europejskiej części Rosji, a także na Syberii i w Jakucji pierwsze cerkwie zazwyczaj wznoszono właśnie w imię ikony Prieobrażenija. Motyw transfiguracji miał symbolizować duchową przemianę Maryjczyków, Nieńców, Samów, Chantów, Mansów, Ketów, Nganasanów, Ewenków, Szorów, Sojotów, Buriatów, Jakutów, Czukczów i Koriaków z wyznawców szamanizmu i buddyzmu w chrześcijan. Tyczyło się to też Udegejów, Ulczów, Oroków, Itelmenów, Niwchów, Tofalarów i innych narodów.

Szybko minąłem sztuczny skansen starówki i zjechałem na tyłku z wysokiego brzegu wprost w śnieżną biel. Najbliższa miastu przetoka rzeki, na-

pełniona jesienną wodą, podniosła się i rozlała jak mleko. Ścięta nagłym mrozem i pokryta świeżą ponową aż się prosiła, by ją przeciąć i zostawić trop. W kilku miejscach jej album upstrzyli już przeręblami wędkarze: wyciągali z czystej bieli srebrne okonie i szczupaki, jakby je wyczarowywali nerwowymi ruchami rąk. Z bliska było widać, jak rybie pyski szybko nieruchomieją na mrozie w jakiejś smutnej harmonii ze statycznym widokiem dookoła. Tak jak wędkarze. Wierzby. I horyzont. Nawet odlać się nie wypadało.

Przetoka pozostałaby niemal idealnym czystym tłem, prapoczątkiem krajobrazu, gdyby nie *Picoides tridactylus*, czyli dzięcioł trójpalczasty. Zmaterializował się nagle z bieli i siadł na krzaczastej wierzbie, ostukując hałaśliwie jej korę. Jakby kołatał do świadomości patrzącego. Był z tych samych barw co reszta widoku: biel, czerń, nieco żółtego na głowie. Samiec. Zjawił się jak jakaś aberracja pejzażu, kleks, zagęszczenie barw. Jakby widok skrzepnął na chwilę w tym miejscu albo zaczynał się tutaj. Po czym, co na tle białego constans wydało się niemożliwe, odleciał sobie.

## 24 października

Znów kał na badania. Tym razem poszukują w nim bakterii tyfusu. Żeby dostać pozwolenie na pobyt w Federacji Rosyjskiej, muszę raz jeszcze udowodnić, że nie mam gruźlicy ani syfilisu, a oprócz tego tyfusu, wirusa HIV i że nie biorę narkotyków. Ale wszystko to okazało się błahostką w porównaniu z wizytą w poradni chorób wenerycznych. Myślałem, że idę na wywiad lekarski albo oddać krew, a tam na dzień dobry dojrzała pielęgniarka zamiast „*Zdrawstwujtie*” odpowiedziała: „Snimitie trusy”, czyli „majtki w dół”. Kiedy myszkowała w poszukiwaniu oznak chlamydii czy rzeżączki, przytrafiła mi się – cóż począć? – gwałtowna erekcja. Spiekłem raka i nie czekając komendy, podciągnąłem pośpiesznie slipy pod samą szyję. Mięto-ląc zaświadczenie i rozporek, pożegnałem się szybko. Odtąd kiedy słyszę „Zdrawstwujtie”, myślę sobie: „*Snimitie trusy*”.

*

Na dworze padał dziś miękki śnieg i jednocześnie świeciło ostre słońce. Przechodnie zadzierali głowy, jakby wyglądali nad Jakuckiem tęczy.

A na rogu mojej Kalandariszwilego i Żirkowa rozpadła się drabina oparta o szczyt starego domu. Prowadziła na stryszek. Wypadły dwa, może trzy szczeble, choć jestem pewien, że jeszcze wiosną była cała. Ile lat stała nieużywana? Nieco dalej, na Żirkowa, został tylko węgieł drewnianej chaty, ale nie widać już zza niego tego, co było tu jeszcze na mapie z XIX wieku. Chyba że po długiej rozmowie z Pantalejmonem Pantalejmonowiczem Pietrowem z Instytutu Nauk Humanistycznych. Pan Pantalejmon zna stary Jakuck lepiej niż współczesny i z pustej przestrzeni ulic wywołuje go jak zdjęcie w ciemni niepamięci.

## 26 października

Z Amgi, rodzinnej wioski N., przyszła paczka, a w niej zimowe rzeczy: dla N. szuba ze świstaków, czapa z nausznikami ze srebrnego lisa i unty, to jest boty ze skóry renifera na grubych podeszwach. Jasia dostała futerko z królików, czapkę z pieśca i malutkie jak suwenir unciki z rena. Unty znają tu i szyją – zdaniem jakuckich archeologów – od schyłkowego paleolitu, bo z tego okresu pochodzą igły znalezione w osiedlach nad Leną. Tyle tylko, że wówczas (podobnie jak dziś u pasterzy w tundrze) za podeszwę służyły skrawki skóry z racic rena. W XXI wieku w Jakucku używa się do tego niezastąpionego od czasów łagrów filcu. Do wyrobu untów, nawet jeśli skóra pochodzi z łosia czy konia, zawsze bierze się części z goleni. Na unty reniferowe, obrzeżone u góry kolorowymi tasiemkami, wyszywane dżetem i koralikami trzeba wydać piętnaście tysięcy rubli, czyli jakieś tysiąc pięćset złotych.

Kto tyle nie ma, chodzi w starych zimowych trekach kupionych na wyprzedaży. Można w nich wytrzymać do dwóch godzin na trzydziestostopniowym mrozie, ale tylko w ruchu i po jedzeniu. Stopy drętwieją, za to w uszy gorąco: ze skóry ostatniego wilka, którego wujek N. zastrzelił, pilnując sowchozowych kobył nad Amgą, jej mama uszyła mi uszankę. Włosie basiora okazało się tak gęste i puszyste, że nawet długi słowiański nos, szczególnie narażony na mróz, kryje się w nim bezpiecznie jak wilk w norze.

*Tulluk chaar* – śnieg śnieguły. Tak Jelizawieta Michajłowna, opiekunka Jasi, nazywa gruby i lepki puch, który ostatniego dnia października zasypał Tujmaadę. Śnieguła to mały ptak z rodziny łuszczaków. I samiec, i samica mają śnieżnobiałe brzuch i piersi, a samczyk do tego łepek jak zlepiony ze śniegu. Nie wiadomo tylko, czy *tulluk chaar* wzięło się od tego, że śnieżyca za oknem wygląda – wypisz, wymaluj – jak stado czterystu śnieguł, czy od tego, że lepki puch sypie akurat w porze ich wędrówek. W październiku, kiedy lecą na południe, gdzie zimują, i w kwietniu, kiedy przenoszą się w tundrę, gdzie się lęgną.

Piszę czterystu, bo takie stado oglądałem pod Jakuckiem minionej wiosny. Wyglądało to jak gwałtowna śnieżyca. Śnieguły już poleciały, zostały po nich tylko chmary śniegu o grubych płatkach. Siadają na betonowych blokach, oblepiają pajęczyny kabli wiszących między blokami, zbierają się na rurach biegnących nad ziemią. Można by nawet wziąć je za ptaki, gdyby nie ich milczenie i spokój.

## Zima

Na widok śniegu zamilkły wróble. Wiszą na końcach wierzbowych pędów jak jakieś suche owoce. Mazurki znaczną część dnia spędzają w izolacji rur ciepłowniczych. Pustułki, gęsi, dzięcioły jak *wriemienszczyki* wynoszą się dalej na południe. Zostają za to głupie i nieostrożne gołębie, nieświadome, że za parę tygodni zginą. Urzędnicy i politycy wypuszczają je czasem podczas pochodów pierwszomajowych – te mądrzejsze zwiewają, reszta zamarza. Powinny szukać jedzenia, jak dzięcioł pstry duży, który z zarośli nad Leną zaleciał do miasta i pracowicie ostukuje odziomki wierzb rosnących przy Kalandariszwilego. Nerwowe i niebezpieczne stają się watahy bezdomnych psów na osiedlu Sajsary. Im tej zimy też nie uda się przeżyć: zginą z głodu albo od kuli hycla gdzieś na przedmieściach. Jeden z nich, z kulawą nogą, wyje wprost w padający śnieg pośrodku ulicy Gogola.

Kiedy zamarza jezioro Sajsary i kurzy śnieg, to pewny znak, że po Lenie płynie już zbity śryż i że lada dzień stanie prom. Śryż to masy lodu i śniegu, które zbijają się w ogromne strupy, łączą z lodem narastającym od brzegów i zatrzymują nawet najbardziej bystry nurt. Póki nie zatrzymają Leny, promy w dużym pośpiechu przewożą ludzi ze wschodniego brzegu na zachod-

ni i z powrotem. Najbardziej śpieszą się kierowcy wielkich ciężarówek, którzy jadą najdalej. Jeżeli przez Kołymę do Magadanu, to śpieszą się na przeprawę na Ałdanie (jest mniejszy i zamarza wcześniej), jeżeli bliżej, do Nierungri (gdzie zaczyna się kolej), to gonią, by zdążyć z jeszcze jednym kursem. Żeby się nie spóźnić albo znaleźć trochę miejsca na promie, kamaziści – jak nazywają ich kierowcy osobowych – zdolni są do wszystkiego. Jeżeli postukają łomami po szybie albo przewrócą moskwicza do góry kołami, to jeszcze pół biedy. Rok temu kilku weteranów trasy Jakuck–Magadan wyrzuciło za burtę jakąś niewielką toyotę. Twierdzili zgodnie, że kierowca po prostu źle wjechał na trap promu. Poza tym była mgła, a szofer był na bani.

Właśnie z powodu mgły w ostatnich dniach października atlas Dumonta nie jest już potrzebny. Przez niskie chmury zimne światło sączy się osmotycznie na niemiłosiernie gołe gałęzie modrzewi, brzóz i wierzb. Jedynie sosna jakoś trzyma zielony fason. Korony drzew często pokrywa teraz szron, rzadziej szadź. Kiedy na ozdobione szronem konary spada śnieg, efekt jest zupełnie inny: śniegu zatrzymuje się dużo więcej i potrafi zalegać nawet na cienkich igłach sosen. Tajga w dolinie Tujmaada doskonale nadaje się wówczas na gigantyczną kostnicę. Pewnie był na to jakiś trafny jakucki przymiotnik, ale go zapomnieli. Marszczą się przestraszone mrozem owoce bzu syberyjskiego, kurczą się jak po ejakulacji jąderka jarzębiny i czerwienieją koralowe krople jabłuszek głogu. Wyglądają, jakby je ktoś tu powiesił w ofierze *iczczi* Tujmaady. Do niedawna złoty i znajomy krajobraz zmienił się tak nagle, że trudno poznać odwiedzane latem miejsca.

Zima przyszła do Tujmaady po cichu jak złodziej. Dawno już po imieninach Michała, a od pierwszego nowiu po tym święcie, według starego jakuckiego kalendarza, zaczyna się zima. Miasto jest wtedy nie mniej oniryczne niż jesienią: spojrzysz przez okno, zobaczysz co najwyżej oranżerię jak z trzeciorzędu: skrzypy, paprocie, ogromne cyprysy wymalowane pięćdziesięciostopniowym mrozem. Rzucisz okiem spod wilczej uszanki, a ulica rozpuści się w tysiącach okruszków lodu na rzęsach i spłynie z nimi, gdy się zagrzejesz na poczcie czy w sklepie. Najbardziej oniryczny jest jednak Załog. Wystarczy, że *buran*, wiatr ze śnieżycą, sypnie w oczy i zmęczony brodzeniem po zaspach zobaczysz tam brodatego zesłańca w łachmanach, syberyjskiego kupca w wilczej czapie, a nawet ponętne ladacznice na rogu

Sajsarskiej i Założnej. Jeżeli i to jest złudzeniem, to nie mniej prawdopodobnym niż pomnik Lenina w roju śnieguł.

# Zima 2008–2009

# Słownik języka jakuckiego V

## *Setinni*, miesiąc siódmy – listopad

Jakuckie miesiące zimowe nie mają nazw, to znaczy mają, lecz są to właściwie liczebniki. Pierwszy miesiąc zimowy – październik – to *ałtynni*, czyli szósty. Listopad – *setinni*, jest siódmy i tak dalej, aż do lutego, czyli dziesiątego, włącznie (a liczyć Jakuci zaczynali od maja). Tymczasem miesiące wiosenne i letnie mają już wyraziste imiona: marzec to miesiąc narodzin źrebaków, kwiecień – spływania lodu, maj – czas udoju. Czerwiec natomiast to miesiąc sosny. Wygląda więc na to, że dawni Jakuci bezbarwne zimowe miesiące tylko odliczali, wyczekując wiosny. Choć styczeń – *tochsunniu*, czyli dziewiąty, bywa też nazywany miesiącem opowiadania.

## 1 listopada

Biały kolor w jakuckiej wizji świata wcale nie uosabiał pustki, jak by się mogło wydawać tym, którzy przywykli zapełniać literami białe ekrany, zamalowywać płótna, a o czystej karcie mówić *tabula rasa*. Biel była związana z dostatkiem i pełnią, o czym świadczy wyrażenie *ürüng as*, czyli białe jedzenie. Chodziło o nabiał, to jest kumys – napój alkoholowy powstały z fermentacji kobylego mleka, *byyrpach* – kumys, ale z mleka krowy, *chajach* – czyli świeże masło zamrożone w śmietanie, *czochoon* – masło z wysoką zawartością tłuszczu ubijane z mlekiem, no i przeróżne rodzaje kefirów, polewek i twarogów. Trzeba jednak pamiętać, że język jakucki odróżnia dwa kolory białe: *maghan* i *ürüng*. *Maghan* oddaje przede wszystkim wizualne właściwości rzeczy. *Ürüng* także, ale podkreśla też ich sakralny wymiar i nawiązuje do przestrzeni mitycznej, z której pochodzą. Dość powiedzieć, że najwyższe jakuckie bóstwo nazywa się Ürüng Ajyy Tojon

i bywa przedstawiane pod postacią białego starca. Siedzi na drzewie i moczy sobie stopy w jeziorze mleka.

*

Husserl twierdził, że istnieje pewien specyficzny rodzaj bezpośredniego doświadczenia, które ujmuje ogólną i uniwersalną istotę rzeczy. Dowodził, że widząc na przykład konkretny biały obiekt, w rzeczywistości postrzegamy jego istotę. Postrzegamy samą biel.

## *Album*, czyli biel

Wystarczyły trzy tygodnie mrozów, by miasto pochłonęła plejstoceńska biel i to tak zachłannie, że na Kalandariszwilego nie bardzo wiadomo, gdzie szukać drogi. Ulice, chodniki i przystanki pokryła warstwa lodowego stiuku, który rośnie pod stopami jak grzybnia i nie mniej niż biel wokół utrudnia utrzymywanie równowagi. Na Lenina cała brygada drogowców skuwa lód z ulic. To dopiero początek zimy, a wywożą ciężarówkę za ciężarówką. Wygląda to jak wykopaliska archeologiczne odsłaniające Jakuck sprzed epoki lodowcowej.

Szron wpełzł też na okna niedogrzanych dieriewiaszek. Grubej jak szkło warstwy lodu nikt nawet nie próbuje skrobać, wisi na szybach jak stara firanka w pajęczynach mrozu. Siwieją, bieleją, aż znikną zupełnie ściany domów. W miejscach, gdzie stały stuletnie chałupy, robi się pusto i nie wiadomo, czy sędziwą chatę już wyburzyli, czy wsiąkła w *album* zimy.

Nie dość tego – wieczorem słupy dymów z ciepłowni i domów pochyliły się nagle na wspólnej wysokości ku północy. Nie rozpłynęły się w powietrzu jak zazwyczaj, tylko pozostały rozciągnięte nad miastem niczym kożuch na mleku. Widać, jak powoli powstaje z nich sławny jakucki smog, w którym miasto zginie jak w chmurze.

## 3 listopada

Szukam rzeczownika na określenie skrzypienia śniegu pod stopami. Słychać je już na wszystkich ulicach. Takie słowo musiało istnieć, może nie w jakuckim (wszak Jakuci przyszli tu z południa), ale na pewno w czukockim, eweńskim czy ewenkijskim. Podobnie w innych językach pasterskich i myśliwskich ludów Północy, jak jukagirski czy nieniecki. Przekopuję stosy słowników w Puszkince, wypytuję wykładowców uniwersytetu, ale na razie słowa tak istotnego dla myśliwych ani widu, ani słychu.

Jeśli jednak była to jakaś onomatopeja, to przed biblioteką słychać ją doskonale: od kilku dni rozbrzmiewa tam fonetyka zimy. Zamarznięte powietrze zwielokrotnia chrzęst śniegu i niesie go daleko, tak że trudno rozmawiać. Ludzie mówią więc podniesionym głosem, nachylają się ku sobie. Ich rozmowy i zgrzyt śniegu docierają nawet do czytelni na piętrze, za podwójne, szczelnie ocieplone okna. Zimą szum wiatru usłyszysz tu rzadko, deszczu nigdy, grom dopiero na wiosnę, za to dźwięków śniegu do woli. Skrzyp, skrzyp, skrzyp. Tak słychać biały kolor.

## 4 listopada

W stuletniej siedzibie sądu okręgowego projektu Klemensa Leszewicza, obecnym gmachu Rosyjskiej Akademii Nauk, odbyła się konferencja naukowa z okazji stupięćdziesięciolecia urodzin Wacława Sieroszewskiego i Edwarda Piekarskiego. Ci dwaj najlepiej znani w Jakucji Polacy urodzili się w 1858 roku, pierwszy w Wólce Kozłowskiej pod Warszawą, drugi pod Mińskiem na dzisiejszej Białorusi. Sieroszewski napisał *Dwanaście lat w kraju Jakutów,* encyklopedię kultury Sacha, a Piekarski Słownik języka jakuckiego. Jak słusznie zauważył Jegor Okoniesznikow, autor pracy doktorskiej o słowniku, wokabularz Piekarskiego to leksykon, a więc słownik translatorski, ale też etymologiczny, frazeologiczny i encyklopedyczny zarazem. Słownik jest niepowtarzalny nie tylko dlatego, że żaden z rdzennych narodów syberyjskich takiego nie ma, ale też dlatego, że wyjaśniając znaczenie poszczególnych słów, Piekarski mimochodem opisał codzienne życie Jakutów. Nie tylko podawał rosyjskie ekwiwalenty jakuckich wyrazów – sporządzał wręcz małe szkice etnograficzne i folklorystyczne.

*

Wciąż notuję nowe jakuckie i rosyjskie słowa. Zapisuję na biletach, gazetach, w notesie, na dłoni i na kartkach porozwieszanych w kuchni i w łazience. Zacząłem w 1999 roku, mam więc już parę rozdziałów, choć na razie wygląda to jak stos śmieci. Gdybym zebrał mój słownik z ostatnich dziesięciu lat, byłaby to mieszanka słów jakuckich, ewenkijskich, eweńskich, jukagirskich i rosyjskich z domieszką (a może oddzielnym suplementem?) haseł i przekleństw z łagrowej *błatnoj fieni*[44], która po pięćdziesięciu latach od likwidacji Gułagu nadal ma się dobrze nad Leną. Każde słowo z jego oddzielnym sensem, ale i sytuacją, w której się pojawiło. Co słowo, to jakiś człowiek, co hasło, to inne miejsce. No i data.

Pomysł, by opisać Jakucję, przyszedł mi do głowy po kolejnej lekturze Wacława Sieroszewskiego, którego czytałem w czasie pobytu u pasterzy reniferów w południowej części republiki. Ale żeby zrobić to w formie wokabularza – dopiero gdy zacząłem wczytywać się w słownik drugiego polskiego jakutologa. Jest to praca naukowa, ale momentami nowy gatunek literacki. Barwna opowieść z pogranicza eseju, reportażu i encyklopedii. Podobnie zresztą jak notatki pana Wacława zebrane w *Dwunastu latach w kraju Jakutów*.

## Środek. Kwartał IV

Najwięcej jakuckich słów i książek dostałem od Stiepana Konstantynowicza, mojego nauczyciela języka jakuckiego. Książkę najbardziej w Jakucku potrzebną – od Goszy Antonowa, historyka z akademii nauk: to *Historia miasta Jakucka* autorstwa Grigorija Andriejewicza Popowa. Instytut Nauk Humanistycznych wydał ją w 2007 roku z okazji trzysta siedemdziesiątej piątej rocznicy powstania miasta. Do książki załączono zwój map, a opasły tom zawiera też szkice planów czwartej twierdzy wojewody Prikłońskiego i całego grodu. Wystarczy przejrzeć je kilka razy, by poczuć się w Jakucku jak w dobrze znanym miejscu.

Najstarsza mapa przedstawia miasto z lat siedemdziesiątych XVIII wieku, a więc sto lat po przeniesieniu twierdzy Gołowina z Tabaghi w głąb lądu. Na planie wyraźnie widać cztery kwartały, których granice wykreślił woje-

woda Foma Iwanowicz Bibikow. Najgęściej zabudowany jest kwartał czwarty, rozciągnięty wzdłuż brzegu Leny między soborem Przemienienia a monastyrem Zbawiciela. Po cyplu Tabagha, gdzie niedawno jeszcze stał ostróg Gołowina, nie ma już śladu. Kwartał zamieszkiwali „Polacy i inni jeńcy", sekciarze i wszelkiej maści awanturnicy, przemieszani z pilnującymi ich kozakami. Tu, w wyrytej w wiecznej zmarzlinie dziurze, odbywał swój wyrok pierwszy zesłany na Sybir Polak, Konstanty Koniuchowski. Za kwartałem zesłańców powstał monastyr w którego resztkach mieści się dziś muzeum. Tam też było *łobnoje miesto*, czyli miejsce, gdzie skazańcom ścinano głowy.

W przeciwną stronę brzeg Leny obrósł domami kupców, mieszczan i kozaków, aż po ujście starej przetoki, już wtedy zwanej Łogiem. Przetoka to jeden z licznych wnuków Babci, który chciał dla niej odwojować kolejny fragment lądu. W odciętym przez wodę półksiężycu można naliczyć już kilkanaście obejść, choć panuje przekonanie, że na Załogu jakucjanie zaczęli się osiedlać dopiero w XIX wieku. Zapewne są to jakuckie balaghany i jurty, a może nawet tunguskie stożkowate czumy kryte skórami renów i korą brzozy.

Gdy ostróg przeniesiono z Tabaghi na przeciwległy brzeg Łogu, za kwartał kupców, w cieniu jego palisady powstała ostatnia dzielnica – dzieci bojarów i czynowników. Z twierdzy zostały dziś tylko sobór Świętej Trójcy i dziedziniec, nazwany placem Przyjaźni Narodów, na którym u schyłku Sojuza narody Jakucji, nie bacząc na nazwę miejsca, prały się nawzajem jak kibole na ustawkach. W jego północno-wschodnim rogu długo stała sędziwa baszta z czasów wojewody Prikłońskiego. Przetrwała setki lat, by spłonąć w 2002 roku. Ktoś ją podpalił.

Na trzystuletnim dokumencie widać, że drewniana zabudowa rozwija się przede wszystkim wokół soboru Przemienienia, nad Leną. To tam kształtuje się historyczne centrum. Rysują się już pierwsze ulice, które nazwy dostaną jednak dopiero w XIX wieku: przede wszystkim ulica Sobrańska i Kłubna, łączące to miejsce z Gostinnym Dworem i ulicą Bolszą. Można nimi spacerować także dziś, tylko nazywają się już Ammosowa i Kirowa i łączą świątynię nie z Gostinnym Dworem, lecz z pustym miejscem po nim, nazwanym teraz placem Lenina. Przez zawiłą i bezładną topografię ówczesnego Jakucka prześwituje też przyszła ulica Nikoło-Prieobrażeńska. Za parę de-

kad przebije się przez plątaninę chałup i dojdzie aż do soboru Świętego Mikołaja. Nikomu z mieszkańców domów ze starej mapy nie przyszłoby do głowy, że ich ulica zostanie kiedyś nazwana Październikową. Na planie nie ma jeszcze soboru Świętego Mikołaja, ale jest już cmentarz, przy którym powstanie. Najlepiej zaś rozwinięta jest ulica Bolsza, późniejszy prospekt Lenina, będąca niczym innym tylko drogą prowadzącą z kremla do miasta i portu na Lenie.

*

W jednym z rozdziałów swej książki Grigorij Popow wymienia cechy, po których można poznać domy budowane w leńskim ostrogu jeszcze w XVII wieku. Zatem są one dość wysokie, stawiane *w obło z ostatkom*[45] z grubych bierwion, zawsze przykryte czterospadowym dachem. Okna domów wznoszonych przez pierwszych kozaków były małe, pozbawione snycerskich wygibasów i ozdób. Często też wykorzystywano okna wołokowe, czyli niewielkie otwory zasuwane od wewnątrz ruchomymi deseczkami (bardziej przypominały strzelnice niż okna). Wewnątrz długimi sieniami dzielono chałupę na dwie izby, do sieni zaś wiodło obowiązkowe *krylco*, czyli ganek.

W XXI wieku już tylko jeden dom w Jakucku odpowiadał opisowi przytoczonemu przez Popowa. Była to modrzewiowa chata przy ulicy Ordżonikidzego z wnętrznościami rdzewiejących rur pod oknem i gaśnicą zawieszoną za węgłem na wypadek pożaru. W grudniu 2004 roku obfotografowałem ją szczegółowo, jakbym przeczuwał, że długo już nie postoi. O wieku domu świadczyły choćby same okna, bez naliczników, podzielone na sześć pól. Takie małe okienka łatwiej było „oszklić”, czy to byczym pęcherzem, czy odłamkiem muskowitu. Moda, by dzielić skrzydła okna na sześć kwater, przetrwała aż do pierwszej połowy XX wieku, bo o szkło zawsze było tu trudno. Dom przy Ordżonikidzego zniknął w 2007 roku.

Z młodszych, ale wciąż leciwych chałup najlepiej zachowały się te, które były świadkami jakuckich rewolucji: Monastyriewka, dom kupca Monastyriewa, i Romanowka, czyli dom snycerza Romanowa. W obejściu kupca Monastyriewa 3 marca 1889 roku trzydziestu zesłańców (byli też Polacy) zebrało się w proteście przeciw zaostrzeniu warunków odbywania kary. Obawiano się przede wszystkim wysyłki na Kołymę i nad Janę. Kozacy zastrzelili sześciu strajkujących, trzech powiesili, resztę oćwiczyli. Po piętna-

stu latach podobny protest powtórzył się w domu Romanowa – skutek był prawie identyczny. Zesłany w 1915 roku do Jakucji Sergo Ordżonikidze już wtedy polecił traktować te domy jak pomniki rewolucji, dzięki czemu można oglądać dziś znakomite przykłady drewnianego budownictwa przełomu wieków.

Zaś Grigorij Andriejewicz Popow za swoją miłość do historii Jakucka zapłacił życiem, tak jak wielu innych jakucjan niewygodnych dla władzy sowieckiej. Grigorij, podobnie jak jego ojciec i dziad, był prawosławnym duchownym. A do tego dzieckiem kupieckiego Jakucka i jego kronikarzem. Tymczasem nowa władza historię miasta burżujów chciała wymazać z pamięci. Dlatego póki żył, nie pozwolono mu wydawać książek, a w 1937 roku zwolniono go z pracy w bibliotece i usunięto ze stanowiska wykładowcy w Instytucie Pedagogicznym. Na podstawie donosów został oskarżony o działalność antysowiecką i zesłany do Karagandy, gdzie zmarł. Jakucjan rzadko skazywano na Kołymę, bo z pomocą tamtejszych Jakutów i Ewenów łatwo mogliby uciec. Dla nich więzieniem były Karaganda albo Sołowki[46].

## Linia krzywa

Jakuck ma już prawie trzysta osiemdziesiąt lat, a przez jakieś trzysta pięćdziesiąt był drewniany. Właściwości i kolory modrzewia *Larix dahurica* i sosny *Pinus sylvestris* stanowiły o jego wadach i zaletach przez wieki. Miasto skrzypiało, trzeszczało, paczyło się i próchniało. Latem pachniało żywicą, a zimą krztusiło się brzozowym dymem. W drewnianych ścianach wychowało pokolenia owadów: żerdzianek, kołatków i spuszczeli, których larwy nie dawały spać co wrażliwszym mieszkańcom. Z pokoleniami ksylofagów było nie mniej związane niż z kupieckimi i kozackimi rodami Kusznariowów, Nikiforowów czy Sybiriakowów. Dziś o drewnianą chałupę albo stuk kołatka domowego w centrum Jakucka bardzo trudno. Trzeba się zdrowo nachodzić pomiędzy prospektem Lenina a ulicą Ordżonikidzego, między Jarosławskiego a Leną, by znaleźć stary kawałek modrzewia czy sosny.

Jeszcze w XX wieku linia doskonale prosta była w Jakucku wielką rzadkością. Prawosławny lud Syberii uważał ją za diabelską, bo obcą przyrodzie

i nieposłuszną ciesielce. Z łuczywem trzeba było takiej szukać; ani jedna belka w izbie nie była idealnie prosta, tak jak żaden z brzegów Leny czy żaden z zaułków miasta. Współczesny Jakuck ma już w sobie coś mefistofelicznego: powoli, blok za blokiem, zyskuje piekielną geometrię wielkiej płyty, a do tego jeszcze kolor i fakturę betonu. Ogromne dziobate dźwigi kreślą koła nad miastem, a krecie mordy świdrów ryją w wiecznej zmarzlinie dziury pod żelbetonowe pale, na których staną kolejne szeregi wielopiętrowych bloków. Wspierają je zionące spalinami ciężarówki i ogromne spychacze. W jakuckich bajkach ojczyzną strachów *abaahy* jest dolny świat, *allaraa dojdu*, który szczęka metalem, brzęczy łańcuchami i śmierdzi.

Z dawnego Jakucka poza zabudową przy Kalandariszwilego i Bielińskiego ostało się parę domów wzdłuż Jarosławskiego i około trzydziestu w dzielnicy Założnej. Najstarszy ma jakieś sto trzydzieści lat. Stare miasto niby jest, ale rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że to erzac, substytut i tufta. Sztuczny połysk, atrapy i kolorowe reklamy urągają dawnym mistrzom, których nikt już dziś nie pamięta, cieszą najwyżej gawiedź i szkolne wycieczki. Krajobraz ratuje bryła cerkwi Przemienienia Pańskiego z drugiej połowy XIX wieku. Obok niej stała niegdyś cerkiew drewniana, ale bolszewicy spalili ją w latach trzydziestych. Zaledwie dwadzieścia lat temu władze zniszczyły zabytkowe Krużało i zastąpiły je zupełnie nowym budynkiem. W 2006 roku zburzono gmach Banku Amerykańsko-Azjatyckiego. Wspaniały dom burmistrza Juszmanowa zachował się tylko dlatego, że posłużył jako hotel dla pracowników szpitala. Uratowały go przenosiny na peryferie, w okolice nowej lecznicy. Jego mieszkańcy mają najpiękniejsze naliczniki i okiennice w tej części świata.

W 2008 roku zupełnie znikła zachodnia strona zaułka Żirkowa (to ten zwany Basziennym), małej uliczki, która powstała ze ścieżki wiodącej wzdłuż palisady kremla. W ciągu kilku miesięcy buldożery zburzyły pięć modrzewiowych domów. W jednym z nich w początkach XX wieku mieszkał polski zesłaniec Jan Zubrzycki, ślusarz, budowniczy i konstruktor, który chciał zbudować helikopter. Dziś w miejscu, gdzie marzył, buchtują świdry i rozpoczyna się budowa bloku mieszkalnego. Nieuprzątnięty leży wielki stos ziemi, drewna i wspomnień po jednej z chałup. W głębi placu budowy ostał się cudem mały domek: ściany na razie krzepkie, solidne drzwi otwarte na oścież, w środku piecyk. Budowlańcy z pobliskich rusztowań woleli jednak zamieszkać w blaszaku na kółkach niż w jego stuletnim wnętrzu.

Po drugiej stronie Żirkowa przycupnął jeszcze jeden, jak gdyby wystraszony tym, co dzieje się naprzeciw. Cicho zapada się w tającą pod nim zmarzlinę. Żywiczne bierwiona skurczyły się z zimna, ostatnie sztachety w płocie zbiegły do kupy, oczy okien zapadły pod powiekami ze śniegu i szronu. Ale coś się w nich jeszcze pali: żarówka albo uchylona duchówka. Komin dyszy lekkim dymkiem, wychodek stoi na baczność. Na krzaku bzu pod oknem harcuje samotna jemiołuszka. Można mieszkać.

Na szczęście zima przyszła szybko i uratowała dwa domy przy skrzyżowaniu Jarosławskiego z Kuraszowa. Stuletnie obejścia mogą sobie jeszcze poistnieć pół roku. Wiosną już pewnie nic ich nie ocali. Chyba że czyjaś pamięć, zachwyt albo jakieś udane zdjęcie. Ale turystów w Jakucku nie ma za wielu, starymi domami nikt się więc nie interesuje. Jeden z zabytków, dom pod numerem 14, solidna chałupa zdobiąca skrzyżowanie, wygląda jak mały dworek. Tworzą go dwa prostopadłe skrzydła, jedno długie na trzy, drugie na sześć okien, wielkich jak carskie wrota w ikonostasie. Krótsze skrzydło przylega do Jarosławskiego (niegdyś ulica Policejska), dłuższe wyznacza przestronny podwórzec, ograniczony jeszcze wiekowym parkanem i piętrowym ambarem z galerią i schodami. Ogromny spichlerz to ostatni taki budynek gospodarczy w Jakucku. O tym, że musi być bardzo stary, świadczą bierwiona ułożone *w obło z ostatkom*.

Na ulicę Policejską zerka dom trojgiem wielkich oczu, przystrojonych w zdobne naliczniki. Otwarte na oścież, przypominają ogromną księgę o drewnianych okładkach, zamknięte zaś – wielgachną broszkę. Księga kusi, by do niej zajrzeć, broszka mami wzrok, każe się zatrzymać i podziwiać, choćby przy minus czterdziestu. Szczyt okna, niczym mały tympanon, stanowi wachlarzowata „powieka” zdobiona po bokach beczułkowatymi wałkami z czymś jak ogon cietrzewia pośrodku. U dołu, pod parapetem, wisi wyprowadzony z falistych linii „fartuszek” wyhaftowany w okrągłe, prymitywne kwiatki. Jeden odpadł, drugi kwitnie jeszcze na bladoniebiesko i próbuje przykuć czyjeś spojrzenie.

Ściany domu obszyte są modrzewiowymi deskami. Pod koniec listopada stuletnie łaty wyglądają zupełnie inaczej niż w początkach jesieni. A to choćby dlatego, że słońce już bardzo nisko wpełza na niebo i nie daje rady zajrzeć w szpary pęknięć, nie oświetla ścian i nie wydobywa wszystkich półtonów z pozornie tylko monotonnej szarości. W szparach panuje mrok, a siwoszare lico domu, wyługowane i wymyte, miejscami wręcz bieleje, po-

orane czarnymi zmarszczkami, które wszędzie chyba towarzyszą przemijaniu. Tu i ówdzie deski inkrustowane są sękami, sęczkami, gdzieniegdzie siwieją od szronu, a pewnie i starości. O dziwo, trudno o czysty brąz w tym dziele czasu, słońca i mrozu.

Sąsiedni dom pod numerem 12 ma ściany zbudowane z krzepkich i czerstwych jeszcze bali. Spojrzenie zbiega po nich swobodnie jak kropla wody po szybie. Jasne od góry bierwiona – przysypane śniegiem – wydobywają ciemniejsze kolory dolnych partii, gdzie biel nie ma się na czym zatrzymać. Widać tam przede wszystkim żywiczny brąz, bliski czerwonemu i pewnie dlatego przechodzący w bordo i karminy. Pobocznice niektórych bali są nieco ociosane, co uwalnia z ich wnętrza inne barwy, pokrewne brązowi i żółci, a do tego odsłania wewnętrzny przebieg stokrotnych słoi rocznych przyrostów. Wyglądają jak szczegółowa mapa Gór Wierchojańskich albo przekrojona w poprzek kapusta. Nieociosane bierwiona prezentują się dużo skromniej.

Z górą od dwustu lat pobliską ulicą Bolszą, to znaczy dzisiejszym prospektem Lenina, można przejść przez miasto i wyjść na Załog. Jeśli naoglądałeś się cudów przy Policejskiej, to geometria Bolszej ukłuje cię w oczy: jakby się szło wewnątrz modelu perspektywy zbieżnej, na którego końcu szczęśliwie majaczy Załog. Od klaustrofobii ratują budynek sądu okręgowego, Puszkinka i baśniowy skarbiec miejski. Ich bizantyńsko-ruski, trochę liryczny styl, choć wyrażony w cegle i kamieniu, musiał się doskonale zgadzać z drewnem otaczających je do niedawna chałup i ambarów. Na fasadzie trzech budynków projektu Leszewicza miękkie półkola zataczają ościeże, okna i portale. Przypominające kopuły ruskich cerkwi tympanony i sklepione z odrobiną niepewności węgły dalekie są od nudnej geometrii. Zupełnie inaczej niż na betonowych ścianach spoczywa na nich spojrzenie i zalega śnieg. Ale oko pohulać może dopiero na Załogu.

W dzielnicy Założnej trudno o przykrą linię prostą, daleko sobie taka nie pobiegnie. Wiosną w kałuży ugrzęźnie, zimą pod siekierę wpadnie, latem w chmurze kurzu zniknie. A jesienią? Jesień tu zbyt krótka na długie linie. Nie ma stycznych, siecznych, nie daj Boże średnic i cięciw. Na krzywym zawiasie furtki zawisła oś y, wraz z progiem zapadła się oś x. Wzrok odpoczywa, błądząc samopas, sunąc nieregularnymi sinusoidami, skacząc zygzakami, którym doskonale odpowiada niespokojny lot jemiołuszek okupujących nieliczne krzewy bzu i jarzębiny. Szopy się chylą, płoty koszą, furtki

wahają. Domy wyprężają kalenice dachów w koci grzbiet albo zapadają się w środku w jakiś dziwny pomnik uśmiechu z wielkimi oczami okien po bokach.

## Jakuck 1854

Załog chyba najbardziej ze wszystkich współczesnych kwartałów Jakucka przypomina stary gród opisywany przez odwiedzających go podróżników. Jedna z najtrafniejszych relacji należy do Richarda Karlowicza Maaka, geologa i badacza Syberii. W roku 1854 przedsięwziął wyprawę nad Wiluj, dokąd ruszył po niedługim pobycie w Jakucku.

> Wszystkie domy w mieście są drewniane… ulice w większości wąskie i krzywe, tylko ulica główna [Bolsza] biegnie dość prawidłowo z północy na południe przez jakieś dwie wiorsty… Architektura, ogólnie rzecz ujmując, nie jest wyszukana i zdradza, że gospodarze nie martwią się tu wyglądem domów, a tym, by znaleźć w nich przede wszystkim schronienie przed zimnem. Wszystkie domy bez wyjątku są jednopiętrowe, tylko nieliczne mają mezaniny, wykorzystywane latem, ale bez pieców i szczelnych okien. Taki mezanin, to jest półpiętro, nazywają też w Jakucku strychem […].
>
> Przy każdym domu obowiązkowo znajduje się duży podwórzec, a na nim zabudowania gospodarcze. Najważniejszy pośród nich jest *ambar*, wielki budynek bez okien z szerokimi dubeltowymi drzwiami podobnymi do wrót […] i z zewnętrznymi schodami, wiodącymi na pomost w rodzaju balkonu na piętrze. Czasem urządzają tam też pokoje letnie, wówczas w grubych ścianach trzeba wyrąbać okna. Ważne miejsce podwórca stanowi bania, w której czasami urządza się dwa albo trzy pokoje dla gospodarzy, bo własny dom często oddają w najem sublokatorom. […] Dalej w każdym obejściu spotyka się jedną albo kilka jurt, które gospodarze albo wynajmują, albo ustępują czeladzi, i na końcu wiatę, pod którą stoją konie i bryczki. Trzeba też zauważyć, że stajen w ogóle tu nie ma. Przy wielu domach znajduje się także jedna albo kilka przybudówek, rzadko z piecami i ocieplonymi oknami, ale w większości służących dla mieszkania latem.
>
> Wrota i płoty przy obejściach są zazwyczaj nieproporcjonalnie wysokie i źle się trzymają. Prawie wszędzie przechylone na bok i podparte od dołu małymi palikami. Obok takich wrót niebezpiecznie jest chodzić… Zachowało się też bardzo dużo starych bram, sczerniałych przez lata, zdobionych rzeźbą i różnymi ornamentami. W każdym domu na oknach wiszą okiennice z żelaznymi bolcami służącymi do ryglowania na noc. Zimą w bogatych domach wstawia się okna podwójne. W biedniejszych za dnia dostawia się drewniane okiennice z maleńkim otworem pośrodku, w który wsuwa się dwa szkiełka albo kawałek muskowitu; nocą te okna wyjmuje się, a na ich miejsca wstawia po prostu deski. […] Nierzadko zamiast szkła używa się tu byczych

pęcherzy. A w niektórych domach nawet tafli lodu. Ogrodów wokół domów, można powiedzieć, nie ma zupełnie […].

# Słownik języka jakuckiego VI

## Głosy

Współczesny Jakuck ma już, podobnie jak inne syberyjskie miasta, swoją mechaniczną fonetykę. Na ulicach słychać trzask metalowych drzwi, rumor wibrującej poręczy, charkot silników i gruchot wielkich drucianych wycieraczek na schodach sklepów. I jeszcze łoskot ogłuszających bitów z głośników w autobusach.

Załog brzmi inaczej. W jego co bardziej zacisznych kwartałach wraz ze starymi domami uchowała się fonetyka drewna, przede wszystkim sosnowa i modrzewiowa, rzadziej brzozowa czy jodłowa. Drzwi, okiennice i furtki trzaskają tu miękko, deski na wyścielanych drewnem podwórkach skrzypią niezmiennie po sosnowemu, metalowe klamki i kołatki pasują do drewna, jakby były z niego wycięte, i nie drażnią uszu zbędnymi decybelami. Nawet jeśli samochód przejedzie błotnistą uliczką bez plamy asfaltu, to nie usłyszysz, bo niskie płoty nie potęgują hałasu i nie wciskają go przechodniom w uszy jak rezonansowe pudła prospektu Lenina czy Lermontowa.

Choć określenie „fonetyka modrzewiowa” trzeba by zachować dla tajgi. Najpospolitszym gatunkiem drzewa od Zabajkala po Kołymę jest modrzew, a szum tajgi to zazwyczaj poświst wiatru w miękkich, ale ostrych igłach. Towarzyszył Tunguzom, Kurykanom, słychać go w ewenkijskich bajkach i jakuckim *olongcho*. Wycie wiatru w koronie modrzewia to też fonetyka Kołymy, nie mniej przejmująca niż skowyt purgi na drutach kolczastych wokół łagrów. Tego słuchali więźniowie od Ałdanu po Magadan, kiedy spali, fedrowali, uciekali i zamarzali. Słuchali modrzewia.

# 7 listopada

Na konferencji pośród kilkunastu odczytów o Sieroszewskim nie pojawił się żaden dotyczący opisu Jakucka jego pióra, niczego nowego nie udało się znaleźć. Miasto nie interesowało go widocznie albo zajęty spisywaniem jakuckich podań i sianiem zboża, zwyczajnie nie miał już czasu, atramentu i papieru. Jest tylko kilka passusów w nowelach *Jak Gryf Mostowski budował młyn* i Powrót. Stolica jawi się w nich jako wielkie drewniane osiedle z krzywymi bramami i płotami, które czasem przewracają się na przechodniów. Ciemno, mokro i szczekają psy. Jest też kilka zdań w *Pamiętnikach*, ale jakiegoś większego obrazu Jakucka, takiego, jakim widział go pisarz, nie da się z tego odtworzyć.

Najczęściej napomyka Sirko o ułusnej kwartirze, czyli noclegowni przy dawnym zaułku Monastyrskim, gdzie zatrzymywali się przybywający do Jakucka zesłańcy polityczni. Nazywano ich ułusnikami, czyli mieszkającymi w ułusie, w odróżnieniu od tych, którzy mieli prawo mieszkać w Jakucku. Sirko unikał noclegowni, bo była miejscem pijatyk, karcianych maratonów i szalonych zakładów, w które często mieszała się policja.

Nic nowego nie powiedziano też o losach jego córki Marysi. Kiedy w 1892 roku Sirko wyjechał do Irkucka, zabrał ją ze sobą. Nosiła już wówczas jego nazwisko, o co sam Sieroszewski długo zabiegał w Jakuckim Zarządzie Okręgowym. Dwa lata później, wyjeżdżając do Petersburga, zostawił ją w Irkucku pod opieką przyjaciela Stanisława Landego. O jej dalszych losach wiadomo tylko tyle, że została nauczycielką, w latach trzydziestych mieszkała w Moskwie, korespondowała z ojcem, ba, odwiedziła go nawet w Paryżu. Kilka lat przed drugą wojną światową listy przestają przychodzić, a wszelki słuch po niej ginie. Gustaw Herling-Grudziński w *Innym świecie* pisze, że towarzysz z łagru, teletechnik z Kijowa, zesłany został za „kontakt listowny z krewnymi w Polsce”. Trudno uwierzyć, by łagier mógł ominąć Marię Sieroszewską, córkę jednego z wybitnych działaczy pańskiej Polszy[47].

## Łabędź

Coś dziwnego dzieje się z ubarwieniem ptaków na wschodzie i północy Eurazji. Bieleją i płowieją. Do ich łacińskich nazw trzeba dodać jeszcze jeden przymiotnik: *albus*. Sikora czarnogłowa nad Leną ma bielszą pierś i brzuszek niż ta, którą można oglądać nad Wisłą. Podobnie piecuszek, pierwiosnek, świstunka czy kowalik, który na Syberii i w Jakucji od spodu jest zupełnie biały. Więcej białego na skrzydle ma też dzierzba srokosz, a na brzuszku czysta jak świeży śnieg czeczotka tundrowa i kontrastowo plamkowane świergotki tundrowy i tajgowy. Nie do zauważenia na tle zasypanych białym kolorem równin są sowa śnieżna, białozór i jastrząb z Gór Czerskiego. Za to koloru jakuckiego smogu są gil siwy i sikora północna. Świat na wschód od Uralu bieleje, blaknie, znika. My mówimy „blady jak ściana", Sacha zaś „*kubaghaj*", blady jak łabędź.

## Słówka

Wciąż dochodzą mnie jakieś nowe słowa, hasła, których nie sposób znaleźć w słowniku współczesnego języka jakuckiego. A jeśli nawet są, to tłumaczenia niepełne albo nazbyt poprawne.

*Mambiet* – negatywnie o ułusniku, który zazwyczaj jest pijany, nie ma pieniędzy na powrót do domu i koczuje w okolicy dworca autobusowego. Lepiej mówi po jakucku niż po rosyjsku. Może zaczepić na ulicy i żądać rubli, a jeśli nie dasz, zabierze ci uszankę. (Uszanka z piżmaka czy jenota kosztuje około pięciu tysięcy rubli, jakieś pięćset złotych). Jeśli idziesz z Jakutką, a mambietów jest dwóch, to mogą zbluzgać, a nawet pobić. Trzeba unikać ich jak mientów.

*Mienty* – milicja. Mogą za nic wrzucić do suki, poturbować, wmówić, że byłeś pijany, i żądać kasy. Zatrzymanym miażdżą uszy, zwijając je w trąbkę, co na czterdziestostopniowym mrozie cholernie boli. Unikać ich jak mambietów.

*Chara omuk* – z jakuckiego „czarny naród", ale chyba nie jest wartościujące. Tak mówią Jakuci o imigrantach z Azji Centralnej i Kaukazu.

Są spokojni, niebezpieczni bywają tylko wówczas, jeśli ich zaczepiać. Interesuje ich zarobek, więc nie szukają problemów. W Jakucku opanowali budownictwo. W największe mrozy palą sobie duże ogniska na piętrach wznoszonych wieżowców, co w smogu wygląda jak zachód słońca.

*Chaczczyki* – dość pogardliwe określenie przybyszów z Kaukazu. Nie tylko budują, ale często też pracują jako kierowcy PAZ-ów. Nie lubi się ich za to, że brutalnie egzekwują opłatę za przejazd. W Jakucku nie ma biletów, kierowcy oddajesz odliczoną sumę, koniecznie dopiero przy wysiadaniu. Jeśli zapłacisz od razu po wejściu, szofer do następnego przystanku zapomni, chwyci za kołnierz i będzie żądał kasy raz jeszcze. Bywają wybuchowi: 1 września 2008 roku jeden zginął w bójce na przystanku.

## 11 listopada

Z nadejściem mrozów jakucjanie założyli szuby i miasto zrobiło się jeszcze ciaśniejsze. W ogromnej republice nagle zabrakło miejsca. Pasażerowie nie mieszczą się w autobusach, klienci utykają między potrójnymi drzwiami sklepów, w końcu w samych sklepach i w ciasnych barach. Ja też co rusz uderzam się w głowę, zakleszczam w na wpół otwieranych drzwiach, ginę w tłoku szub i kożuchów na przystanku. Po agorafobii nie zostało śladu.

W Jakucku stoi kilka wieżowców nazywanych małosiemiejkami. Mieszkania w małosiemiejkach mają po piętnaście metrów kwadratowych, a żyją tam kilkuosobowe rodziny wraz z gośćmi z ułusu. Nic dziwnego, że ich lokatorzy nierzadko cierpią na otyłość i choroby serca. Z kolei domy na wsiach niby przestronniejsze, ale dziw bierze, jak rzadko ludzie mieszkają tam oddzielnie, gdzieś na uboczu. Zazwyczaj żyją w kompaktowych wioskach, gdzie pomiędzy wąskimi uliczkami, ciasno poupychane, kulą się drewniane chałupki, balaghany i chotony. Jakby miało im być cieplej od tej bliskości. W kraju o powierzchni trzech milionów kilometrów kwadratowych ludzie spędzają życie na kilkunastu metrach. Okazuje się, że z przestrzeni nie można korzystać, gdy jest jej za dużo. Albo gdy przez większą część roku jest biała.

# Trop myszy

W Jakucku zaledwie minus trzydzieści, a widok jak ze szkła. Wystarczy krzyknąć albo trzasnąć drzwiami i świat stłucze się niczym akwarium, a kryształowy lazur prześwitującego kosmosu pokruszy się w drobny mak. Czy to samolot z Tiksi leci na południe, czy rysa pierwszego pęknięcia już przekreśliła niebo? Jeśli w taki czas nieopatrznie wysunąć nos spod uszanki, można go dotkliwie odmrozić, dłoń czy palec wyjęte z rękawicy skaleczy byle podmuch. Płuc w nic nie można ubrać, więc każdy oddech to cios nożem. Wdychasz ostrze za ostrzem, zazdroszcząc reniferom skomplikowanej budowy jamy nosowej. W nosie rena zimne powietrze musi pokonać kilkanaście zakrętów i zakamarków i dopiero w ten sposób ogrzane wpada do płuc. Czy to minus czterdzieści, czy czterdzieści pięć – nie ma większego znaczenia. Wystarczy, że trochę zawieje, twarz ostudzi i tuż przy skórze jest już minus sześćdziesiąt, a w powietrzu wiruje lodowy pył, miliony małych lodowych nożyków. Promienie słońca kaleczą się o nie, rozpadają jak w pryzmacie i tworzą halo, gigantyczną tęczę spinającą wschodni i zachodni kraniec Tujmaady. Toczy się po niej słońce, powoli, jakby spływało po szklanym widoku, aż wpadnie za Tabagiński Tumus.

Zanim zajdzie, zamieni się na chwilę w czerwony brzuch gigantycznego gila, co to przysiadł na czubku Nochala, kokosi się we własnym cieple, stroszy w różne róże i rozpływa z rozkoszy. Gile, latające nad Tujmaadą kulki ognia, zimy się nie boją. Kpią sobie z jej oficjalnej bieli, pogwizdując rubasznie i z trudem przenoszą z drzewa na drzewo swoje pyzate brzuszki.

Chyba tylko psy i bezdomni nie patrzą na to cudo. Na Kriestiański przywieźli świeże karasie, idzie rozładunek, wre handel, ceny rosną. Spada tylko temperatura. W tym rozgardiaszu jest szansa uszczknąć choć sztukę ze straganu, z torby, z rozbitej skrzyni. Głodny burek porwał twardego jak kamień karaska i gna z nim przez rynek, ścigany przekleństwami okradzionych i ujadaniem psubratów. Przekupki, rybacy i psy, masarze, bezdomni i wróble marzną nie na żarty. Co chwila ktoś przetruchtuje dookoła swojego straganu, by się trochę rozruszać. Sprzedawcy desek wyciągnęli piłkę i próbują odbijać ją w grubych rękawicach, handlarze rybami urządzają harce: kilku chłopców złapało sprzedawczynię warzyw o kapuścianych kształtach (warzywa trzyma w samochodzie), założyli jej wór na głowę, omotali

sznurkiem jak worek ziemniaków i huzia, sprzedawać za pół ceny! Pisku, wrzasku, olaboga! Byle się niebo nie stłukło i bezdomni do towaru nie dobrali.

Lata nad tym kramem chmara chudych wróbli żebraków. Słońce im przez skrzydła prześwituje, jakby wygłodniałe ptaki były już tylko z piór. Tu i tam, w tę i we w tę wiruje ten latający dywan. Pewnie im od tego cieplej.

Ognisty gil schował się za Tumusem i podpalił sąsiednie Tabaghę, Chatasy i lasy na południu Tujmaady. Po drodze nie oszczędził drewnianych chałup Załogu. Jeśli spojrzeć z brzegów Leny, to zachód słońca wygląda jak jakiś apokaliptyczny pożar. Obejścia spowija dym, bo Załog jest ogrzewany drewnem i węglem. Przez jego siwobure kłęby okolone już to świńskim, już to pudrowym różem przebija czerwień i wybuchają różne pąsy. Dziwowisko. Najdłużej dogasa pożar odbity w kopułach cerkwi Przemienienia Pańskiego, w krzyżu na pomniku Bekietowa i w oknach hotelu Tygyn Darchan. Ostatnim błyskiem sięgnął jeszcze samotnej wierzby nad Leną i zdołał ją podpalić. Goreje *Salix viminalis* na śnieżnej pustyni, tylko Mojżesza brakuje.

Jest za to kruk, według wierzeń narodów syberyjskich ptak obecny przy stworzeniu świata. Demiurg krąży nad płonącym krzewem, nic sobie nie robiąc z minus czterdziestu stopni. Potrafi przetrwać zimę dzięki padlinie zostawianej przez wilki, a w mieście korzysta też ze śmietników. Przeleciał nad wierzbą, kraknął coś jak przy stworzeniu świata i skręcił nad Załog.

Pożary Załogu stają się z dnia na dzień rzadsze, bo wokół Tujmaady dojrzewa ogromny obwarzanek mgieł i coraz mniej widać. Z ósmego piętra akademika tuman wygląda jak fantastyczny wał śnieżnego pyłu i mroźnych oparów, zza których wychynie za chwilę jakaś lodowa konnica albo sam mityczny Byk Zimy. W połowie miesiąca obwarzanek zamknął się cicho nad miastem, wchłonął dymy elektrowni, fabryk i ulic. Dolinę wypełnił smog, a widoczność w Jakucku spadła do kilkunastu kroków. Na ulicach nic już nie rzuca cienia, więc nie wiadomo, czy cokolwiek naprawdę istnieje.

Na zewnątrz minus czterdzieści pięć, a czeczotki tundrowe nie ważą nawet czterdziestu gramów. U zbiegu Niekrasowa i Dzierżyńskiego uwijają się pośród zakutych w szron ciężkich warkoczy brzozy. Pod lodem zachowały się pełne nasion szyszeczki. Jak tresowane myszy czeczotki wspinają się po pędach brzozy i zbierają pokarm w ogromnym pośpiechu. Śpieszą się

w milczeniu, bo są prawie tego samego koloru co mgły i łatwo mogą w nich zginąć.

Jeszcze zanim Jakuck przepadł w tumanach, Lena zmieniła się w żyłę lodu. Z doliny rzeki lód i szron wpełzły na pnie i gałęzie wierzb, brzóz, sosen. Drzewa tężeją jak po ukąszeniu i obrastają lodowym lukrem. Czysta śmierć, ale ładna. To niesione z południa wilgotne powietrze, zetknąwszy się z zamrożonymi gałązkami, zastygło w ciężką śnieżną sztukaturkę, w lodowy stiuk. Plejstoceński tynk bywa tak twardy, że tylko dzięcioł trójpalczasty potrafi zbić go z pni wierzb. Szron pokrywa też okna, parapety, policzki i brwi. Haftuje ciężką koronkę na wiszącej nad miastem pajęczynie drutów, przewodów i kabli. Tylko patrzeć, jak z komina jakiejś elektrowni spuści się na nią ogromny pająk.

Sikory bogatki, póki szron nie zawłaszczy wierzb, skaczą po strunach gałęzi w poszukiwaniu owadzich jaj. Wyglądają, jakby chciały coś na tych gałęziach zagrać. Kiedy przychodzi szadź, głodują. Próbują dobrać się do reklamówek z jedzeniem, które ludzie wieszają za oknami. Karmników nikt tu nie wywiesza, bo trudno byłoby dosypywać karmy: okna zamyka się na pół roku – śrubami, gwoździami i taśmą klejącą.

Ludziom ni głód, ni chłód nie grozi. Powyciągali z szaf szuby, futra i pelisy, pozakładali kożuchy, półkożuszki i baranice, chwalą się dublonkami, mufkami i kołnierzami z kun. Na ulicach miasta masowa mimikra, bo przechodnie często zakutani są w futra drapieżników: ktoś upodabnia się do wilka, ktoś do rysia, inny do pieśca, jeszcze inny do lisa. A i rosomaka widać, norkę, czasem drogiego sobola. Są też roślinożercy: królik, wiewiórki i piżmak, czasem nie do poznania, bo strzyżone albo barwione w najbardziej fantastyczny sposób. Wyróżniają się szczególnie piżmak i królik: od intensywnej ćwikły, poprzez wiśnię, róż, po jajecznicę z mlekiem. Jakby jakiś zbiorowy atawizm opanował mieszkańców Jakucka.

Pomiędzy bezpiecznymi przechodniami latają mazurki i kłócą się o wyrzuconą przez kogoś kanapkę. Różnią je od zwykłych wróbli brązowa „czapeczka” na głowie i siwy „szalik” dookoła szyi. Mazurki *Passer montanus* noszą swoje uszanki okrągły rok, ale i tak cały świat myli je z wróblami – *Passer domesticus*, które mają tylko siwe mycki.

Jest tak zimno, że młodzież kocha się już tylko w samochodach, toteż na Górce Miłości nie ma nikogo. Choć trudno dostać się na szczyt, warto brnąć w śniegu po pas, by nasycić oczy pejzażem zimy. Ululała Tujmaadę

do snu na pół roku, schowała pod śnieżną zaspę. Sen miasta można zobaczyć: snuje się jak wszędobylski tuman, gęsty, że w garść nabierzesz. Tylko gdzieniegdzie wychynie z niego komin albo samochód zawyje, ale też niby przez sen. Bywa, że mgła na chwilę ustąpi, i widać wtedy, że Załog jeszcze nie spłonął, że parterowe Sajsary znikają już w cieniu blokowisk, a ludziki jak mrówki śpiesznie uciekają do domów. I nagle kurtyna w dół.

Garb zasypanej śniegiem Górki Miłości przecina groszkowaty trop myszy leśnej. Mały gryzoń nie zapada w zimowy sen, korzysta ze zgromadzonych wcześniej zapasów jak mysz Antonina w *Calineczce*. Widać, że po drodze się zatrzymała, przystawała dwa razy, choć wokół nie ma nic. Czyżby patrzyła na miasto? Że też jej się chciało w takie zimno.

## Słówka

Słowa, które same cisną się do uszu. Z rozmów na ulicach, z gazet, z wiadomości w telewizji i w radiu. Powtarzają się, co pozwala mniemać, że w mieście zaszły ważne zmiany.

*Tymnyy* – mróz i chłód zarazem. Mróz po jakucku nie nastaje czy przychodzi – jak choćby w języku polskim – tylko spada. Jak śnieg, deszcz, nieszczęście lub uderzenie. Jest więc zjawiskiem atmosferycznym równie odczuwalnym jak grad albo ulewa.

*Dżybar* – szczególnie dotkliwy mróz, zazwyczaj poranny i wieczorny (w momencie wschodu i zachodu słońca). Stare przysłowie: „Kiedy *dżybar*, nie rozmawiaj” można by przetłumaczyć na polskie „Ściany mają uszy”. W czasie mrozów dźwięk niesie się daleko i ktoś niepowołany może stać się mimowolnym świadkiem rozmowy.

*Chaar* – śnieg. Bardzo często w porównaniach i nazwach własnych. Na przykład sowa śnieżna to *chaar ebee*, czyli śnieżna babcia, albo *chaar ojuun*, czyli śnieżny szaman. Piekarski odnotował, że starzy ludzie nie liczyli czasu za pomocą lat, tylko „kolejnych śniegów”. Na przykład ośmioletni pies to pies „po ósmym śniegu”. Człowiek, który przeżył wiele lat, to ktoś „po uszy zakopany w śniegu”.

*Kyraha* – pierwszy śnieg. Zazwyczaj bardzo drobny i miałki, nie klei się, tylko przesypuje jak biały kurz czy piasek. Piekarski podaje, że tak nazywano pierwszy śnieg, który otwierał sanną drogę (karawany kupieckie wyruszały na jesień).

## Zamarzanie

Najczęściej zamarzają w Jakucku woda i owady, potem alkasze[48], mambiety i psy. Niekiedy też ptaki, czasem dzieci. Rzadziej całe osiedla czy podmiejskie posiołki ewakuowane po wybuchu kotłowni. Ludziom zazwyczaj odmarzają palce, opuszki, części uszu i nosa. Psom i myszom zaś ogony. Ziemia właściwie w ogóle nie odtaje, bo odkąd zamarzła w plejstocenie, do dziś pozostaje wieczną zmarzliną. Bryłą lodu. Na wiosnę wraz z powodzią zawsze wychynie z niej jakaś mamucia noga, cały zad albo gigantyczny cios. Tak jak w Jakucku z zasp wyłoni się jakiś listopadowy trup, wataha psów zamarzniętych we śnie czy ukradziony jesienią samochód. Nikt nie wie, co po hucznym sylwestrze i Starym Nowym Roku[49] kryje się w zwałach śniegu, tak jak nieznana jest liczba mamutów, bizonich rogów i kopalnych ryb zamrożonych od plejstocenu w tajdze nad Leną i wokół Tujmaady.

Do tej kriofauny o mały włos nie dołączyło dwóch *chara omuk*, którzy jechali w interesach z Jakucka do Czurapczy. Kiedy za miastem znaleźli się w czystym albumie Jakucji, zabłądzili między jego białymi stronami. W śniegu i tumanie zboczyli z drogi i dwa dni tułali się po tajdze Ilin Engeru. Kiedy skończyło się paliwo i nadzieja, wytropił ich myśliwy z Czurapczy. Starego zaniepokoiły ślady wołgi w tajdze i tropem kolein, rozkopanych zasp i powalonych drzew trafił na dwóch oszronionych nieszczęśników ze śladami odmrożeń na twarzy. Nakarmił, ubrał i odwiózł saniami do pobliskiego posiołka. Skończyło się na amputacji kilku palców u nóg i rąk i długim leczeniu nosów.

Siergieja z Nieriungri nie znalazł żaden myśliwy. Niedawno dostał w prezencie ładę niwę, więc kilka godzin przed sylwestrem poproszono go, by zawiózł prowiant na bal organizowany w bazie turystycznej nad rzeczką Timpton pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Nieriungri. Zabrał ze sobą przyjaciół, Alonę i Saszę. W drodze powrotnej, dwadzieścia dwa kilometry od bazy, łada wpadła w pustolód, a od ciągłych prób wydostania się z lodo-

wej dziury nawalił rozrusznik. Na szczęście na tym kawałku tajgi jest jeszcze zasięg telefoniczny, więc Siergiej zadzwonił do ojca po pomoc. Ten obiecał wysłać samochód, więc nikomu nie przyszło do głowy wzywać MCzS[50]. Tymczasem młodzi ruszyli z powrotem, pieszo w stronę rzeki Timpton. Po czternastu kilometrach Siergiej usłyszał warkot silnika i przekonany, że to ojciec z odsieczą, samotnie wrócił do samochodu. Nie wiadomo, czy była to jakaś audiofatamorgana, czy rzeczywiście zagubiona ciężarówka – dźwięk w wysterylizowanym powietrzu niesie się daleko. Przy ładzie nie zastał nikogo. Ojciec nie mógł pomóc, bo który kierowca w Rosji dwie godziny przed sylwestrem może prowadzić samochód? Był zresztą pewien, że syn wróci do bazy. Dopiero po pierwszych objawach hipotermii Siergiej wezwał profesjonalną pomoc. Baterii w telefonie starczyło mu jeszcze, żeby pożegnać się z matką. Kiedy znaleźli go ratownicy, umierał. Sasza i Alona doszli, ale każde bez kilku palców.

Łączność jakuckich peryferii z centrum zapewniają UAZ-y, z racji „bezpieczeństwa", które ich konstrukcja zapewnia pasażerom, nazywane „pół metra od śmierci". Po zamarznięciu bagien, torfowisk i jezior liczba wiosek, z których można dotrzeć do Jakucka lądem, wzrasta stukrotnie. Pasażerowie z odległych osad w podróż do miasta zawsze zabierają zapasowe szuby i unty, a do tego zapałki i prowiant na kilka dni. Kierowca obowiązkowo wozi zapałki i topór, bez którego nie sposób rozpalić ognia. Wszystko to dlatego, że UAZ-y często się psują i choć łatwo je naprawić, to czasem trzeba czekać, aż ktoś będzie przejeżdżał. W szczerej tajdze przy minus pięćdziesięciu stopniach.

W burzliwych latach dziewięćdziesiątych, kiedy brakowało wszystkiego, drogi były mniej uczęszczane, a stare samochody psuły się częściej, bywało, że na zimowych drogach w tajdze ludzie ratowali się przy ogniskach palonych z opon. W Jakucku od taksówkarzy na dworcu autobusowym do dziś można usłyszeć historię o jakimś rosyjskim dalniebojszcziku, który jechał z Jakucka przez Amgę do Ust′-Mai nad Ałdanem. Na wysokości wsi Byrama zepsuł mu się silnik (*zagłuch motor*) i w ciągu kwadransa szofer wystygł jak zupa. Mokre drewno nie chciało się rozpalić, a że trzeba palić suche, nie miał pojęcia. Jak i o tym, że zaledwie kilometr dalej, za kotarą mgieł, leży wioska Byrama. Uratowała go jakaś jakucka rodzina w UAZ-ie.

Drzwi w dieriewiaszkach – a tym bardziej w domach w takich posiołkach jak Amga – często nie mają tradycyjnych zamków z klamką. Jest tylko mała

zasuwka od wewnątrz, ale brakuje większego mechanizmu z języczkiem, który trzymałby drzwi w futrynie. Dzięki temu łatwiej uszczelnić framugę i straty ciepła są dużo mniejsze. Trzeba naprawdę solidnie trzasnąć, by obity skórą bądź filcem prostokąt wpadł w równie pieczołowicie ocieploną futrynę. Z czasem od częstego zamykania drzwi mogą zacząć otwierać się same. Otworzyły się tak w jednym z baraków w Amdze, a może nie domknęła ich wychodząca do sąsiadki mama? Pozostawiona w domu czteroletnia dziewczynka wyszła w poszukiwaniu matki na nieoświetloną ulicę. Zaczęła wołać, a po chwili błądzić i płakać z zimna. Było dużo poniżej czterdziestu stopni. Przez ściany działowe drewnianych domów słychać wszystko, przez te zewnętrzne i grubo ocieplone drzwi trudno usłyszeć nawet pukanie. W tak małym organizmie zobojętnienie na bodźce musiało przyjść szybko. Podobnie jak fałszywe uczucie ciepła, przez które dziecko uspokoiło się i zaczęło rozbierać. Znaleziono ją za późno, na klatce schodowej jednej z piętrowych dieriewiaszek.

Śmierć z wychłodzenia nazywają Jakuci „łaskawą”. Zamarzający tuż przed zgonem nie czuje chłodu, tylko wyimaginowane ciepło, dzięki któremu uspokaja się i pozbywa odzieży. Do bielizny.

## Słówka

*Muus* – znaczy lód. Jeszcze żyją po wsiach ludzie, którzy wierzą, że gdy zamarzają tonie rybackie na Lenie, stawy i jeziora, to znak, że Ziemia zamyka okna. A słoneczni bogowie Ajyy idą spać. Słowo muus, lód, podobnie jak w przyrodzie, kryje w sobie wodę. Chodzi o te dwa środkowe *uu*. Dosłownie znaczą „woda”.

*Czeng* – lód, który narasta w kącie balaghanu, albo szron na jego wewnętrznych ścianach. Dziś tym rzeczownikiem określa się lód na parapetach okien w blokach i domach.

*Taryng* – pustolód. Warstwa fałszywego lodu powstająca nad pierwszą listopadową powłoką. Czasami rośnie jak ogromny pęcherz, głęboki na kilka metrów. Nieświadomy podróżny stąpa i wpada weń jak w pułapkę. Uratować go może doświadczenie albo mądry renifer *pieriedowik*, który na głuchy dźwięk pustolodu pod racicami staje w miejscu.

*Yrbyy* – po rosyjsku *zakraina*, po polsku przybrzeże, czyli pas wody między brzegiem a skrajem lodu na jeziorze bądź rzece. Czasem poranny przymrozek może zamaskować go cienkim lodem, wtedy myśliwy czy rybak wpada i ląduje w wodzie.

*Tong* – marznąć i zamarzać zarazem. Jakby już w samym czasowniku „marznąć" ukryte było ostrzeżenie przed śmiercią.

## 17 listopada

Nad ranem minus czterdzieści stopni, nic dziwnego, że Lena całkiem zamarzła. Cztery tysiące czterysta kilometrów czystego lodu, jeden z największych sopli na świecie. Tyle że leży. Jakuci do niedawna wierzyli, że wielka rzeka jest śladem zostawionym przez mamuta, który epoki temu przechodził tędy na północ. Martwe mamuty znajdowali zawsze w ziemi, toteż uważali, że zwierzęta żyły w jej wnętrzu, a wędrując, ryły koryta rzek, rzeczek i strumyków. Wyłania się z tego, jak mamut z ziemi, ładny obraz rzeki jako drogi.

### *Pieriewałka*

Łączność ze światem, czyli z drogą do kolei i nad Amur, zachowuje stolica dzięki ogromnej kupie żelastwa nazywanej promem. Prom ma jeszcze kilku akolitów w postaci pomniejszych, bardziej lub mniej pordzewiałych łajb, a cała ta żelazna flota robi niezwykle przygniatające wrażenie. Od ostatnich dni maja do połowy listopada prom terkoce po Lenie, przewożąc samochody, ludzi i krowy z lewego brzegu na Zarzecze i z powrotem. Bywa, że już w październiku potrzebuje lodołamacza, by przebić się przez zwały zamarzającego śryżu i pierwsze tafle lodu. Kiedy w gęstym tumanie zderzy się z inną krypą bądź siądzie na mieliźnie, to znak, że czas zawijać do zimowego portu. Na prawym brzegu zbiera się wówczas flotylla wołg, moskwiczy, UAZ-ów i japonek[51], które chcą zdążyć na ostatni w tym roku kurs do Jakucka. Wiedzą dobrze, że tuż po nim nastąpi długi okres oczekiwania, aż lód na Lenie stwardnieje na tyle, by móc po nim bezpiecznie przejechać.

To się dzieje w ciągu jednej listopadowej nocy. Mróz i lód tężeją, a obciążony promem lodołamacz już w Lenę nie wściubi nosa. Babcia nie rusza się od rana i żadnego ruchu sobie nie życzy. Pokrywa lodowa jest za gruba na statek, a za cienka na samochód. Zmęczeni walką o miejsce na promie pasażerowie z Amgi, Tatty, Mai i innych małych wiosek czekają już tylko, aż lód zgrubieje na tyle, by ich utrzymać. Nikogo nie interesuje, że według Ministerstwa Spraw Wyjątkowych potrzeba na to piętnastu centymetrów na całej powierzchni rzeki. Nawet dla stojącego jest jeszcze niebezpiecznie, bo powinno być chociaż siedem. Ludzie zostawiają zbędne bagaże na brzegu i na lekko, gęsiego, zachowując między sobą spore odległości, ostrożnie jak saperzy brną pięć kilometrów po lodzie delikatnym jak ściany akwarium. Idą ci, co dojeżdżają z Biestiachu do pracy i mają już dwudniową nieobecność, spóźnieni studenci po niedzieli spędzonej u rodziców, znajomy cieśla po robocie w Mai, a w końcu handlarze warzyw i owoców, którzy kupują towar w hurtowniach przy trasie z południa i muszą przewieźć go do stolicy.

Właściciele zieleniaków bynajmniej nie niosą warzyw w plecakach. Próbują szybko zbadać, którędy można przejechać, gdzie błyszczy już lód, a gdzie płynie jeszcze woda. W ciągu dnia powstają mapy, w ciągu nocy – w oczekiwaniu, by lód zgrubiał – trwa załadunek. Rano nieznani światu mistrzowie kierownicy ruszają do Jakucka. Nie wielkimi ciężarówkami, tylko japońskimi dwutonówkami, UAZ-ami wyładowanymi do połowy, czasem nawet saniami. Ceny cebuli, marchwi, ziemniaków i śmietany w Jakucku już podskoczyły, bo zaopatrzenie i tak słabnie na jesień, kiedy prom kursuje wolniej i nie nadąża. Ktoś tam zawsze wpadnie do wody, ktoś się utopi, ktoś tylko podtopi, ale biznesmeni z końca świata nie nagłaśniają takich wypadków, by nie budzić czujności milicji. I tak upragniony brzeg w Jakucku obstawiony jest posterunkami jak w czasie oblężenia przez białych w 1920 roku. Mysz się nie przeciśnie. Chyba że ma worek cebuli albo marchwi dla kota.

Według Ministerstwa Spraw Wyjątkowych bezpieczna grubość lodu dla przeprawy samochodem osobowym przez rzekę wynosi minimum trzydzieści centymetrów. Na Lenie, jak się okazuje, o połowę mniej.

Kierowcy, którzy zostali na brzegu i z jakichś powodów nie chcą ryzykować życia, i tak mają niemały problem. Co zrobić z samochodem przez te kilka dni, gdzie się zatrzymać? Silnika nie można wyłączyć, bo już nie od-

pali (dlatego w Jakucku są tylko tak zwane ciepłe, czyli ocieplane garaże). Miejsca w hotelikach w Biestiachu już dawno zajęte przez jadących tędy na Kołymę dalniebojszczików. Pozostaje koczowanie na brzegu w samochodzie z pracującym silnikiem albo powrót do domu. Pół biedy, jeśli to ułus kangałaski, tattański czy boroghoński, bo wtedy przejechać trzeba od trzydziestu do trzystu kilometrów. Gorzej, jeśli wracać trzeba aż do Ałdanu – siedemset kilometrów, Tyndy – tysiąc pięćset albo do Chabarowska – trzy tysiące kilometrów.

Kierowcy mogą co prawda za równowartość pięciuset złotych przeprawić się do Jakucka helikopterem, ale w kolejce czeka się nawet kilka dni. Mieszkańcy małych wiosek i tajgi Zarzecza, którzy wciąż przybywają na brzeg, nie mogą sobie pozwolić na taki wydatek i stratę czasu. Dlatego firmy przewozowe (często dwa UAZ-y i dyrektor) oferują im nową usługę: taksi z *pieriewałką*, czyli przesiadką. Samochód z Amgi albo Boroghonu przywozi ośmiu straceńców na brzeg i wysadza na granicy lądu i lodu. Śmiałkowie na własną rękę i ryzyko, ale za darmo, przechodzą rzekę, a po drugiej stronie odbiera ich samochód tej samej firmy przewozowej. Odkąd nad Leną działa telefonia komórkowa, przypadków zbłądzeń i utopień jest znacznie mniej, ludzie mogą się ostrzegać i instruować, którędy bezpieczniej. A oszczędność na promie wynosi dwieście rubli, czyli dwadzieścia złotych.

Pasażerowie rozumieją, że taksi z pieriewałką oznacza tyle co „taksi z przesiadką”. Jednak pieriewałka to po rosyjsku także kaczy chód. Taksi z pieriewałką nabiera więc jakiegoś komizmu, kiedy zbici na brzegu w stadko podróżni ostrożnym, chybotliwym, prawie kaczym krokiem badają, czy te pięć centymetrów grubości wystarczy i czy można stąpnąć dalej. Po czym rozsypują się w łańcuszek i człapią ostrożnie w biel. Niektórzy zakładają rakiety śnieżne, żeby nacisk stopy na lód rozkładał się na większej powierzchni. Muszą jednak wiedzieć, że pieriewałka to także – dosłownie – upadek pod lód czy w przerębel. I stąd zapewne wzięła się nazwa tej usługi, skrywająca trochę straszną dwuznaczność.

W połowie kwietnia, kiedy lód topnieje i podróżnych spotyka podobna przeszkoda, sposób na taksi z pieriewałką już się nie sprawdza. Wiosenny porowaty lód z dziurami wygrzanymi przez słońce jest bardziej niebezpieczny i wypadków bywa zbyt wiele. To złoty czas dla poduszkowców i ślizgaczy – ich właściciele zarabiają krocie. Przeprawa z jednego brzegu

na drugi kosztuje nawet równowartość stu pięćdziesięciu złotych od osoby (często bez kamizelki ratunkowej). Małe łódeczki śmigają między krami i wałami lodowymi tak szybko, że z daleka można je wziąć za mewy.

# Słownik języka jakuckiego VII

## Pod spodem

Pierwszym śmiałkiem, który w zmarzlinie pod Jakuckiem chciał wykopać studnię, był wojewoda Matwiej Krawkow. Ale już w roku 1686 donosił carowi, że w Jakucku studni wykopać się nie da, bo na głębokości dwudziestu ośmiu metrów wciąż widać tylko lód. Wojewodzie przyszło więc zadowolić się wodą z Leny. W roku 1828 o czystej wodzie zamarzył znów Fiodor Szergin, zarządca jakuckiego biura Rosyjsko-Amerykańskiej Kompanii Handlowej. Przez cztery lata kazał ryć tunel, który osiągnął głębokość trzydziestu dwóch metrów i utknął w twardym jak skała lodzie. Do dalszych prac zachęcił Szergina badacz Arktyki baron Ferdynand Piotrowicz Wrangel. Szergin kopał jeszcze pięć lat, dochodząc do głębokości stu szesnastu metrów, ale wciąż znajdował tylko zmarzniętą ziemię. Dalsze prace były niemożliwe, bo robotnikom z braku tlenu gasły świeczki i rzęziło w płucach. Nad wejściem do szybu Szergin zbudował domek, który stoi do dziś w podwórzu gimnazjum realnego. Faktyczną miąższość lodu pod miastem zbadano dopiero wiek później. Okazało się, że wynosi aż trzysta metrów. Zima trwa więc w Jakucku cały rok, tyle że lato spędza pod miastem.

*

Wieczna zmarzlina powstała tam, gdzie lądolód nie przykrył ziemi. W niektórych miejscach zamarzła przed tysiącami lat, pochłaniając ówczesną faunę. Do dziś myśliwi i rybacy znajdują nie tylko mamucie ciosy czy całe zachowane mamuty z ostatnim posiłkiem w żołądku, ale nawet płody w łonach matek. Istnieją firmy zajmujące się poszukiwaniem kopalnej padliny, w biznes inwestuje jakucka mafia, a specjalni poszukiwacze węszą po lasotundrze za cmentarzyskami mamutów. Ponoć jeden ze sposobów to badanie miejsc szczególnie chętnie zamieszkiwanych przez wilki. Silne wilki polar-

ne rozkopują plejstoceńskie cmentarzyska i zakładają w ich pobliżu gniazda, by korzystać z pokładów mrożonego mamuciego mięsa.

Wraz ze śmiercią mamutów paleolityczne ludy Jakucji musiały porzucić osiadły tryb życia i grupowe łowy. Skończyły się polowania na wielkie zwierzęta, a więc wyczerpały się też zapasy, które umożliwiały funkcjonowanie wiosek i osiedli. Paleolityczni Diuktajczycy podzielili się na mniejsze grupy i zaczęli koczować, przenosząc się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu renów, łosi i jeleni. Dla ich następców, Sumnagińczyków, głównej kultury mezolitu Jakucji, był to już podstawowy tryb życia. Diuktajczycy dotarli aż do Ameryki, a narzędzia podobne do tych, które wykonywali w specyficznej technice obustronnej obróbki grotów, można do dziś znaleźć na terenach zamieszkanych przez ludy paleoamerykańskie, czyli staroindiańskie. Sumnagińczycy zaś dali początek Aleutom i Eskimosom. By polować na jeleniowate, potrzebny był im łuk. Moment jego wynalezienia uważany jest na Syberii za początek neolitu.

Paleoantropologii dobrze jest się uczyć w Muzeum Antropologii Jakucji, mieszczącym się w budynku Wydziału Nauk Przyrodniczych. Pośród wielu cennych eksponatów uwagę przykuwa bielutka kość łabędzia (żurawia?), na której wygrawerowano rządki równoległych kresek. To mezolityczny kalendarz wyryty na ogryzionym piszczelu, prawdopodobnie służącym niegdyś za igielnik. Można go było łatwo zatkać kawałkiem gałęzi albo skóry i wygodnie powiesić na szyi bądź u pasa. Mezolityczni Sumnagińczycy musieli mieć takie rzeczy. Wszak według jakuckiego archeologa Jurija Moczanowa przywędrowali tu z południa i często się przemieszczali, polując na reny i łosie.

## Mgła

Od kilku dni w mieście mgła gęsta jak śnieg. Dni 15, 16, a nawet 17 listopada ponoć już przeszły, ale nikt ich nie widział. O datach świadczą tylko kartki z kalendarza i wydania gazet. Idąc ciasną Kalandariszwilego, czujesz się jak pachołek Szergina, który fedrował chodnik w lodzie pod miastem: przejście musisz sobie wybić sam, tyle że w tumanie. Kiedy mgła nieco zrzednie, widać, że miasto wygląda jak niedbale skreślony szkic albo stary sztych, na którym tło zajmuje pierwszy plan. Linie niedokończone, prosto-

kąty niedomknięte. Rządzi wszechobecna niedoskonałość, niedosyt geometrii i światła. Słońce niby świeci, ale jak z zaświatów, właściwie to skąpa poświata, a nie światło. A bez światła – etymologicznie rzecz biorąc – świata nie ma.

Coraz bardziej też doskwiera głód obrazów, postaci i horyzontu. Bo nawet gdy tuman ustąpi na chwilę, to i tak dookoła tylko białe plamy: rzeka, Zielony Ług, plac Lenina i największy kleks: Tujmaada. Czasem tylko przemknie spóźniona śnieguła czy gil jak wykrzyczane nad uchem haiku. Nic dziwnego, że chce się myśleć kolorami: żółte są gruszki, czerwone pomidory, ogórki zielone. Dobrze jest postać w kolejce w warzywniaku. Nad Leną sprzedaż warzyw i owoców opanowali Uzbecy. Z jednym o imieniu Omar udało mi się zawrzeć bliższą znajomość. Siedzi w swoim blaszaku przy Piotra Aleksiejewa i z nudów nacina kreski na kiju od szczotki. Mówi, że jeden dzień to jedna kreska. Jeszcze osiemdziesiąt pięć kresek i Omar pojedzie do rodzinnego Osza.

## 21 listopada

W południe niespodziewanie mgła przepadła i dzień zdarzył się jasny, dobrze oświetlony. Pod tak czystym i widnym niebem można by czytać i pisać przez całą zimę bez szkody dla oczu. W mroźne dni, przy minus trzydziestu pięciu światło rozchodzi się po mieście lekko i daleko jak dźwięki. Choć nie wiadomo, czy to światłu łatwiej, czy oczom lżej, bo spojrzenie też dalej wnika w zmrożony widok. Kolor błękitu Windows, to znów czapeczki sikory modrej miało dziś niebo nad Leną.

## Kangałas

Ostatni słoneczny dzień przed zimowym smogiem lepiej spędzić za miastem. Z okien autobusu relacji Jakuck–Kangałas widać, że przestrzeń tam rzednie. Tak jak zapachy i znaczenia. Ruch ustaje prawie zupełnie, dlatego lot pardwy wydaje się wydarzeniem, a ryk silnika nietaktem. Coraz mniej znaków, samochodów, numerów. Kończy się asfalt, znikają rury i opakowania. Nie ma budynków, wsi i przystanków. Szeroka paleta miejskich szaro-

ści ustępuje czystej bieli. Ludzi zastępują ptaki i chude psy, ale czworonogów mniej tutaj niż w mieście. Drzewa niby są, tyle że zawsze gdzieś daleko, niskie, zlewają się w czarny pasek między niebieskim a białym. Uderza niemal absolutny brak nazw i granic. Jakuck zawinięty jest w biel jak w papier. Omotany horyzontem jak mocnym sznurkiem.

Wysiadłszy na przystanku przy ulicy Marksa i skierowawszy się w stronę lichych zabudowań, trudno znaleźć główną ulicę czy jakiś centralny placyk osady Kangałas. Betonowe bloki i drewniane chałupy stoją do siebie tyłem albo bokiem, to pod kątem prostym, to ostrym. Jakby jakieś dwie różne miejscowości nagle nałożyły się na siebie. Drewniane domy o wielkich oknach, jak to w Jakucji, albo się uśmiechają – jeśli zapadają się pośrodku, albo grymaszą – jeśli wsiąkają w ziemię od ścian szczytowych. Warstwa białego puchu niby przykrywa bajzel, ale i tak wyziera spod niej entropia. W kącie widoku wśród plątaniny rur i przewodów sterczy kawał betonu z gwiazdą i elektryzującym napisem: „NICZEGO NIE ZAPOMNIANO. NIKOGO NIE POMINIĘTO”.

Panoramę wioski uzupełnia siedziba kompanii Jakutugol. Kangałas bowiem, przynajmniej nad Leną, słynie z wydobycia węgla. Dwuskrzydłowy betonowy budynek z zabitymi na głucho drzwiami i wybitymi oknami przypomina jednak bardziej jakiś zbombardowany i ewakuowany w pośpiechu sztab niż siedzibę firmy. Tynki lecą, okiennice skrzypią, rura jakiegoś karabinu czy kaloryfera celuje w niebo z rozbitego okna. Przed bunkrem na kilku tablicach z piktogramami opowiedziano tutejszą historię wydobycia węgla:

– rok 1929: czarna dziura w ziemi i kilof,
– 1959: czarna dziura i taśmociąg,
– 1979: czarna dziura, taśmociąg i ciężarówka,
– 1999: dużo ciężarówek i taśmociągów.

Dalej ścieżka, a raczej widok, i pobliska Lena prowadzą na wzgórza, na *myraan*. Łańcuch pagórów od północy zamyka Kangałas i ostatnim ogniwem wbija się w Lenę. Tę ostatnią skałę zwą Jakuci Kangałas Tumuha. Tu kończy się Tujmaada, zaczyna Engsieli, a Lena ucieka dalej na północ. Że Tujmaada kończy się w Kangałasie, mówią mieszkańcy Jakucka; że się zaczyna, powiadają ci z wiosek Zarzecza, Ałdanu i z Namu. Początek ładnie przenika się tu z końcem.

Rzeka w tym miejscu jest wąska na jakieś dwa kilometry, toteż zamarza później, ale podróżni, nie bacząc na cienki lód, wędrują pieszo z przeciwległego brzegu: z Sottińców, Boroghonu, Tandy i Köbökönu. Po tej stronie pod myraanami czekają na nich taksówki. Jadą na południe, do Jakucka i Pokrowska, na zachód do Bierdigiestiachu i odległego Wilujska. Samochodom ciężko jeszcze przejechać, bo rzeka nie wszędzie tężeje gładko jak blat stołu. Tafle kry tu i ówdzie sterczą niczym macewy na ogromnym kirkucie, żaden UAZ-ik przez takie przeszkody nie przejedzie. Dopiero kiedy przedrze się spychacz, a jego trop poleje strażacka sikawka, woda zamarznie gładko jak szyba.

O tej porze roku słońce ma krótką drogę przez niebo, właściwie lekki spacer po południowym krańcu. Dopiero czwarta, a już skryło się w zalegających na horyzoncie chmurach i zabliźnia się powoli jak ropiejąca rana. O, pokazało się jeszcze na moment, potknęło o kikut martwej brzozy, słup, potoczyło po szczerbatym płocie i wpadło za horyzont. Jak kamień w śnieg. Gdy widok goił się w tamtym miejscu, na świecie zrobiło się czarno-biało. Dopiero żółty autobus wybuchł na przystanku jak powidok słońca, dokładnie wtedy kiedy mróz zaczął kąsać w stopy.

## Zapach

Zimno w szczególny sposób destyluje i eksponuje najbardziej nawet ulotne zapachy miasta. Kapiedieszki witają wchodzącego słodkawą wonią fizjologii. Czasem pochodzi z pękniętych rur, czasem z osikanych kątów. Rzadziej od śpiących pod schodami bomża z bomżychą. Dieriewiaszki – carskie i sowieckie – ogarniają gościa zapachem stęchlizny z nutą ginących gatunków grzybów ściennych i piwnicznych pleśni, niekiedy pluskiew czy karaluchów. *Zabiegałki* – niewielkie bary, w których kontynuowane są karczmarskie tradycje miasta – odorem oleju po bielaszach i czeburiekach[52]. Nowe wieżowce drażnią zaś nozdrza pyłem z wapna, cementu i oparami farb.

Autobus tymczasem zionie benzyną, nadtrawioną wódą albo *cholongso*. Ostatnie słowo to określenie zapachu starego potu, na który czasem narzekają Jakuci. Sacha, Jukagirzy czy Czukcze też się pocą, tak jak Słowianie czy południowi Azjaci, ale skutki rozkładu potu nie są w ich przypadku tak

odczuwalne jak u przyjezdnych. Choć części Sacha też dolega *cholongso*. To słowo jest nawet w słowniku Piekarskiego.

– Czy to nie rasizm? – pytam profesora Kołodieżnikowa.

– Nie. To pot.

– ?

– Ci z naszych przodków, których pot pachniał bardzo ostro, nie mogli polować.

– Jak to?

– Zwierzęta wietrzyły ich z daleka i uciekały. Nie mieli więc mięsa. Ani żony, ani potomstwa.

– I?

– I nie rozmnażali się. Nie przekazywali tej cechy dalej.

## Nogi

Początek zimy, a już wszystkich jakucjan bolą nogi. Od łapania równowagi na ubitych zaspach, od upadków i poślizgnięć na chodnikach-ślizgawkach. Od psich zębów, bo pogryzienia zdarzają się w mieście codziennie, od wchodzenia na dziesiąte piętro akademika, którego windy zamknięto na głucho. Od stania w przepełnionych autobusach. Od stąpania po zasypanych schodach, które zamieniają się w niebezpieczne zjeżdżalnie. Od walki z opadającymi kalesonami i dwiema parami spodni. Od ciężkich butów i chłodu. Od grawitacji. Wszechobecny ból nóg aż się śni.

## Zaborowski

Sieroszewski nie opuszcza mnie ani na chwilę. Jakuckiego w Jakucku dobrze jest się uczyć na miejskich rynkach i targach, bo handlarze to często Sacha z ułusów, a ci chętnie i dobrze mówią po jakucku. Okazało się, że uprzejma sprzedawczyni, którą zagadnąłem, jest z Wierchojańska. Natychmiast zauważyła, że mam niespotykany akcent, i dowiedziawszy się, że to akcent polski, opowiedziała o Janie Zaborowskim, powstańcu styczniowym zesłanym za Góry Wierchojańskie. Zaborowski zżył się z Jakucją tak moc-

no, że został za kołem polarnym do śmierci. Dziś mieszkają tam jego prawnukowie o skośnych oczach i swojskim nazwisku Zaborowscy.

Tymczasem Wierchojańsk był także pierwszym w Jakucji miejscem zesłania Wacława Sieroszewskiego. Sirko w 1882 roku spotkał tam „pana Jana", ba, dzięki częstym odwiedzinom poznał siostrę jego jakuckiej żony, Annę, swoją przyszłą małżonkę i mamę Marysi. Pan Jan Zaborowski uczył Wacława miejscowych zwyczajów, pokazywał, jak polować, stawiać sidła, sieci i giąć z gwoździ przemyślne haczyki na miętusy. Sirko wspomina go ciepło w *Pamiętnikach*, zaznaczając, że był niezwykle krnąbrny wobec carskiej władzy. Wyrok miał odbywać początkowo w jednym z centralnych ułusów, ale za „durne zachowanie" wysłano go do Wierchojańska, który był swego rodzaju karcerem dla zesłanych do Jakucji. Lecz nawet tam Jan Zaborowski ani myślał skrywać swych poglądów i w efekcie został wysłany jeszcze dalej na północ, aż nad Morze Łaptiewów, w ujście Jany. Do Wierchojańska pozwolili mu wrócić tylko dlatego, że w miasteczku nie było szewca, a Polak znał się na fachu. Jednak po kilku miesiącach praktyki Zaborowski odmówił złożenia przysięgi wierności carowi i znów wylądował w tajdze.

Zmarł w 1905 roku, prawdopodobnie nigdy, mimo kilkudziesięciu lat zesłania, nie opanowawszy rosyjskiego. Sirko pisał, że Zaborowski po rosyjsku mówił słabo, z licznymi polonizmami, po polsku zaś dobrze, choć z licznymi rusycyzmami.

## Koniec listopada

Cała woda Jakucji, poza tą w rurach i organizmach żywych jeszcze ssaków i ptaków, zamieniła się w lód. W republice pojawiły się więc tysiące kilometrów *zimników*, czyli zimowych dróg, wytyczonych na zamarzniętych bagnach i rzekach. Władze miasta nie otworzyły jeszcze oficjalnie zimnika przez Lenę, bo miejscami lód jest cienki jak szyba, ale na mieście słychać już, że śmiałkowie z Mai jakoś przejechali. Wiadomość o pierwszej udanej przeprawie jeszcze szybciej rozchodzi się po wsiach Zarzecza: nazwisko zucha przekazują z sioła do sioła, a firma przewozowa, dla której szaleniec pracuje, cieszy się z darmowej reklamy i tłumu klientów.

Najbardziej znanym i uczęszczanym zimnikiem Jakucji była i jest oczywiście Lena. Tędy dzięki rozrzuconemu wzdłuż rzeki łańcuchowi stacji pocztowych Jakuck utrzymywał kontakt z Irkuckiem, Tobolskiem, Moskwą i Petersburgiem. Chłopi ze wsi w górnym biegu zapewniali podwodę do Irkucka: zimą saniami po tafli Leny, latem łodziami bądź na wozach, wyboistą ścieżką wzdłuż brzegu. Z Irkucka do Moskwy wiódł już Wielki Trakt Syberyjski. Tamtędy, lecz w przeciwną stronę, na Sybir, a potem z biegiem Leny do Jakucka docierali urzędnicy, podróżnicy i zesłańcy. Także Edward Piekarski i Wacław Sieroszewski. A w 1829 roku przybył Mikołaj Siemionowicz Szczukin.

## Wycieczka

Mikołaj Siemionowicz Szczukin był carskim urzędnikiem, który aż trzykrotnie wizytował Jakuck za panowania Mikołaja I. Pokłosiem jego wizyt była książka *Wycieczka do Jakucka*, wydana w 1844 roku w Petersburgu. „Im bliżej, tym gorzej”, napisał o mieście, które zobaczył latem z perspektywy rzeki. Lepiej jego zdaniem gród wyglądał zimą: podróżny wjeżdżał do stolicy obłasti saniami od strony cerkwi Bogurodzicy, skąd rozpościerał się widok na dobrze zabudowaną ulicę Nikolską[53], Łog i twierdzę z soborem Świętej Trójcy. Jakuck liczył już wówczas trzysta domów drewnianych i dwa kamienne, siedem cerkwi i prawie dwa tysiące mieszkańców płci męskiej. Irkuckiemu urzędnikowi spodobały się solidne syberyjskie obejścia, choć żałował, że obok każdego stoi jakucka jurta, w której żyje służba co zamożniejszych mieszczan. A już ze zgorszeniem zauważył, że wąskie okna balaghanów zamiast miką czy byczym pęcherzem nierzadko zaciągają Jakuci starymi pergaminami z meldunkami kozaków zdobywców. Pośród listów i czołobitnych z XVII i XVIII wieku w jednym z okien znalazł Szczukin doniesienie jakiegoś atamana o odkryciu Lamy, czyli Morza Ochockiego[54]. Jeszcze bardziej zniesmaczyły rewizora krowie tusze suszone na wysokich palach, mocowanych na dachach domów lub wbijane tuż przed progiem. W ten sposób jakuccy kupcy, kozacy i urzędnicy przyrządzali suszoną wołowinę na dalekie wyprawy po Kołymie, Czukotce, Kamczatce, a nawet na Alaskę. Urzędnik nie rozumiał, że krowa na palu świadczyła o zamożności gospodarza, i utyskiwał, czemu nie można tusz wywieszać gdzieś głębiej

w obejściu. Niejedną uliczkę zdobiły wręcz całe szpalery krów-wisielców, a że mięso suszono zimą, w największe mrozy, obdarte ze skóry krasule wyglądały, jakby dryfowały we mgle niczym pijackie zwidy.

Jak wielu podróżników po nim i przed nim dziwił się Szczukin, że Jakuck, choć leży nad Leną, latem cierpi na brak wody. Otóż jeszcze za czasów pierwszych wojewodów rzeka przylegała bezpośrednio do granicy miasta, ale z czasem nurt cofnął się na wschód i już tylko w czasie powodzi obmywał ulicę Nabierieżną. Mieszkańcy, by mieć wodę, jeździli więc „za dwie wiorsty przez wyspę" bądź przechowywali ją w piwnicach w postaci lodowych bloków. Ba, nawet na majówki na łące zabierali ze sobą kawał lodu, bo w pobliżu miasta trudno było o wodę. Za to wiosną na ulicach było jej aż nadto – prawie co roku babcia Lena systemem swoich wnuków drążyła ulice, obmywała domy i zatapiała podwórka. Dużo miejsca poświęca też Szczukin letniemu jarmarkowi, upałom i mrozom, studni Szergina, białym nocom, a nawet zwierzętom tajgi, by poprzez ruiny twierdzy i cerkwie znów wrócić do miasta.

Krótki opis świątyń Jakucka zaczyna od dzisiejszej tancbudy Czarait, czyli ówczesnego soboru Świętej Trójcy, najstarszej zachowanej do dziś cerkwi w mieście. Sobór był świątynią jednopiętrową, ale za Szczukina rozdzieloną na dwie części: letnią i zimową. (Ten podział zachował się do dziś w Czaraicie). Podróżnika zachwycił ikonostas cały w złocie, z polichromią irkuckiego mistrza Murzina, choć nie omieszkał fuknąć: „Szkoda, że jego obrazom brak proporcji i perspektywy". Na carskich wrotach widniał napis: „Kim jest ten Pan Chwały?". Wierny otrzymywał odpowiedź po otwarciu wrót, gdy jego wzrok spoczął na fresku *Wsiedierżatiela* i słowach: „Oto Bóg, on jest Panem Chwały". Dziś Czarait słynie z wieczorków *nostalżi*, podczas których cudzoziemiec może zostać porwany przez samotną rozwódkę i przepaść w jej alkowie na parę dni. Przydałaby się choć tablica pamiątkowa z napisem, że to tutaj w 1853 roku po raz pierwszy odprawiono liturgię w języku jakuckim.

W *Wycieczce* jest też opis drewnianej świątyni Przemienienia Pańskiego, tej samej, której kamienna siostra swoimi kopułami oświetla dziś Zielony Ług. Drewniana cerkiew spłonęła sto lat po wizycie Szczukina, gdy władzę w Jakucku przejęli czerwoni, ale podróżnik mógł jeszcze do woli zachwycać się jej zakrystią, ikonostasem i szatami liturgicznymi duchownych. Tuż

obok wznoszono już wówczas kamienną cerkiew, tę, która przetrwała do dziś.

We wszystkich świątyniach Mikołaj Szczukin oglądał ikony przyniesione tu jeszcze przez kozaków Bekietowa, Gałkina i Gołowina, ale na ciekawe lokalne znalezisko trafił w jakuckim archiwum. Spędził w nim dwa miesiące, szukając oryginału doniesienia Siemiona Dieżniewa o opłynięciu Czukotki i odkryciu drogi morskiej na Kamczatkę. Raportu nie znalazł, trafił za to na akta sprawy pierwszego wojewody Jakucka Piotra Piotrowicza Gołowina (tego od trzeciej warowni). Wojewodę odwołano, gdy po licznych donosach udowodniono mu nadużywanie władzy: torturował swoich przeciwników politycznych, głodził jakuckich kniaziów, okradał carski skarbiec. Spisane na korze brzozowej akta sądowe miały postać pary pokaźnych rulonów o średnicy dwóch arszynów, czyli jakieś metr pięćdziesiąt każdy.

Przypadek Gołowina warto przypominać w opowieści o Jakucku, bo podobnie potoczyły się losy jego następców. Co najmniej kilkunastu pierwszych wojewodów odwołano do Moskwy na skutek donosów i donos właśnie stał się skutecznym narzędziem w walce z krwawymi urzędnikami. Mieszkańcy Jakucka chętnie dochodzili swych praw przed sądem, byli nawet wśród nich *dielcy*, czyli ludzie, którzy zawodowo zajmowali się sporządzaniem pozwów. Ci z nich, którzy mieszkali w Irkucku, przysyłali do Jakucka kopie swoich pozwów, chwaląc się przyjaciołom sukcesami przed irkuckim, a więc gubernialnym sądem.

Takim metodom załatwiania interesów sprzyjał kupiecki charakter miasta, który tak zniesmaczył Szczukina. Podkreślał on ze swadą, że w mieście „powszędy widać zbyteczną oszczędność”, „słowo »skąpy« uważane jest za komplement”, a kupcy realizują swoje interesy w myśl zasady: „tak czy owak sądzić mnie będą tak samo za jeden, jak i za tysiąc skradzionych rubli. Niechże więc będę złodziejem, ale z nabitą kabzą”. Zdaje się jednak, że nie samo skąpstwo tak oburzało autora *Wycieczki* – irytowała go także zdumiewająca dlań obserwacja, że w Jakucku wśród kupców, urzędników i biedoty panuje język jakucki: „Jak u nas w stolicach francuski”. Po jakucku rozmawiają ze sobą babuszki na ulicach, kucharki i woźnice w domach mieszczan, w końcu sami mieszczanie. Podobnie jest w urzędach, sklepach i cerkwiach. Autor narzeka, że „uszy dzieci już od wczesnych lat porażane są głoskami języka jakuckiego”, i cieszy się, kiedy latem na jarmark z guberni irkuckiej przypływają rosyjscy chłopi, przywożąc do miasta nie tylko

zboże, ale też ducha i dźwięki mowy ojczystej. Na zakurzonych ulicach pośród niskich Jakutów wyglądają jak giganci i staje się zrozumiałe, w jaki sposób „garść kozaków zmuszała do ucieczki tysiące Azjatów”. Podróżnika-urzędnika wyraźnie poruszyło, że ostatnie miasto w tej części świata ma charakter tuziemski, a nie rosyjski, toteż nie omieszkał zauważyć, że zimą jakucjanie nawet ubierają się jak miejscowi, latem zaś mieszkają w jakuckich urasach i jedzą jak Jakuci. W końcu nieomal już zgorszony wspomina chłopską słobodę nad rzeką Amgą, dwieście wiorst na południowy wschód od Jakucka: mieszkający tam rosyjscy chłopi, wysłani nad Amgę jeszcze za Katarzyny, ni w ząb nie rozumieją po rosyjsku i w ogóle niczym, oprócz jasnych włosów i oczu, nie różnią się już od Jakutów.

W jednym z ostatnich rozdziałów staje się jasne, dlaczego tuż za wstępem któryś ze współczesnych czytelników nabazgrolił: „To, co autor pisał o Jakutach, to wierutne kłamstwo i oszustwo”. Otóż rdzennym mieszkańcom przypisuje Szczukin wrodzone skłonności do szachrajstw i kradzieży. Z ich winy ponoć pustoszeją ambary kupców, składy mieszczan, znikają konie z podwórców, a krowy, powierzone Jakutom na wypas, podejrzanie często zdychają i gubią się w tajdze. Jednak to prawda, że przytoczone przezeń opowieści wypada raczej włożyć między bajki. Choćby taką: pewien Jakut przedostał się przez wysoki parkan, którym ogrodzone było obejście kupca, i skradł z ambaru spory zapas suszonej ryby. Kiedy uginając się pod ciężarem łupu, otwierał już furtkę na ulicę, zjawił się gospodarz. Jakut, niewiele myśląc, przedstawił się jako sprzedawca ryb i zaproponował gospodarzowi kupno paru sztuk, ale za tak wysoką cenę, że ten oburzony przegonił sprzedawcę. Dopiero kiedy zobaczył pusty skład, pojął, że wygonił złodzieja ze swoim własnym prowiantem na plecach.

*

Mikołaj Szczukin, choć jest autorem dość rzetelnego opisu miasta, na lata utrwalił w syberyjskiej literaturze podróżniczej negatywny obraz Jakucka. W podobnym tonie swoje wspomnienia notuje później wielu innych podróżników. Iwan Aleksandrowicz Gonczarow, twórca *Obłomowa*, opis miasta od strony Leny zaczyna następująco: „Trudno wymyślić widok bardziej przygnębiający… Z jednej strony Leny piaski, krzaki i łąki, z drugiej, od Jakucka, łąki, krzaki, piaski… Żadnej przyrody tam nie ma”. Na pozytywny

portret musiał Jakuck poczekać aż do XX wieku, kiedy przestał być więzieniem.

# Słownik języka jakuckiego VIII

## *Achsynńy*, miesiąc ósmy – grudzień

Na Załogu do dziś przetrwał opisywany przez Szczukina zwyczaj zostawiania na ulicy przed domem wraków łodzi, wozów, beczek, a dziś samochodów, stosów opon, i rozmaitego rdzewiejącego żelastwa. Ilekroć jednak biorę się do opisywania Załogu, przerywam i nie chcę kończyć. Lepiej, żeby nie powstała jakaś jedna opowieść. Drewniany, kruchy i zmurszały Załog mógłby z tego powodu łatwo przeminąć. Lepiej, żeby był jak miasto, o którym się dużo czyta i które ma się w planach na przyszły rok. Niech sobie pozostanie nietknięty opisem. To go uchroni przed perfekcją czasu przeszłego. Opisywali go już różni, ale – jak choćby w *Imperium* Ryszarda Kapuścińskiego – Załog zawsze był problemem społecznym, najczęściej mieszkaniowym. Samograjem dla reporterów. Tymczasem kwartał za przetoką to przede wszystkim archaiczny widok, rudyment landszaftu miasta, którego już nie ma.

## 4 grudnia

Ledwo dobre słońce liznęło sople pod nosami przechodniów, chude grzbiety bezdomnych psów i gołe gałązki wierzb, a już spod bloków i zza parujących wychodków wychynęła gęsta jak świąteczny żur mgła. W ciągu jednego popołudnia wypełniła nieckę Tujmaady po brzegi. Miasto pływa w tym jak kawał mięcha. Sasza studiuje inżynierię drogową, mieszka w akademiku numer 18 przy Sergeeleskiej. Tuż obok stoi akademik numer 20, a że budynki właściwie niczym się nie różnią, w największy tuman zdarza się, że Sasza, jak wielu innych studentów, myli się i zamiast do osiemnastki wchodzi do dwudziestki. Ale co się dziwić żakom, w większości przyjezdnym, skoro nawet miejscowi nie mogą odnaleźć drogi do sklepu, kierowcy auto-

busów przejeżdżają przystanek, a dzieci błądzą w drodze do szkoły. Zupełnie jakby chodniki, ścieżki, skróty i ulice, tak jak cały widok, przepadały gdzieś na chwilę, znikały.

## Gazeciarze

Sterczą od ósmej do szesnastej w najbardziej ludnych miejscach miasta. Nad stolikiem z gazetami rozpinają plażowe parasole, co wygląda jeszcze bardziej surrealistycznie niż wydawanie drobnych w rękawicach bez palców. By się nie przeliczyć, co jakiś czas ścierają szron z powiek. „Jakuck Wieczorny” kosztuje dwadzieścia cztery ruble, więc zawsze jakaś reszta będzie, podobnie przy jakuckich tygodnikach „Kyym” czy „Orto Dojdu”. Ale krzykliwe reportaże z końca świata pomijają tutejszych sprzedawców gazet, bo nie pasują do obrazu wielkiego zimna (podobnie jak kioski z lodami, otwarte całą zimę). Mieszkaniec ujścia Leny albo Ojmiakonu, przybysz z pustki, chwyci się każdej pracy, byle tylko mógł zamieszkać w mieście. Choćby miał cały dzień stać za sześćdziesiąt złotych na kołymskim mrozie. I wydawać resztę w grubych rękawicach z reniferowej skóry.

## Zaułek Monastyrski

We mgle przy czterdziestu stopniach mrozu i po stu dwudziestu latach od wyjazdu Sieroszewskiego niezwykle trudno odtworzyć przebieg zaułka Monastyrskiego, czyli małej uliczki na tyłach dawnego monastyru Zbawiciela. Żeby trafić na zaułek, którego już nie ma, trzeba wysiąść na przystanku Centralny, czyli przy skrzyżowaniu Lenina i Kuraszowa, i udać się tą drugą w stronę rzeki. Po stu metrach, w miejscu, gdzie straszą resztki rozebranego wiosną domu towarzystwa Sacha Omuk[55], Kuraszowa dzieli się na dwie uliczki – jedna łączy się z pobliską Jarosławskiego, druga skręca w lewo i prowadzi do szkoły podstawowej numer 2. To właśnie dawny zaułek Monastyrski. Jeszcze sześćdziesiąt lat temu biegł sobie tam, gdzie leży teraz szkolne boisko, i dalej, opłotkami muzeum, przez kładkę na strumieniu, między jeziorkami, aż na przystań.

Tuż przed bramą szkoły ocalały dwa zwaliste modrzewiowe domy, pomiędzy które kusi niewyasfaltowana i niewybetonowana droga. Biegnie tak od setek lat, drugiej takiej nie ma w całym Jakucku. Jeśli nią pójść, trafia się prosto w XIX wiek: gdziekolwiek spojrzysz, ciemne drewno przyprószone łupieżem mrozu. Okno jarzy się żółtym światłem, a z komina pyka dymek, choć na drzwiach wisi kłódka wielka jak torebka. Zapewne bezdomni zaadoptowali zabytek na swoją gawrę. To właśnie tuż za tą chałupą stała *ułusnaja kwartira*, gdzie – o ile zesłańcy nie urządzili właśnie popijawy – zatrzymywał się na nocleg przybywający z Namu Wacław Sieroszewski. Tu popasał, gdy wrócił z Kołymy i wysłano go nad Ałdan. Tu w końcu czekał okazji, by Leną dostać się na południe, gdy w 1892 latem uciekł mu parostatek.

Z noweli *Jak Gryf Mostowski budował młyn* i zachowanych zdjęć wiadomo, że hotelik był drewniany, na podmurówce, z dwoma oknami i gankiem od ulicy. Prowadziła go zażywna Matriona Wasiliewna wraz z jakimś kryminalistą po wyroku. Gospodyni miała utarg głównie z wódki, którą chętnie gościła osiedleńców, toteż kwartira słynęła z wielodniowych bachanaliów. Pewnego wrześniowego dnia 1888 roku, mimo chłodu i deszczu, z małego podwórka przy domku wyjechał na jakuckim kucu nagi brodaty mężczyzna. Świecąc białym tyłkiem, przegalopował pod głównymi instytucjami miasta, by dać czynownikom do zrozumienia, co o nich myśli. Śledztwo wykazało, że był to efekt zakładu. Nim skończył się wrzesień, na małym bazarze przy cerkwi Przemienienia opowiadano o kolejnym wybryku: osiedleńcy spili kilku kozaków i namówili ich do wykrzykiwania rewolucyjnych haseł: „Niech żyje rewolucja!” – darł się nawet podoficer Chołmogorow.

Z zaułka Monastyrskiego pozostało zatem zaledwie kilkadziesiąt metrów dzisiejszej Kuraszowa i zasikana ścieżka na tyłach muzeum. Ciasno jej pomiędzy płotem a blaszanymi garażami. Poprzez mostek na kanale wiodła kiedyś nad Lenę, do letniej przystani. Dziś nie ma przystani, mostku, nawet jeziora, bo wszędzie rozpanoszyły się kapiedieszki. Jedynie wąskie szpalery trzciny, sędziwy modrzewiowy słup i stara mapa pozwalają wspomnieć czasy jej świetności. Zapewne tędy przez lata marynarze chodzili na nocleg do Matriony albo na popijawę w którymś z pitiejnych domów Jakucka.

Po powrocie na Lermontowa, już w objęciach kaloryfera, ogarnęło mnie przeświadczenie, że nigdzie w tym mieście, a może w całej Jakucji, miejsce nie jest wyrażone tak dokładnie jak tam, gdzie kończy się zimno, a zaczyna

ciepło. Rozumiem to dobrze w momencie zasypiania, choć śpię na podłodze. Także kiedy znajduję gniazdo ptaka albo poczwarkę motyla. Poczwarka zawisaka borowca – to dopiero jest *locum*. Dojrzałe, wykształcone miejsce, będące niemal samymi granicami. Doskonały kystyk, zimowisko.

Oczyściłem dziś okna balkonowe z dywanowej warstwy szronu, która zalegała na nich od miesiąca i okradała nas ze światła. Frędzle szadzi poleciały na dół jak śnieg śnieguły. Mamy teraz nieco jaśniej w kuchni, ale i tak jest ciemno i lampy muszą się palić przez cały dzień. A za oknem surrealistyczny krajobraz: dryfujące w tumanie betonowe bloki.

## Trzeci dzień mgieł. Archiwum

Po drodze do archiwum na brzozach znów czetczetały czeczotki tundrowe. Czeczet, czeczet. Trzeba im było oczyścić parę gałęzi ze szronu, by mogły dobrać się do nasion. Rzuciły się na nie wygłodniałe. Czeczotki, także te europejskie, są jednymi z niewielu ptaków, które mają skośne oczy.

W archiwum pierwszy raz oglądałem oryginalne listy, podania i odręczne pismo Wacława Sieroszewskiego. Dokumenty pisane fikuśną, ozdobną cyrylicą, którą trzeba od nowa nauczyć się czytać. Widać już na pierwszy rzut oka, że tuż po przyjeździe do Jakucji podania pisał mu ktoś inny. W kolejnych prośbach znać już rękę Sirki. Dokumenty z nim związane zebrane są w dwóch tomiszczach: jeden ma tytuł „Jakucki Zarząd Okręgowy”[56], drugi – „Jakucki Policyjny Zarząd Okręgowy”, czyli coś jak urząd powiatowy i powiatowa policja. Z przyklejonej na frontyspisie karteczki wynika, że dotychczas czytała je tylko jedna osoba, ale nie sposób odcyfrować nazwiska. Za to ze starych, wielowarstwowych okładek można wyczytać, że dokumenty zalegały niegdyś w zbiorach NKWD. Władza radziecka kleiła okładki ze starych ksiąg cerkiewnych, więc czasem wyziera gdzieś spod tektury akafist, spis dzieci do chrztu albo wołanie „Od śmierci uchroń nas, Panie”. Obiecująco wygląda oddzielny tom z dokumentami zarządu ułusu Nam. Mam nadzieję znaleźć wśród nich opis miejsca, w którym mieszkał Sirko.

## Piąty dzień mgieł. Archiwum

Dziś w archiwum wpadł mi w ręce opasły tom pod tytułem *Doniesienia zarządów policji okręgu jakuckiego o zachowywaniu się zesłańców państwowych 1883–1913*. Tomiszcze mnie zainteresowało, bo obejmuje okres pobytu Sirki w ułusie i parę następnych lat, daje więc możliwość prześledzenia nie tylko losów Polaka, ale i losów jego sąsiadów, wrogów i przyjaciół. Zanurkowałem w dzieło jak we mgłę i ocknąłem się dopiero pod wieczór, gdy bibliotekarka chciała już zamykać czytelnię. Doniesienia pisano co pół roku, dobrym inkaustem na szorstkim, czerpanym papierze formatu zeszytu, rzadziej A4. Pisma adresowano do gubernatora, ale najpierw przechodziły przez Policyjny Zarząd Okręgowy w Jakucku.

Zrazu pochłonęły mnie papiery z okręgu wierchojańskiego i kołymskiego z lat osiemdziesiątych XIX wieku, bo miałem nadzieję odnaleźć tam echa ucieczki Sirki, jego karnego przesiedlenia na Kołymę albo coś o wybrykach Jana Zaborowskiego. Niestety, o żadnym z tych wydarzeń ani słowa. Dopiero kiedy zajrzałem do sprawozdania z okręgu jakuckiego z pierwszej połowy 1888 roku, odnalazłem znajome nazwiska. Spis zesłańców ułusu baturuskiego (dziś Czurapczy i Tatty na Zarzeczu) otwierał naturalnie Edward Piekarski, za nim inni Polacy: Mikołaj Witaszewski, jego sąsiad Troszczański i zesłaniec Kostecki. W sprawozdaniu z Namu, choć już z późniejszych lat, znajomych nazwisk nie mniej: jest polski lekarz Aleksander Sipowicz, jego rosyjski przyjaciel Iwan Tonyszew, jest i przesiedlony tu Sieroszewski, a także Marceli Szpyrkan i Edmund Studziński, u których Sirko popasał, jeżdżąc z Namu do Jakucka. Automatycznie zaglądam do dokumentów z ułusu bajagantajskiego, skąd pan Wacław właśnie przyjechał. Pośród tamtejszych zesłańców widnieje Kornel Bagrynowski, którego Sirko niebawem przeniesie do Namu. W osobnej rubryce „zachowanie” przy kolumnach nazwisk widnieją naprzemiennie tylko dwa rodzaje uwag: „zachowuje się dobrze, nie wyróżnił się głupim postępowaniem” albo „uciekł”. Zwracają uwagę obszerne donosicielskie elaboraty z Kołymy i nieco tylko krótsze z Wierchojańska. Zmieniają się w nich zaledwie formułki – zamiast „zachowuje się dobrze”, urzędnicy piszą: „żyje bez zarzutu”.

Ślęczenie i uważna lektura zostały nagrodzone na stronie czterdziestej trzeciej. Trafiłem tam na charakterystykę zesłańców ułusu namskiego autor-

stwa dozorcy Popowa. Musiał aż trzy razy w miesiącu odwiedzać namskich zesłańców, rozrzuconych po balaghanach „na odcinku stu dziesięciu wiorst”. W trakcie jednego objazdu pokonywał więc dwieście dwadzieścia wiorst, co oznacza, że aby śledzić osiedleńców, konno i saniami przemierzał sześćset sześćdziesiąt wiorst miesięcznie. W raporcie ze stycznia 1890 roku można znaleźć sporo informacji o Sirce i jego sąsiadach.

Szpicel pisze, że Wacław był „mało przychylny Jakutom i na odwrót, oni też go nie lubili”. To dziwne, bo przecież w licznych tekstach poświęconych Sirce i latom, które spędził na zesłaniu, podkreślano zawsze, że relacje z miejscowymi układały się wyśmienicie. Atłasow potwierdza natomiast, że dom Sirki znajdował się pięć wiorst na północ od zarządu ułusu, że Polak mieszkał z Okuliną Czelbach Kyyha i że mieszkają z nim Kornel Bagrynowski i Franz Cobel. Polak obsiewał piętnaście dziesięcin ziemi, zboże młócił u sąsiadów skopców, miał bydło i konia. Zdołał na wiecznej zmarzlinie założyć warzywniak, w którym uprawiał marchew, ziemniaki, kapustę, rzepę i brukiew.

Na Lermontowa wracałem przeładowanym PAZ-em, a w głowie kołatała mi myśl, że historia Jakucji to listy obecności zesłańców i spisy uciekinierów podpisane nazwiskami strażników i szpicli.

## Obywatel miasta Łódź

Pierwszym polskim zesłańcem w Jakucku nie był, jak się powszechnie uważa, Adam Kamieński-Dłużyk, autor pionierskiego dziennika z podróży na Syberię, lecz Konstanty Koniuchowski, awanturnik i fałszerz pieniędzy. Więzili go w „ziemnej celi w łańcuchach” w części grodu przeznaczonej dla zesłańców i cudzoziemców. Dziś to obszar miasta między cerkwią Przemienienia Pańskiego a muzeum, szczelnie zabudowany blokami mieszkalnymi i sklepami. Wnikliwy badacz historii Jakucka Pantalejmon Pantalejmonowicz Pietrow twierdzi, że jama musiała być wykopana w pobliżu cerkwi, a o tym, że Koniuchowski był cudzoziemcem, świadczy też fakt, że uniknął zwyczajowej kary za fałszerstwo: pojenia płynnym ołowiem bądź odrąbania prawej dłoni. Sprytny Polak nie tylko wywinął się katu, ale został nawet nauczycielem dzieci jakuckiego wojewody Iwana Goleniszczewa-Kutuzowa. Udało mu się tylko dlatego, że gramotnych nad Leną było wówczas jak

na lekarstwo. Szybko jednak doniesiono carowi, że wojewoda nie przestrzega przepisów, co w śledztwie potwierdził jeden z wziętych na spytki strażników: niejaki Kamieński-Dłużyk właśnie (który zresztą sam wiercił otwory w ścianach celi, bo dzieciom wojewody było za ciemno w czasie lekcji). Wojewoda umarł nagle, Kamieński-Dłużyk wrócił do Polski i napisał swój diariusz, a Koniuchowski odsiedział wyrok i też najprawdopodobniej wrócił do Rzeczypospolitej. Historia zapamiętała przede wszystkim Kamieńskiego-Dłużyka, autora dziennika z podróży i zarazem pierwszej cudzoziemskiej relacji o Jakucji.

Milczy zaś o pozostałych Polakach, których tuż po założeniu miasta zaczęto zsyłać nad Lenę. Ich nazwisk ani całkowitej liczby nie zna dokładnie nikt, ale historyk Grigorij Andriejewicz Popow pisze, że już w pierwszych dekadach istnienia Jakucka utworzono kwartał, w którym mieszkali „Polacy i reszta zesłanych". W 1646 roku duchowni w Jakucku czytali wiernym księgę będącą odpowiedzią na „różne heretyckie, luterskie, rzymskie i łacińskie wiary [szerzące się] w jakuckim ostrogu". Dziejopisarz Jakucka zauważa, że rozsadnikami tych herezji byli między innymi Polacy. W latach osiemdziesiątych XVII wieku wielu z nich, do spółki z Jakutami i jeńcami szwedzkimi, wzięło udział w nieudanym oblężeniu miasta[57].

W XVIII wieku przybył tu spory kontyngent Polaków biorących udział w wojnie północnej, ale w dokumentach i opracowaniach z kolejnych dekad coraz rzadziej można się natknąć na nazwiska rodaków. Dziesięć lat spędził w Jakucku Ludwik Sienicki, zesłany tu w 1707 roku. Po powrocie do kraju napisał dziełko religijne, w którym znalazły się dwie strony ciekawych notatek o Jakutach. Jego trafnych uwag o szamanizmie nie deprecjonuje fakt, że miał Jakutów za potomków szwedzkich imigrantów. Jest też kilku ziomków zesłanych do Amgi, gdzie już od połowy XVII wieku rosyjscy chłopi uprawiali zboże i gdzie wiedza Polaków była bardzo potrzebna. Oraz grupa konfederatów barskich, z których najsławniejszy był zapewne Maurycy Beniowski, zesłany na Kamczatkę w 1770 roku. Już po kilkunastu miesiącach porwał statek i uciekł, zabierając ze sobą dziewięćdziesiąt pięć osób. Jego historię opisał również zesłany na Kamczatkę kościuszkowiec, generał Józef Kopeć.

Dopiero udział w powstaniach XIX wieku i ruchu socjalistycznym spowodował, że Polaków w Jakucji znów zaczęło przybywać. Po tym jak w 1879 roku spłonął budynek Jakuckiego Zarządu Okręgowego, a wraz

z nim wiele dokumentów, trudno dziś jednak ustalić liczbę zesłańców listopadowych w Jakutskoj obłasti. Wiadomo na pewno, że przebywało tu co najmniej trzystu ośmiu powstańców styczniowych. W pierwszych latach rozmieszczano ich samotnie u jakuckich rodzin i od czasu do czasu wydawano im trochę mąki, ale już w 1868 roku niektórzy otrzymywali niewielkie zapomogi i przepustki, na podstawie których mogli wyjeżdżać z miejsca *pripiski* w poszukiwaniu pracy. Dumni szlachcice albo kierowali się do kopalń złota nad górną Leną, albo osiadali w Jakucku, gdzie imali się dość podłych zajęć, bo uczyć ani pracować w urzędach nie mogli. Wielu przeżyło dzięki gościnności Jakutów i rosyjskich chłopów.

Szczepan Morawko zesłany do ułusu baturuskiego pisał ikony i całe ikonostasy po wiejskich cerkwiach. Ostatnie można dziś jeszcze obejrzeć w Tatcie i Czurapczy. Aleksander Lipiński w sąsiednim Boroghonie siał jęczmień i dorabiał jako pisarz gminny. Mieszkańcy pamiętają go do dziś – nazywano go Sylaskylaach Suruksut, czyli Pisarz z Sankami. W szczególnie głodne zimy obchodził samotne balaghany po prośbie i z nadzieją, że ktoś najmie go do wożenia drewna. Nazwisko Lipiński do dziś nosi kilku mieszkańców naslegu, w którym żył. Kiedy w 1873 roku władze w Jakucku chciały zmienić miejsce *pripiski* powstańca Jana Koreckiego, sąsiedzi z naslegu żemkońskiego uprosili, by pozostawiono im pracowitego Polaka. Prawdopodobnie uczył jakuckie dzieci pisać, bo cztery lata wcześniej składał podanie o pozwolenie na oficjalną pracę w szkole. Józef Szaniewski z naslegu bachsytskiego w ułusie kangałaskim siał zboże i uprawiał ogród. W 1871 roku udało mu się wyprosić pięćdziesiąt pięć rubli na budowę domu.

Życie powstańców stawało się znośniejsze dzięki carskim ukazom i częściowym amnestiom. Dzięki nim niektórzy mogli już po kilku latach zamieszkać w europejskiej części Rosji, choć zazwyczaj poza granicami Królestwa Polskiego. Dawały też możliwość zameldowania w Jakucku albo w którejś z nielicznych wsi, czasem, choć pod nadzorem policji – zatrudnienia na stanowisku podrzędnego urzędnika. Tak było z powstańcem Eustachym Wilkonieckim w 1881 roku.

Jeszcze w 1886 roku jedna ze stołecznych gazet donosiła, że „w mieście żyje do pięćdziesięciu Polaków skazanych za udział w powstaniu z lat 1863–1864”. Dawno otrzymali prawo powrotu do ojczyzny, ale zostali nad Leną, związawszy się z miejscem zesłania więzami rodzinnymi i pracą.

W 1908 roku żyło w Jakucji co najmniej dziewięciu ekspowstańców, dla których republika ta stała się drugą ojczyzną. Ilu zostało nad Leną na zawsze, nie wie dokładnie nikt.

*

Nastroje Polaków badało wielu przysyłanych z Irkucka tajnych sowietników (radców) i zasiedatieli (ławników). Jeden z nich, niejaki radca Bieriestow, meldował: „Zdolni fałszywą pokorą uśpić czujność władz, a w tajemnicy zamyślają przeciw bezpieczeństwu publicznemu i wloką w sieci co młodszych z polskich przesiedleńców”. Bieriestow radził przenieść ich wszystkich „do miasta” i ustanowić nad nimi *strogij nadzor*. W ułusach nie było to możliwe: ze względu na odległości i sympatię sprzyjających Polakom Jakutów. Nierzadkie były zatem zatrzymania i rewizje pod nieobecność podejrzanych. Falę represji wywołał w 1864 roku donos zesłańca Wieczorkiewicza informujący o planowanym jakoby powstaniu. U spiskowca Frankowskiego znaleziono antycarski poemat i pieśń partyzancką, nawołującą do wojny z Rosją.

W dokumentach Zarządu Okręgu Jakuckiego inny szpicel donosi, że 5 czerwca 1868 roku na przystani w Jakucku podsłuchał tajną rozmowę polskiego buntowszczyka Zawiszenego, osiedlonego w mieście Kireńsk guberni irkuckiej, z jakimś nieznajomym. Podsłuchani rozmawiali o nieudanym zamachu Dmitrija Karakozowa na imperatora i konieczności powtórzenia ataku, ale „za pomocą zestawu latającego”, najlepiej „kiedy car będzie w podróży”. Z rozmowy władze wywnioskowały, że Polacy nie porzucili jeszcze walki o niepodległość. Jeden powiedział nawet: „*Jeszczo Polsza nie propała, poka my żywy*”.

Spory dorobek naukowy przyniosła Jakucji ostatnia fala carskich zesłańców związana z narastającym wrzeniem rewolucyjnym w imperium. Wacław Sieroszewski i Edward Piekarski to najbardziej znani polscy jakutolodzy z tamtego okresu. Gramatykę języka jakuckiego opracował Sergiusz Jastrzębski, który zbierał też folklor, prawo zaś opisywał Mikołaj Witaszewski. Należałoby dodać jeszcze wspomnianego Feliksa Kona, Floriana Bohdanowicza, Wacława Korala czy fotografa Jana Strożeckiego.

*

Bez Polaków, a konkretnie bez Bolesława Gellerta, w Jakucku nie odbyłaby się rewolucja. Może i słusznie Włodzimierz Wileński-Sibiriakow nazywa go awanturnikiem i bimbrownikiem, a rezolucja RKP(b)[58] z 1920 roku wspomina o nim jako o „zatwardziałym chuliganie i niepoprawnym pijanicy", ale nikt nie zaprzeczy, że Gellert był ważną postacią burzliwych lat 1917–1918. I nie zaszkodzą mu nieprzychylne wspomnienia bolszewików, jakoby „na zesłaniu wiódł życie gorzej niż haniebne", „miał kauczukowe sumienie i dobrze podwieszony język". Sam zainteresowany wziąłby zapewne te słowa za komplement.

Rewolucja lutowa zastaje Gellerta w tajgowych ostępach Wilujska – na zsyłce i ciężkim kacu. Jednak na wieść o upadku caratu pan Bolesław szybko trzeźwieje i jako jeden z pierwszych w Wilujsku przystępuje do organizowania miejscowej władzy i przygotowywania wyborów. Niechybnie stanąłby na czele lokalnego KOB-u[59], gdyby nie utarczki z wilujskimi autorytetami i handel bimbrem, za który zostaje w końcu aresztowany. Potem na kilka dni ginie z oczu badacza, by wiosną pojawić się w Jakucku jako organizator rady deputatów chłopskich z podjakuckich wiosek Marcha i Pawłowsk. Polak szybko zostaje członkiem KOB-u w Jakucku, walczy o federacyjną Syberię i ustanowienie samorządów w Jakucji. Październikowy przewrót bolszewików przyjmuje z wściekłością i szybko zbiera drużynę, która ma bronić reformatorskich sił miasta przed ciągnącymi z Irkucka czerwonymi. Wiosną 1918 roku wszystkie demokratyczne instytucje Jakucka oraz stacje telegraficzne wzdłuż Leny aż po Olokmińsk są w ręku oddziału obywatela miasta Łódź (tak kazał siebie nazywać). Niestety czerwoni (pod dowództwem kolejnego Polaka Apolinarego Rydzyńskiego) przeganiają niedoświadczony oddział Gellerta aż za Jakuck, ale zajmują miasto na krótko. Można się tylko domyślać, co wykrzykiwali do siebie w boju dwaj polscy dowódcy i jak dziwnie brzmiało to w uszach stojących pod ich rozkazami kozaków, Jakutów i Ewenków. W sierpniu władza sowiecka pada, a Gellert konwojuje wysyłane w górę Leny parostatki wypełnione bolszewickimi działaczami. Trzystu bolszewików puszcza samopas w tajgę w ujściu rzeki Kut, wziąwszy od nich słowo, że stawią się na policji w Irkucku, i radząc, żeby już nie wracali. Wśród nich byli Maksim Ammosow i Płaton Ojuński, rodowici Jakuci, przyszli bolszewiccy bohaterowie.

Niespełna rok później, na wieść o przewrocie Aleksandra Kołczaka i widmie zmartwychwstania caratu, Gellert w akcie protestu rozwiązuje

swój oddział. Pisze podanie z prośbą o „wykreślenie z rosyjskiego poddaństwa”, by uniknąć zaciągu do armii admirała. Postanawia wesprzeć bolszewików, jedyną siłę, która może powstrzymać Kołczaka. Staje na czele wojennego garnizonu Jakucka i dokonuje bezkrwawego przewrotu: wczorajszy wróg czerwonych zostaje czerwonym komandirem. Z więzienia uwalnia wielu zakładników, wśród nich niejakich Gładunowa i Danisza, swoich przyszłych zabójców. Nowa władza, której tak pomógł, obawiała się jednak charyzmy Polaka. Przecież w zależności od własnego widzimisię, mógłby pociągnąć za sobą pół miasta. Zginął „*zwierski ubit*” w nocy z 27 na 28 grudnia 1919 roku.

*

Zsyłani do Jakucji najbardziej obawiali się Wierchojańska i Kołymy. Tam eskortowano najkrnąbrniejszych, jak Sirko czy Zaborowski, tam więźniowie często tracili zmysły, zapijali się albo strzelali sobie w łeb. Dwa zbrojne protesty w Jakucku: monastyriewka i romanowka, wybuchły w geście solidarności z wysyłanymi na północ. Nie wiadomo, czego bardziej się bali więźniowie umieszczani w jakuckich jurtach – zimna, głodu czy bieli, w której żyje się tam przez osiem długich miesięcy.

# Słownik języka jakuckiego IX

## Zimowa deklinacja

Ze wszystkich przypadków gramatycznych, jakich tu używam, najbardziej przydaje się jakucki *dativus*, czyli ten, który w języku Sacha określa miejsce. Otoczony bielą, doceniam też jego polską nazwę „celownik”. Powstaje poprzez dodanie do rzeczownika odpowiedniego przyrostka. Ten zaś składa się z solidnej spółgłoski (gh) i szerokiej samogłoski (*a*), które są jak miejsce i przestrzeń w dającej poczucie oparcia opozycji. Wyraz „Tujmaada” kończy rozwarte, bezdomne „a”, ale wystarczy dodać *gha*, by znaleźć się *Tujmaadagha*, „w Tujmaadzie”, i uciszyć na chwilę dojmujące uczucie wszechogarniającej przestrzeni. I bieli. Toteż w Jakucji najlepiej czuję się w *dativusie* i chętnie odmieniam przez *dativus*. W końcu to odpowiedź na pytanie: „Dokąd, gdzie?”.

## Jedenasty dzień mgieł

Minus pięćdziesiąt stopni. Krzaczaste wierzby, dymy z kominów i ludzie pochylili się pod ciężarem zimna. Przechodnie przemykają skuleni, jakby ktoś do nich celował z karabinu. Klasy 1–3 już od trzech dni się nie uczą (w sobotę 13 grudnia było minus czterdzieści pięć stopni), dziś nie poszły na lekcje klasy 4–9. Nie chodzi tylko o mróz, ale i o tuman, w którym dzieci nierzadko błądzą.

Nie sposób nie myśleć o radzieckich obozach śmierci, kiedy jest tak zimno. Bo to jest to zimno. W Gułagu nie wypuszczali do roboty dopiero przy minus pięćdziesięciu jeden stopniach Celsjusza[60]. Zimno było gorsze od kuli i bicia. Idąc do sklepu, biblioteki czy akademika, czasem zwalniam i smakuję chłód powoli, igrając z mrozem. Pierwsza fala po wyjściu z klatki schodowej rozjaśnia umysł jak haust spirytusu. Druga każe się już ratować:

pozapinać, opatulić. Trzecia studzi nieubłaganie i nakazuje schronić się w jakimś sklepie. Ale zimno wciska się wszędzie: za kołnierz, pod poły kurtki i za paznokcie. Wypełnia szczelnie każdą szparę, tak jak biel prostokąt widoku. Trzeba było trzeciej zimy w Jakucku, bym pojął, że niczym pluskwy chłód też cierpi na heliofobię i ucieka przed światłem. Chowa się po szwach, wnika przez dziurki od guzików aż do krwi. Nawet pod pachami, w ustach i w kroczu zimno.

## Wieczór

Miejski portal internetowy ykt.ru urządził sondaż: przy jakiej temperaturze mieszkańcy Jakucka zaczynają odczuwać dyskomfort. Aż trzydzieści trzy procent marznie przy minus trzydziestu stopniach, a dwadzieścia siedem procent twierdzi, że dopiero przy czterdziestu kreskach. N. uważa, że piętnaście procent, które marznie poniżej trzydziestu stopni, to dzieci i przyjezdni. Ale kim jest reszta, która ziębnie dopiero przy minus pięćdziesięciu i sześćdziesięciu?

## Zimno

Zimno jest już przy zerze, a przy minus pięćdziesięciu jest pięćdziesiąt razy zimniej. 15 grudnia pięćdziesięciokrotne zimno studzi nie do wytrzymania nawet pod futrem z bobra, jenota czy wilka. Jego ukłucie można porównać do dreszczu po wyrwaniu włoska z nosa albo niezręcznego zastrzyku. Wszystko to jednak pięćdziesiąt razy gorzej, boleśniej i dłużej. I niespodziewanie. Wielki mróz nie szczypie, tylko boli. Jak kopniak albo ciężka bomba w nos. Po godzinnym marszu dociera do ciebie sens powiedzenia „zmarznąć na kość”. Chodzi o to, że czujesz położenie każdego gnata z osobna. Piszczą z zimna piszczele, kostnieją kostki, ziębną żebra i zgrzytają główki kości w stawach biodrowych.

Siku! Zapomniałem się odlać przed wyjściem na miasto. Mam na sobie wspaniałe bawełniane reformy, na nich chińskie kalesony, potem gruby dres i wojskowe spodnie, więc sikać będzie trudno. Tym bardziej w tych narciarskich rękawicach. Jeśli wpuszczę zimno za majtki, nie załatwię sprawun-

ków: będę musiał wrócić do domu i porządnie się zagrzać, żeby znów móc wyjść. Zaciskam więc pęcherz i prę naprzód.

Jakuci mają na to specjalny czasownik: *chabaghyr*, czyli „wstrzymywać mocz", a dosłownie „spęcherzyć się". Mówią tak o kimś, kto z powodu obowiązków, braku toalety, a często z powodu zimna przez parę godzin nie idzie do łazienki. Zimą w Jakucku od wracającego do mieszkania domownika częściej usłyszysz *chabaghyrdym* – „zaraz się zsikam", niż *tongnum* – „zmarzłem". Słowo *chabaghyr* jest więc w Jakucku potrzebne i nie grozi mu zapomnienie. W ten sposób mróz kształtuje nie tylko widok na zimę, ale i język, na zawsze. Ja, by zapomnieć o pełnym pęcherzu, odmieniam sobie *chabaghyr* przez osoby: *min chabaghyrabyn*, ja spęcherzam się, *en chabaghyraghyn*, ty spęcherzasz się, *kini chabaghyrar*, on… A potem czas przeszły, przyszły, tryb warunkowy i tak dalej.

Szybko, szybko. Muszę się pokazać w akademiku i zobaczyć, czy z głównego budynku uniwersytetu nie wyrzucili jakichś ławek, bo wciąż brakuje nam mebli w mieszkaniu. To zajmie jakieś trzydzieści pięć minut marszu i spęcherzania się. Z uniwerku ruszam pod kinoteatr Centralny, gdzie chcę zrobić kilka zdjęć sylwetek przechodniów w smogu i zostawić książkę do skserowania. Zajmie to minimum pięćdziesiąt minut. Potem szarża na Kriestiański po rybę i mrożoną brusznicę, czyli kolejne trzydzieści minut. Na Kriestiańskim można by wejść do hali targowej i się ogrzać, ale wiem już, że szron i sople, które na sobie noszę, zamienią się w wodę i puch kurtki już tego dnia mnie nie ogrzeje. Z tego też powodu nie wspinam się jednak na ósme piętro akademika, gdzie dzielę pokoik do pracy z pułkiem wielkich karaluchów. Jeden jest idealnie biały, jakby właśnie wrócił z dworu.

W Jakucku nie ma rozkładów jazdy, choć są autobusy. Nie ma ogrzewanych przystanków, choć bywa minus sześćdziesiąt. Jakucja jest wielka jak pół Australii, ale zimą wszędzie jest ciasno. Najciaśniej w autobusie. Wilki, barany, rosomaki, jenoty kotłują się w nim jak w pułapce. I odmieniają czasownik *chabaghyr*. Straciłem tam kiedyś kaptur, rozerwałem rękaw, ale nie z tego powodu unikam transportu miejskiego. Nawet nie dlatego że kilka linii zajeżdża pod szpital gruźliczy, gdzie łatwo łyknąć prątka Kocha. Po prostu nikt nie wie, kiedy autobus przyjedzie, co przy czterdziestostopniowym mrozie bywa dość ważne. Kiedy w końcu podjeżdża przeładowany PAZ,

z okolicznych sklepików wyskakują ludzie, pochowani tam przed zimnem, i na wyścigi wpychają się w ciepłe wnętrzności pojazdu.

Siku! A ja dopiero dochodzę do centrum. Po drodze notuję i fotografuję. Notuję ołówkiem, bo grafit nie zamarza (patrz: Szałamow), a aparat chowam pod kurtką i wyciągam raz po raz. Bolą od tych ruchów odsłaniane mimochodem nadgarstki, więc zrobiłem dziury w wielkich podkolanówkach i zakładam je na przeguby jak bransolety. Tak jak gazeciarze i handlarze z Kriestiańskiego. Mistrzowie spęcherzania się i panowania nad fizjologią. Trzydzieści minut robienia zdjęć i obiektyw pokrywa warstewka lodu z oddechu mojego i przechodniów. Baterie wysiadają, a ekran blednie.

Za mną dopiero godzina marszu, a już potrzebuję kaloryfera. Zaczynam marznąć od dziury w skarpetce na pięcie. Pod spodem mam jeszcze jedną, całą (sto procent bawełny), ale to nie pomaga. Chwilę potem chłód panuje już na biegunie głowy, gdzie na samym szczycie włosy są rzadkie. Na nic wilcza czapa – na antypodach już zima. Tam chyba jest jakiś luźny szew, w czapce albo w czaszce. Próbuję chociaż zapalić, ale najpierw wypalam dziurę (już trzecią) w rękawicy, a potem się zaciągam, lecz papieros nie chce się ćmić! Zimno, palić, siku, a tu jeszcze po ryby i po mięso na rynek.

O! A to już wiem, że trzeba omijać. Jakuck stoi na bryle lodu, toteż rury, często nieizolowane, biegną na powierzchni. Gdy któraś pęknie, woda tworzy wspaniałe zjawiska krasowe, rzeźby, stalaktyty i stalagmity. Regularnie zdarza się to na Kuraszowa, która prowadzi z Centralnego na Kriestiański. Wystarczy, że wdepniesz mimochodem w taką kaszę i przymarzasz jak Lenin do cokołu. Zdarzyło mi się to już kiedyś: wyrwałem nogi, ale do domu, ku uciesze przechodniów, wracałem z lodowymi podkowami. Potem okazało się, że w lodzie została część podeszwy. Nawet teraz coś mi się jednak przykleiło. Jakbym wdepnął w krowi placek.

Siku! Dziś w Jakucku gęsta mgła. Skąd więc te grube płatki śniegu dookoła mojej głowy? I jakoś dziwnie nie topnieją na twarzy. Okazuje się, że to puch z rękawa kurtki. Rozdarłem ją, wychodząc z punktu ksero. Za drzwiami wejściowymi wisi tam kawałek silnika, który służy jako przeciwwaga, domykająca zewnętrzne drzwi. Pewnie zahaczyłem o jakąś zębatkę. To dlatego dziś szybciej marznę! Kupuję pośpiesznie taśmę klejącą w kiosku (działają w największe mrozy), wypadają mi pieniądze, z nosa leci, pęcherz pęka, ale jakoś opatruję zraniony rękaw. Prawie wdepnąłem w płynny lód, rozwaliłem kurtkę, wypaliłem dziurę w rękawicy za czterdzieści zło-

tych. Ale pocieszam się, że się dziś jeszcze nie poślizgnąłem ani nie zabłądziłem w smogu!

Błądzenie zdarza mi się teraz rzadziej, bo coraz lepiej znam miasto, ale we mgle łatwo przeoczyć rynek. Nie widać przeciwległej strony ulicy, trzeba więc iść koniecznie po tej, przy której rozciągają się stoiska. Tak długo, aż nagle zmaterializuje się przed tobą szczupacza albo sumia morda – nie przejdziesz mimo. Tak, tak, ryby sprzedaje się tam przez całą zimę z koszów i kartonów, chowanych na noc w ciągnących się wzdłuż stoisk budach. W ten sposób można zaoszczędzić na opłatach za energię elektryczną, toteż ludzie chętnie handlują na mrozie.

Öndö, sprzedawca ryb, u którego zazwyczaj kupuję czyry, na dzień dobry zakrywa mi twarz ogromną rękawicą i trze, aż łzy lecą. Zmarzłem jak termometr za oknem i nic nie mogę wydukać, bo gile z nosa zrosły się z brodą. Jakuckie sprzedawczynie, chichocząc spod czap, pokazują sobie mój nos. Kiedy robi się biały, to ponoć jest już bardzo źle. Kinol na mrozie jest bezbronny, jak płuca, łysina, pięta w dziurawej skarpecie. Można zakładać szalik, ale wtedy oddech zamieni się w sopel lodu. Dlatego Öndö trze i trze, aż boli. Zazwyczaj dużo rozmawiamy o jego rodzinnej Czurapczy, o próbie przesiedlenia całej wsi nad morze w czasie ostatniej wojny, w wyniku czego zmarło około tysiąca ludzi, ale dziś nie ma na to czasu. Dopytuje się, czy mógłbym kiedyś o tym napisać.

– Pewnie, ale jak ta zima się skończy – odpowiadam, biorę dwa czyry i w nogi.

Na rynku nerwowy ruch, kręcą się wróble złodzieje, sprzedawczynie biegają za drobnymi, tragarze tańczą z półtuszami świń, osiłki z końskimi udźcami. Na małym placyku między stoiskami ktoś urządził zawody: zbieranie do worów rozsypanych karasi na czas. Zbierać trzeba w rękawicach bez palców. To chyba jakieś święto, bo jest też radio, są dyplomy i mały tłumek gapiów. Tylko zające bielaki leżą nieruchomo, zamrożone w tym samym skoku, w którym chciały wydostać się z sideł. Obserwują, jak podglądam i ukradkiem robię zdjęcia (rozgrzałem baterię w pachwinie). Po chwili chowam się we mgle, czując na sobie badawcze spojrzenia martwych bielaków. Gdzieś tutaj, zupełnie niedawno, była ulica Lermontowa.

## Przy skórze

Jasia już od dawna wychodzi tylko wówczas, kiedy termometr pokaże w południe mniej niż minus czterdzieści. Najpierw ubieram się ja, by dziecko po opatuleniu od razu mogło wyjść na klatkę i uniknąć przegrzania. Pot za kołnierzem na dworze stygnie szybko i czuć go jak zimny dotyk albo dziurę w ubraniu. Trzeba się żwawo poruszać, okręcić parę razy, żeby wsiąkł w bieliznę, a mokra skóra znów się zagrzała. Dlatego drugim błogosławieństwem życia w Jakucku, tuż po futrach wilka i rena, jest bawełna, która świetnie pochłania wilgoć i grzeje.

Sukna Jakuci nie znali aż do przyjścia Rosjan, choć już w neolicie nad Amurem ludzie potrafili skręcać nici i przędzę z pokrzyw. Może więc i tutaj nosili jakąś bieliznę? Narody Syberii, Jakucji i dalekiego wschodu Rosji słyną z pomysłowości w tajgowej konfekcji. Czukcze potrafili szyć przeciwdeszczowe ortaliony z kiszek morsa, Nieńcy szale z dziesiątków zajęczych ogonów, Jakuci ciepłe prześcieradła ze skór zdzieranych wraz z pierzem z głów kaczek i wyborne damskie majtki z wyprawionych skórek zajęczych.

Żaden wynalazek nie zdoła jednak zastąpić rękawic – im mniej mają palców, tym są cieplejsze. Ciężko w nich coś utrzymać, dlatego zimą często znajduje się w Jakucku banknoty, portfele, notatniki. Bywa też, że czapki, szaliki i inne ocieplacze, gubione w biegu do autobusu lub w ucieczce przed psem. W mrozie, pośpiechu i tumanie niełatwo panować nad drobiazgami. Szczegóły nie mają znaczenia, rozbiegają się i łatwo giną. Trzeźwemu myśleniu nie sprzyja również przeżywany kilka razy dziennie szok termiczny. To ciągłe przekradanie się przez granicę ciepła i zimna.

## Dwunasty dzień mgieł

Dziś w południe nietypowa marszruta przez dworzec autobusowy, ulicą Pojarkowa obok pomnika Siemiona Dieżniowa i jego jakuckiej żony Abakajady na pobliską Bogatyriowa. Lermontowa znam jak własną kieszeń, ale gdyby nie złota kopuła Świętego Mikołaja i wielki elektroniczny termometr na budynku Rostelekomu u zbiegu z Oktiabrską, nie wiedziałbym, gdzie skręcić. Pojarkowa też przemierzałem po omacku, dopiero czerwony neon

„MAGAZIN” upewnił mnie, że jestem na dworcu. Po peronach snuł się jak tuman zalany w trzy dupy mużyk, chyba tylko dzięki gęstej mgle utrzymujący równowagę. Kobiety podniosły larum, żeby ktoś za nim poszedł, bo wpadnie w zaspę i zamarznie jak jakiś inny w tamtym tygodniu. I wtedy nastąpił wybuch. Gdzieś od strony Pojarkowa weszła na perony intensywnie oranżowa szuba, zdaje się jenoty, sztucznie barwione. Chodzące epicentrum. Tłumek w mig zapomniał o menelu, zgłodniały kolorów, i wbił oczy w iście holenderski oranż. A szuba, jak gdyby nigdy nic, weszła gdzieś w tuman obok i zginęła. Byłbym poszedł za nią, gdyby nie regał, który czekał na mnie na Bogatyriowa. Pięćdziesiąt minut niosłem go na głowie przez zakwefione miasto. Termometr na Rostelekomie wskazywał minus czterdzieści pięć stopni. Etażerka obrosła moim oddechem, który zamienił się we frędzelki, pompony i dyndające kutasiki. Brodę miałem w stalagmitach, nos w stalaktytach, posmarkiwałem sopelkami i od brwi w górę byłem idealnie biały. Nie różniłem się od innych przechodniów, musiałem tylko uważać, by regałem nie uderzyć jakiejś zjawy.

### PAZ

Autobusy miasta na granicy ekumeny są zbyt małe, by pomieścić Europejczyka z regałem. PAZ-y to prostopadłościany na kółkach, o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych. Dwa, starsze i obłe jak polski jelcz ogórek, pomalowano na intensywną czerwień. W zimowym widoku stolicy wykwitają na przystankach jak kleksy.

Jeśli jest w środku konduktorka, szofer może pozwolić sobie na spokojne oglądanie telewizorka, który bełkoce tuż nad deską rozdzielczą. Jeśli konduktorki nie ma, kierowca zadowala się głośną muzyką i ćmikiem. Pasażerów wpuszcza tylnymi drzwiami, trawi między przystankami i wydala przednimi, od każdego skrupulatnie pobierając dwanaście rubli. Kierowcy z Kaukazu i innych odległych miejsc Wspólnoty Niepodległych Państw nie mają litości ani dla weteranów, ani dla dzieci. Co jakiś czas w największy mróz wysadzają na pętli dziecko bez biletu albo weterana bez legitymacji. Czasami interweniuje milicja, bo dla dzieci może się to skończyć tragicznie.

Biletów nie da się kupić w kiosku, o miesięcznych nikt nie słyszał. Lepiej wsiadać z odliczoną sumą, żeby nie narażać się konduktorce. Jej zadaniem jest także głośne informowanie o przystankach, ale często tylko zbiera za przejazd i ogląda serial albo rozwiązuje krzyżówki. Nazwy przystanków trudno spamiętać, bo to toponimika płynna i zmienna jak widok w kalejdoskopie. Tworzą ją nazwy sklepów, zakładów czy instytucji rządowych. Zdarza się, że sklep dawno przeniesiony, urząd zamknięty, a nazwa zostaje. Ratują ją tajemnicze rozkłady jazdy znane tylko kierowcom.

Zimą przez zamrożone okna autobusów nic nie widać. Pasażerowie chuchają, dmuchają i pytają smutno:

– Ludzie, gdzie my jesteśmy?

## Trzynasty dzień mgieł. Archiwum

W archiwum pismo Sirki z marca 1887 roku do zarządu ułusu. W Namie jest już od czterech miesięcy, kupił domek po Rozienowie, ale Jakuci nie chcą oddać mu pól uprawnych, które tamten wcześniej obsiewał. Jakucki Zarząd Okręgowy nakazuje przekazać Sirce cztery sporne dziesięciny. Z kolejnego listu wynika, że Sacha mieszkający po sąsiedzku niepokoili go całe lato, już to wydeptując ścieżki przez jego zasiewy (tędy bliżej im na łowiska na Lenie), już to niszcząc ogrodzenia i zaganiając bydło na młode wschody. Miejscowi obawiali się, że z obejścia Polaka wypączkuje wieś, której mieszkańcy zagarną im kolejne pola. Tak jak powstało osiedle skopców, sioło Chatyng Aryy.

Największe wrażenie robi jednak list z lipca 1889 roku, z którego wynika, że Sirko został pobity przez podchmielonych Jakutów. Śledztwo dowiodło, że sprawcą był znany w całym ułusie hulaka i wałkoń, ale ziomkowie zaręczyli przed sądem, że jest niewinny. Z początkiem lata znów przychodzili do niego z kijami, jednak obeszło się bez bijatyki. Pan Wacław uskarża się, że jest niepokojony, że nocą często wstaje „*na łaj sobaki*”, naprawia po ciemku płoty i sam łapie szkodników. Zaczepki nasiliły się w marcu, kiedy w Jakucku grupa politycznych protestowała przeciw wysyłce towarzyszy do Wierchojańska, a władze poleciły Jakutom mieć na osiedleńców szczególne baczenie. List kończy się prośbą o pozwolenie na posiadanie broni i osiedlenie w obejściu trzeciego zesłańca (Sirko mieszkał już wtedy z Ba-

grynowskim), ponieważ „we trzech będziemy czuć się bezpieczniej i łatwiej będzie pilnować gospodarstwa”.

W ostatnim liście natrafiam na kolejne współrzędne domku. „Moja *usadźba* – pisze Sirko – znajduje się na granicy dwu najbardziej niespokojnych i krnąbrnych, nieposłusznych rozporządzeniom naslegów: Kusaghan Yal i Chatyng Aryy”.

## Czternasty dzień mgieł

Radio Kiin, 18 grudnia, prognoza pogody dla republiki: Jakuck minus czterdzieści osiem stopni. Zarzecze: Czurapcza i Amga minus pięćdziesiąt, Tatta pięćdziesiąt trzy, Boroghon pięćdziesiąt. Na zachodzie równie zimno: Wilujsk minus pięćdziesiąt, Wierchniewilujsk i Suntaar minus pięćdziesiąt dwa. Zaledwie o dwie kreski cieplej na północy, czyli w Wierchojańsku i na Kołymie. A w ujściach wielkich rzek do Morza Łaptiewów już ciepło, zaledwie minus czterdzieści, podobnie jak na południu republiki, nad rzeką Olokmą – tylko minus trzydzieści dziewięć.

Zbliża się 21 grudnia i najdłuższa noc w Jakucku. Będzie trwać aż dwadzieścia godzin. Słońce niby jeszcze wschodzi, ale za bardzo nie ma dokąd iść. Nic nie widać. Dni są tak krótkie, że łatwo je przegapić. Ptaki znikły zupełnie. Psy pochowały się w zaspach. Ludzie stali się smutni i apatyczni.

## *Tozowka*

Dziewczynka strzeliła sobie w głowę z karabinka TOZ-34, takiego na małe kule. W jednym z bloków przy ulicy Kalandariszwilego. *Tozowka* używana jest do polowania na sobole i inne futerkowe, bo pocisk zostawia malutką dziurkę i nie niszczy skóry. Czasem trudno nawet znaleźć otwór wlotowy. Dziadek dziewczynki, myśliwy, jak wielu innych nie chował broni w pancernym sejfie, tylko w szafie albo w wersalce. Sprytna dziewczynka nie miała problemu, by po nią sięgnąć. Nikt nie wie, czemu to zrobiła.

Zastanawiałem się, czegóż to nie mogą wytrzymać jakuckie dzieci, że co roku pięćdziesięcioro odbiera sobie życie. Znajoma nauczycielka mówi, że sześćdziesięcioro, bo do statystyki dodaje graffiti przedstawiające sylwetki

wisielców, które zna z murów Jakucka i rodzinnego posiołka. Wiele z nich ma domy, przyjaciół, zajęcia w szkole i plany na przyszłość. A dorośli? Ponad czterystu co roku umiera z własnej woli. Zazwyczaj przez powieszenie. Specjaliści powtarzają, że człowiek nie może znieść tylu długich zim bez szkody dla psychiki. Może nie potrafi znieść też wielkiej przestrzeni? Może jedno centrum, Jakuck, to dla człowieka za mało? Widocznie trzeba kilku środków, jakichś peryferii i wielu dróg, z których można wybierać.

A tutaj na zachód wiedzie tylko jedna i szybko kończy się w tajdze. Podobnie jak ta na północ, co wsiąka w widok kawałek za Namem. Na południe biegną co prawda dwie, ale też niepewne – piaskowa M-56 do Tyndy i trakt lewym brzegiem Leny. Pierwsza to przedłużenie Trasy Kołymskiej, którą (o ile nie rozmoknie) można wydostać się z Jakucji. Druga rozpływa się w wodach Leny gdzieś koło wsi Mochsogholooch. Na wschód też są dwie, ale jako tako przejezdna jest tylko ta na Kołymę, druga kończy się w Amdze. Ślepe drogi czynią z Jakucka silne centrum. Mieszka się tu jak na celowniku. Wokół pozostaje tylko geograficzny biom, przez pół roku biały, przez drugie pół modrzewiowo-sosnowy. Z domieszką białej brzozy.

Tatiana Andriejewna, redaktorka z TV Sacha, opowiada, że otrzymali „z góry” specjalne wytyczne, jak układać wieczorne wiadomości. Dzienniki mają być optymistyczne i pełne pozytywnego przekazu: oto otwarto nową kotłownię, bo stara wybuchła, wyremontowano most z czasów Gułagu bądź po dwóch dniach poszukiwań odnaleziono w tajdze żywe dziecko. Sprawnie przebiegły wiejskie zawody w połowie karasi na Wiluju. Na Zarzeczu celebrowano dziewięćdziesiąte urodziny frontownika, na północy rozpoczęto polowania na futerkowe i znaleziono kolejnego mamuta. W Primorju uciszyli szatuna[61]. Tylko w Namie mają problem, bo z Gór Wierchojańskich zeszły wilki i trzebią tabuny koni.

Ponoć urzędnicy z Ministerstwa Młodzieży obawiają się, że nagłaśnianie przypadków samobójstw wpływa na wzrost ich liczby.

Może też właśnie dlatego jasnowidząca Anisinia, nazywana „wieszczką prezydenta”, zapowiada szczęśliwy Nowy Rok? „Wszystko będzie dobrze”, słyszą od niej przejęci petenci w jedno z grudniowych popołudni. Prezydent pracuje wspaniale, ale przeszkadzają mu urzędnicy. Mer również dwoi się i troi, choć panuje wokół niego zła atmosfera. Ale wszystko się ułoży. Mrozy potrzymają już niedługo. Byle nie pić, żyć spokojnie i spać dobrze. Na-

wet powodzi wiosną nie będzie. Ostatnie proroctwo jakieś takie oczywiste: w tym roku spadło mało śniegu.

*

N. mówi, że młodzi Sacha mają w głowie mętlik. Wychowywali się w mieście, gdzie rodzice komsomolcy przekonywali ich, że żadnego Boga nie ma. A na wakacje i święta jeździli do dziadków na wieś, gdzie słyszeli o *iczczi*, *abaahy* i obowiązku karmienia ognia. Stara wizja świata zachowała się właśnie na wsiach, związana jest z magią zawodową, zwłaszcza z zajęciem koniucha i myśliwego. Myśliwy, w posiołku zwykły Michaił Michajłowicz, członek partii, w tajdze nazywał się Chabdżij, Pardwa, i karmił Bajanaja. Prawie każdy starszy mężczyzna w ułusie miał przydomek, w którym przed kołchozem i Breżniewem chował prawdziwego siebie. Zawsze terminował też u niego jakiś uczeń, krewny czy sąsiad, który postępował tak samo. Po upadku Sojuza w 1991 roku w szkołach nagle zaczęto nauczać szamanizmu, religii bóstw słonecznych i specyficznego konglomeratu wierzeń i zwyczajów, żywcem przepisanego z prac etnograficznych albo wziętych z sufitu. Rzadziej z życia. Pojawili się też świadkowie Jehowy, neoprotestanci, katolicy i jakuckie organizacje religijne, które spierają się, czy w *yhyach*[62] można pić wódkę, czy nie. Co mają myśleć dzieci emerytowanego pułkownika, który w jednym z uroczysk ułusu amgińskiego zbudował pomnik Kyys Tangara i zachęcał do jej kultu? Wieczorem w święto Chrztu Pańskiego zobaczą przecież głównych polityków republiki, niedawnych komunistów, w cerkwi Przemienienia.

Młodym w rozterkach nie pomagają strzelający bioprądami miejscy szamani, którzy by nie marznąć, uciekli z tajgi do bloków. Zioła do kamłania[63] biorą z homeopatycznych herbatek, a zamiast żywego ognia używają elektrycznych grzałek. Podobnie energoterapeuci po kursach medycznych z cudownymi kamieniami niewiadomego pochodzenia. Zaczerpnąwszy co nieco z praktyk czarnych i białych szamanów, *udaghan* i *otczuta*, proponują ludziom leczniczy kumys, konowiąz skupiający kosmiczną energię albo kranówkę sprzedawaną jako mityczną *menge uuta*, czyli wodę życia. Atrybuty szamanizmu w roli turystycznych pamiątek zyskują nowe znaczenia albo mieszają się z artefaktami dopiero co wymyślonymi. Zupełnie niedawno w panteonie jakuckich bóstw pojawił się niejaki Czischaan, ponoć bóg zim-

na, o którym nie słyszeli najstarsi Sacha, a rozpisują się reporterzy z Europy i Japonii. Wymyślił go, podobnie jak Dżyl Ehee, czyli jakuckiego Dziadka Mroza, profesor Gawrił Ugarow. Nieufność budzą lecznicze opaski z kobylego ogona i gadający kamień, którego znalazł właściciel zagrody agroturystycznej pod Jakuckiem. Biznesmen w pstrokatym stroju ludowym, by zwabić gości i zapłacić rachunki, organizował „etnodyskoteki", a kiedy o firmie przycichło, wytrzasnął skądś cudowny kamień. Zawsze może liczyć na rozgłos: tekst w „Jakucku Wieczornym", wycieczkę Japończyków albo jakiegoś reportera, który nada znalezisku status zabytku kultury jakuckiej.

Nikt nie wie dokładnie, kiedy z tego miszmaszu wyłonił się zespół wierzeń, zwany religią przyrody. Nikt nie wie do końca, o co w niej chodzi. Trochę animizmu, szamanizmu i jeszcze że nie wolno śmiecić w lesie. Jakuci chętnie nazywają się dziećmi przyrody, ale irytują się, kiedy im wytknąć, że nie segregują odpadków. Rzecznikiem religii jest Ciocia Dora, trochę wróżka, trochę szamanka, a po trosze bioterapeutka. Żeby zobaczyć jakąś prawdziwą uroczystość, na przykład karmienie ognia, trzeba jechać daleko na wieś i pożyć tam trochę. Albo od razu iść do muzeum.

*

– No ale co z tymi dziećmi? – pytam znajomą nauczycielkę. – Jak to jest, że rocznie blisko pięćdziesiąt odbiera sobie życie?

Prosi o anonimowość.

– U nas często rodzą *małoletki*, dziewczynki po kilkanaście lat. Albo studentki. I w obydwu przypadkach dzieci trafiają do dziadków.

– To chyba dobrze?

– Nie, bo dziadkowie szybko umierają. Szybciej niż u was. Dzieciaki zostają same.

– Mają przecież rodziców.

– Wtedy to są już, wierz mi, zupełnie obcy ludzie. Kiedy student przyjeżdża do Jakucka na studia z Kołymy czy Czukotki, to często na całe pięć lat. Jeśli był przez te pięć lat w domu chociaż raz, to zazwyczaj tylko po to, żeby odwieźć dziecko. Co łączy ich z synem czy córką po takim okresie rozłąki?

– To jednak nie wyjaśnia problemu, bo…

– Zima jest długa, a światła co kot napłakał. To sprzyja depresji. Ale gorsze od zimy są rozwody. Takie, że na miejsce taty pojawia się tata nowy. Tamten odszedł, bo pił, a nowy przyszedł, bo pił gdzie indziej.

– Dzień w dzień?

– Zapojami, po kilka dni. Wtedy między ojczymami a pasierbicami różnie bywa. Nie ma biologicznej bariery… Rozumiesz? Wśród dziecięcych samobójców jest dużo dziewczynek. Ale o tym lepiej nie pisać, jeśli chcesz tu spokojnie mieszkać.

– Jak dzieci to robią?

– Najczęściej się wieszają.

– Dzieci potrafią się powiesić?

– Jest takie powiedzenie wśród uczniów, kiedy coś im się nie uda: „sznurek i mydło”. Już w trzeciej, czwartej klasie wiedzą, że ten sznur to trzeba namydlić.

# Słownik języka jakuckiego X

## *Tochsunniu*, miesiąc dziewiąty – styczeń

Kolorowe wymiociny na przystankach, butelki i świąteczne śmieci świadczą o tym, że nastał już nowy rok, a wraz z nim styczeń: miesiąc opowiadania. W środkowym dorzeczu Leny dzień kurczy się w tym czasie do kilku mdłych godzin, światła ledwo starcza na wyprawę do tajgi po drzewo i po siano do stogu przygotowanego jeszcze latem. Kiedyś Sacha zbierali się w tym czasie w balaghanach opowiadaczy bądź zapraszali ich do siebie i słuchali *olongcho*, epopei przekazywanych od stuleci. Dobro i zło zmagało się w nich jak chłód z ciepłem w kącie izby. Zebrani wpadali w trans i na długie godziny zapominali o głodzie i zimnie. Jeden opowiadacz znał nawet kilkadziesiąt eposów i na opowiedzenie przygód samego tylko Niurguna Bootura potrzebował aż trzech dni. A przecież potrafił recytować *olongcho* nawet tydzień. Gdyby chciał opowiedzieć jeszcze bajki i zagadki, które znał, zaśpiewać kilka pieśni i wspomnieć najsłynniejsze potyczki z Tunguzami i kozakami, nie starczyłoby mu kolejnego tygodnia.

Opowiadacz siadał tuż przy ogniu, zatykał jedno ucho, zamykał oczy i zaczynał melorecytować fabułę i opisy. Dzięki temu, że ograniczał zmysły wzroku i słuchu, zagłębiał się w opowieści i bardziej był w niej niż wśród ludzi. Monologi i dialogi wyśpiewywał: barytonem kwestię głównego bohatera, basem diabelskich *abaahy*, sopranem płacz więzionej dziewczyny. Nawet nocujący przejazdem kozak mógł rozróżnić dyszące pożądliwością wersy diabelskiej dziewki, drżący głos babuszki Simechsin-Emeechsin czy sepleniącego gońca Soruk Bollura. Opowiadano nad Amgą, Tattą i Ałdanem, ale i w Jakucku, w rosyjskich domach. Niańkami były tam Jakutki i choć państwo mówili po rosyjsku, dzieci szybko opanowywały język mamek. Schyłek opowiadania w Jakucji przyszedł dopiero w latach czterdziestych, gdy pojawiły się domy kultury i zanikać zaczęła tradycja spotykania się przy ogniu. W latach sześćdziesiątych, kiedy z małych kołchozów two-

rzono wielkie sowchozy, nieliczni Jakuci, którzy wciąż żyli w tajdze, zmuszani byli do osiedlania się we wsiach. A tam zamiast *olongchosuta* czekał partyjny aktywista, dom kultury i szkoła. A z czasem telewizor.

Dziś ze słuchaczy i opowiadaczy Sacha zamienili się w widzów. Oglądanie telewizji przybiera tu apokaliptyczne rozmiary. W niektórych domach telewizory stoją w kuchni i w każdym pokoju. Bywa, że wszystkie są włączone, tak że gospodyni, krzątając się, może oglądać ulubiony program na kilku odbiornikach jednocześnie. W mały telewizorek wpatrują się też taksówkarze i ich pasażerowie. Choć jest też druga strona medalu – to właśnie dzięki rosyjskojęzycznej telewizji młodzież z jakuckich, ewenkijskich i eweńskich wiosek jako tako mówi po rosyjsku. Maturę mogą zdawać tylko w tym języku, ale nawet jeśli uda im się zdać ten trudny dla wielu egzamin, to czekają ich studia, na których część nie poradzi sobie z powodu słabej znajomości języka.

## Słówka

*Kepsee* – jakuckie „dzień dobry”, dosłownie znaczy „opowiadaj”. Zazwyczaj spotkany odpowiada: „Nie ma o czym mówić”, po czym okazuje się, że jednak jest, i zaczyna się długa rozmowa. Im starsi, tym dłużej rozmawiają, tym trudniej ich zrozumieć i podsłuchać. Ich język różni się od języka młodych, bo mało w nim rosyjskich wtrąceń.

*Olongcho* – najważniejszy gatunek literacki jakuckiej kultury oralnej, właściwie synteza kilku gatunków. W młodzieżowym slangu może oznaczać niedorzeczności, bajki. W 2005 roku *olongcho* wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, w tymże roku rozpoczęło się Dziesięciolecie *Olongcho*. W Jakucku ma też powstać gigantyczny Dom *Olongcho*, 25 listopada ustanowiono Dniem *Olongcho,* a eposy wydawane są w serii podobnej do polskiej „Poczytaj mi, mamo”. Jakucja często na oficjalnych uroczystościach wita gości w *Olongcho Dojduta*, czyli Krainie Opowiadania.

*Olongchosut* – opowiadacz olongcho. Eposy i baśnie nie były tak groźne dla władzy radzieckiej jak szamanizm, toteż olongchosutów nie prześladowano i kulturowa ciągłość została zachowana. W przeddzień

drugiej wojny znano w Jakucji czterystu opowiadaczy. Ostatnimi żyjącymi wielkimi bajarzami, uważanymi za kontynuatorów mistrzów XIX wieku, są Daria Andriejewna Tomska z Wierchojańska i Piotr Jegorowicz Rieszetnikow z Tatty. Można by wymienić jeszcze dość liczną grupę tych, którzy słuchali prawdziwego *olongcho* w dzieciństwie, a dziś występują w roli świadków-opowiadaczy. Stołeczny wydział filologii jakuckiej szczyci się tym, że prowadzi specjalizację dla olongchosutów, na której szkoli opowiadaczy z dyplomem.

*Dalniebojszczik* (ros.) – kierowca, który trudni się transportem żywności i wszelkich klamotów do najbardziej odległych miejscowości republiki. Dalniebojszczików wyróżnia nieodparta potrzeba opowiadania – nic dziwnego po samotnych tygodniach spędzonych za kołem polarnym. Ich samochody można poznać po olbrzymich bakach przyspawanych tuż za szoferką i zwisających z nich zwojach reniferowych skór. Pokonując niezamieszkane obszary wielkości Bałtyku, dalniebojszczik nie może liczyć na stację paliw, telefon ani posterunek milicji. Zrozumiałe więc, że wiezie ze sobą broń, kanistry wódki i nierzadko pomocnika. Wykonuje jedną z najciekawszych profesji ogromnej Krainy Opowiadania – obok poszukiwacza złota, snajpera i pasterza renów.

## Taryng

Robotę pomocnika dalniebojszczika załatwił mi na wiosnę przed dwoma laty nieoceniony Stiepan Konstantynowicz. Twierdził, że to część jego metody uczenia języka. Jedyny sposób, bym zaczął mówić po jakucku i naprawdę poznał znaczenie niektórych rzeczowników, na przykład słowa „biel”. Jechać mieliśmy przez Zarzecze i Ałdan starym traktem przez Góry Siettie-Daban i Góry Rzeki Głębokiej, potem skrajem Ojmiakonu aż do Ust′-Niery. Stamtąd po zamarzniętej Indygirce zimnik wiódł na północ, przez Góry Czerskiego i Góry Momskie do posiołka Biała Góra i w ujście Psiej Rzeki, jak zwą Indygirkę Jukagirzy. My jechaliśmy do Białej, kamazem wyładowanym żywnością i skuterami śnieżnymi. Moim szefem został Locha – pół Rosjanin, pół Jakut. Kończył się marzec, w południe na ściętych lodem rzekach zaczęły pojawiać się pierwsze kałuże.

Po przekroczeniu Leny i Ałdanu zanocowaliśmy u podnóża Gór Siettie-Daban. Tu zaczynała się historyczna Kołyma i budowana przez jej niewolników droga. Miejscowi nazywają ją Drogą na Kościach, bo umierających przy budowie nasypu zeków wrzucano między kolejne warstwy szutrowego traktu jak tłuczeń. Według Lochy, który urodził się nad Indygirką, więc wie, co mówi, na skraju drogi-grobu rozstrzeliwano też nieposłusznych więźniów, rozwiązując przy okazji problem pochówku w górach. Uczucie deptania mogiły nie opuszcza tu podróżnego ani na chwilę. No, może na wąskich perciach: Czarnym i Żółtym Występie, Zajęczej Pętli i Jaskółczym Gnieździe, które są wykutymi kilofem w litej skale półkami skalnymi. Jedno z niewielu miejsc na trasie, gdzie wiesz, że pod nogami jest co najwyżej granit. Można by na nich odpocząć, gdyby nie narastające za każdym kolejnym zakrętem wrażenie, że dalej drogi już nie ma, a kamaz spada na łeb na szyję w śmiertelnie piękny pejzaż.

Kiedy następnego dnia ześlizgnęliśmy się z trasy na lód Indygirki, nie poczułem żadnej ulgi, bo przecież sunęliśmy trzydziestotonową ciężarówą po delikatnym jak błona lodzie. Tu i tam zimnik znaczyły już podłużne groźne pęknięcia, które wyglądały jak rzeki na mapie, ale szofer nawet nie myślał ich omijać. Twierdził, że owszem, lód może i pęka, ale jest mróz, więc zaraz z powrotem zamarza. Rozpędził kamaza do osiemdziesięciu na godzinę i zanurkował w koryto Indygirki jak dzieci w zaspy za wioską Cichy Brzeg. To wydarzyło się tuż za małą wyspą, na której stało te parę chałup: nagły chrzęst, jakby łupnął pod nami kręgosłup mamuta. Samochód poleciał w dół, woda do kabiny, a zatkany górami widok gdzieś w niebo. Ledwo panowałem nad sikaniem: toniemy! Otworzyłem gwałtownie drzwi, wyskoczyłem z pułapki w biel i… stanąłem pewnie na twardym jak granit lodzie.

Pustolód. Czasami bywa głęboki na wysokość kół, czasami auto zapada się do lusterek, zależy od szczęścia. Ten, w który wjechał Locha, sięgnął nam aż nad koła, dlatego zalegająca w nim woda trysnęła na szoferkę jak gejzer.

Żeby ruszyć dalej, trzeba założyć na koła łańcuchy. Żeby je założyć, trzeba wziąć je do rąk, choć od grudnia leżą w skrzynce na pięćdziesięciostopniowych mrozach. Żeby opleść nimi opony, trzeba zanurzyć dłonie w Indygirce. To wszystko robi pomocnik w rękawicach budowlanych na trzydziestostopniowym mrozie. Kiedy po godzinie opiąłem opony żelastwem, a rę-

kawice połknęła Indygirka, przyszła kolej na metalowy pręt długości człowieka: do wykuwania dziurek w fałszywym lodzie. Mają go osłabić i umożliwić staranowanie. Dziurki należy kuć szeregiem, blisko siebie, na przyszłej drodze kół kamaza. Kuliśmy we dwóch z przeciwległych stron połaci pustolodu, omijając co grubsze jego partie. Po trzech godzinach mozolnej perforacji, ścieżki Lochy i moje połączyły się. Wtedy kamaz ruszył. Z chrzęstem łamanych kości wydostaliśmy się z pułapki i popędziliśmy pomiędzy górami, zaciągając się wspaniałym zapachem spalin.

Następne dwa dni podróży to była senna sanna w śniegu. Pamiętam tylko wąski kanion, którym Indygirka płynie przez Góry Czerskiego, i *czubuku* – białe owce śnieżne w ostrym słońcu, które skakały po ciemnych skałach niczym iskry. W Chonuu przekroczyliśmy koło polarne, ale można to było wywnioskować raczej z biegnącego w poprzek zimnika tropu łosia niż widoku wsi, która ledwo, ledwo opierała się wściekłej bieli. Za górami widok opadł jak kurtyna i wyjechaliśmy na gigantyczną scenę lasotundry podszytej karłowatymi wierzbami i brzózkami do pasa. Jakimś cudem z bieli ocalała nazwa Zaszywiersk – w miejscu, gdzie stał kozacki gródek zniszczony przez Jukagirów i ospę pod koniec XIX wieku. Miejscowości tutaj nierzadko tworzą tylko nazwa i samotny krzyż albo *serge*. Toponimika i semiotyka. Po następnych kilku godzinach bieli w Kubiergani, drugiej i ostatniej eweńskiej wsi nad Indygirką, oganiając się od psów i handlarzy szczątkami mamutów, dotarłem do malutkiego sklepu.

– Jesteś z Europy? – padło z mrocznego kąta.

– Noooo, można tak powiedzieć – odparłem ostrożnie, bo nie wiedziałem, czy spotykam przedstawiciela opcji europejskiej, czy azjatyckiej, a tak zawsze mógłbym uciec w euroazjatycką.

– Wasz papież nie żyje.

– ?

– Europejski papież. Już od trzech dni, nie wiesz? No, to odwdzięcz się, co?

– Ale jak?

– Kup kieł… co? Zobacz, dorosły zdrowy mamut…

Kilka godzin za Kubierganią do Indygirki dołączył z zachodu wielki dopływ – rzeka Sielenniach. To jej doliną w 1882 roku jechał z Jany na Kołymę Sieroszewski w asyście jakuckiego przewodnika i rubasznego a rozpustnego kozaka Lochy Trzywargiego. Jechali o tej samej porze roku co my,

tyle że na wschód. Ponieważ wszystkie rzeki i rzeczki płyną tu na północ, co rusz musieli się przez nie przeprawiać. W podstępnych pustolodach i wąwozach stracili trzy reny. Jeszcze w Górach Śmietanowych Sirko wpadł do wody, zmarzł i opadł z sił. Na uroczysko Andylaach, już na Kołymie, dotarł ledwo żywy.

Z bieli ocknęliśmy się jak z ciężkiego kaca przed sklepem Kytałyk (Żuraw biały) w Białej Górze. Ubrana na biało ekspedientka pomagała rozładowywać białe od szronu kiełbasy, szynki i udka Busha, jak nazywają tu importowane z Ameryki kurze podudzia. Lochę zaprosili na wesele, a ja znalazłem kwaterę w przytulnym jak szoferka domku nauczycielki Anny Dmitrijewny. Spałem w bielutkiej pościeli cztery dni, zupełnie nie śniąc. Choć kto wie, może śniłem właśnie biel i dlatego nic nie pamiętam?

*

Na weselu dalniebojszczik Locha spił się tak okrutnie, że wracając, prawie nie posuwaliśmy się naprzód. Po trzydziestu, czterdziestu kilometrach zarządzał przerwy, po czym smacznie zasypiał na kilka godzin. W południe robiło się coraz cieplej, a kamaz po lusterka wyładowany był zamarzniętymi tuszami łosi, krów i reniferów dla górników z kopalni złota Partizan. Płukali w Górach Czerskiego, w źródliskach któregoś z licznych dopływów Indygirki gdzieś między Chonuu a Ust′-Nierą.

W Chonuu mieszka Władymir Nasiedkin, człowiek ogromny jak Lenin z pomnika. Ścigany za zabójstwo, zaszył się nad Indygirką gdzieś na przełomie epok Gorbaczowa i Jelcyna. Przez te dwadzieścia lat, chwali się, zjadł dziesiątkę niedźwiedzi, setkę renów i wypił tyle, ile rocznie przepływa przez Indygirkę. Pracował jako dalniebojszczik na Trasie Kołymskiej, by w końcu osiąść w Chonuu, gdzie zajmuje się lesopowałem, czyli wycinką drzewa. Nie jest jednak drwalem, tylko ich zatrudnia. Dostarcza drewno szkole, administracji, babciom i „samemu Bogu”, czyli cerkwi. W kraju, w którym zima trwa dziewięć miesięcy, to złoty interes. Wszystkie cztery wioski wzdłuż Indygirki objęte są strefą ZOŻ[64], co znaczy, że nie wolno tu handlować alkoholem, ale u najbogatszego człowieka nad Indygirką stoją zapasy godne hurtowni. Nie omieszkał skorzystać z nich Locha, zatrzymawszy się w Chonuu na dłużej. Pod nieobecność żony Nasiedkina rozpętali sześciodniową pijatykę. Po dwóch dobach wyszedłem na spacer z na-

dzieją zatrzymania jakiegoś gruzawika do miasta, ale nic nie jechało. Wróciłem więc za stół, który Locha traktował jak szoferkę, naśladując co chwila dźwięk silnika i pękającego lodu.

Po okolicznej tajdze rozniosła się wieść, że olbrzym otworzył zapasy, toteż na trzeci dzień zjawili się tajożnicy[65] z ofertą wymiany. Jeden proponował rogi *czubuku*, inny ciosy mamuta, trzeci żywego rena. Tuż przed naszym wyjazdem zjawił się myśliwy z ogromną jak dywan skórą niedźwiedzia. Za każdym razem gościnny Nasiedkin pytał, czy nie chciałbym czegoś takiego na pamiątkę. Nie rozumiał argumentów: za *czubuku* można pójść siedzieć, za mamuta grozi co najmniej mandat, a skóra jest większa niż mój pokój.

– A ren? – zapytał gospodarz.

– No przecież on jest żywy – wyjąkałem.

– To go zabijesz, jak dojedziesz. I zjecie sobie z żoną. Co?

– Nie, dzięki – odparłem bardzo uprzejmie.

Któregoś ranka już za Chonuu ocknęliśmy się w szoferce u samotnych wrót pośród bielutkich gór. Skacowany i zdezorientowany Locha wydawał się zdziwiony i wciąż powtarzał, że kamaz sam odnalazł drogę do kopalni Partizan. Jeszcze bardziej zdziwiony byłem ja: kopalnia to był stary łagier. Świadczyły o tym resztki płotu z drutem kolczastym, przedwojenna stołówka z modrzewia i stare baraki. W jednym na najprawdziwszych narach[66] spała sześcioosobowa załoga. Trzy razy krzyczałem w mrok „*Dobryj dień*”, by usłyszeć: „*Poszoł na ch*…”. Dopiero na dźwięk słowa „mięso” brygadzista otworzył oczy i zapytał:

– A kim ty, do diabła, jesteś?

Z Lochą kamazistą pożegnaliśmy się na którymś z piątaków[67] za Ust′-Nierą. Wyznał, że ciężko pracuje od grudnia i chciałby spędzić wiosnę w szoferce z kilkoma spotkanymi przyjaciółmi z Magadanu. Nie chciałem mu przeszkadzać. Jeszcze tego samego dnia złapałem stopa do miasta. Moim szoferem i nowym szefem został Aleksander, Rosjanin z Jakucka. 14 kwietnia przeprawialiśmy się przez Lenę po drzwi w wodzie, uprzednio zawinąwszy dokumenty i zapałki w folię z mapami. Siedzieliśmy w kalesonach, bo w osobnym worze Sasza zabezpieczył nasze spodnie i buty. Przez te czterdzieści pięć minut Sasza, wspaniały i nieodpowiedzialny rosyjski kierowca, wciąż mówił o tym, jak toną ciężarówki. Otóż nie wpadają pod lód nagle, znienacka. Tak to giną dzieci albo wędkarze w zatokach, gdy lód

młody i cienki. Kamazy, krazy, ziły, ich kierowcy i przyczepy toną powoli. Bo stary lód nie pęka pod nimi jak gałąź, tylko ugina się niczym brezent namiotu pod ciężarem deszczówki. Nie jest więc aż tak niebezpiecznie, bo zanim pęknie, masz czas wyskoczyć. Właśnie na ten lód. W kalesonach i ze spodniami w foliowym worku.

Przez kilka następnych dni Jakuck wydawał mi się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi.

## Mieszkańcy

Przysłuchując się tradycyjnym opowieściom poszczególnych narodów zamieszkujących Jakucję, można dowiedzieć się dużo o mieszkańcach stolicy. Opowiadacza znaleźć trudno, ale są na szczęście doskonałe wydania bajek i eposów, legend i podań, a nawet zagadek oraz trajkotałek[68].

Najostrzej, nomen omen, zarysowani są bohaterowie bajek i legend tunguskich, nad Leną – eweńskich i ewenkijskich. Eweńscy chłopcy nie należą do szczególnie wrażliwych: „Oddał słój, wziął topór i poszedł. A kiedy tak szedł, pomyślał: »A po co ja mu to dałem?«. Rzucił za siebie toporem i ściął tamtemu głowę. Wziął słój z powrotem i poszedł sobie” (*Słój*). Nie lepiej jest u Ewenków: „Pewnego ranka Cinanaj wybrał się nad rzekę, jak mama kazała, naścinać korzeni wystających z wysokiego brzegu. Ale spotkał stadko dzieci. A że słowo »korzeń drzewa« po ewenkijsku brzmi niemal identycznie jak »ludzka pięta«, pomyliło mu się i naciął koszyk dziecięcych piętek, po czym wrócił do domu” (*Cinanaj*). Dla eweńskiego bohatera zabicie żony, gdy jest taka potrzeba, nie stanowi większego problemu moralnego. Charakterystyczne jednak, że często tego potem żałuje: „Zarąbał mieczem żonę i orzechówkę[69], a sam wrócił do domu. Siedzi jeden dzień, siedzi drugi, trzeci. W końcu zatęsknił do żony i zrobiło mu się smutno” (*Orzechówka*).

Starzec biorący swoje odbicie w wodzie za twarz pięknej kobiety to wątek często spotykany nie tylko w legendach Tunguzów, ale i innych ludów Północy. Podobnie jak porywczość i zdecydowanie bohaterów: „Przyszedł starzec do domu. Żonę zabił, rzeczy zabrał i przyniósł nad rzekę. Dokładnie tam, gdzie widział w wodzie piękną kobietę” (*Starzec*). W eweńskiej narracji zaskakują nierzadkie wątki feministyczne, zapewne pozostałość matriar-

chatu: „Mężczyźnie było wstyd, że kobieta lepiej od niego poluje. Zaczął więc do niej strzelać. Ale nie trafiał, bo kobieta łapała strzały w locie. Wystrzelił trzydzieści pięć razy, aż skończyły mu się strzały. Wtedy ona powiedziała: »No, jak taki z ciebie gieroj, to teraz popatrz na mnie!«. Mężczyzna zawstydził się i spojrzał w drugą stronę”. Jakucki bohater zaraz by się z taką ożenił, spłodził dziesięciu synów i obdzielił ich niezliczonymi stadami krów i koni. U Tunguzów ten scenariusz nie jest możliwy: „Kobieta wystrzeliła tylko raz i trafiła go w biodro. *Bootur* upadł. A dumna niewiasta odjechała”.

To, co wyróżnia bajki Ewenów i Ewenków, poza surowością i licznymi bójkami, to wesołość i beztroska bohaterów. A także ich zmysł praktyczny i pogarda dla nadmiaru rzeczy. Nic dziwnego, bo ci mistrzowie pakowania się rzadko kiedy mieli więcej, niż mógł unieść renifer. Z kolei wojowniczość Tunguzów po dziś dzień jest wręcz uderzająca. Gdy ktoś zajrzy przez pomyłkę do sali, w której profesor Aleksiejew prowadzi wykład *Swobodny wypas reniferów w Jakucji*, i niechcący przerwie mu wątek, profesor, człowiek niezwykle uprzejmy, poliglota, autor kilku świetnych książek i uczestnik ekspedycji badawczych, rzuca się w pogoń za intruzem i z błyskiem w oczach zapamiętale ściga go po schodach. Kiedy na zajęciach student palnie jakieś głupstwo, uczony w ojczystym eweńskim cedzi przez zęby: „Madziaam*!*” (Zarżnę!).

Dołganie sprawiają wrażenie spokojniejszych niż ich tunguscy sąsiedzi. Dołgański wojownik może się na przykład zagapić, co nie zdarzy się krewkiemu Tunguzowi: „W końcu czarna gąsienica zaczęła brać górę nad ognistą. A chłopak pomyślał: »Co ja tu tak stoję z rohatyną i nie pomagam mojej gąsienicy?«”. Bohater dołgańskich bajek to często człowiek sprawiedliwy: „Starszy brat równo rozdzielił wszystko, co zostawił swoim synom znamienity *bootur* Erse. Zwołał sąsiadów i zrobił ucztę na całą ziemię. Ludzie wybierali ich na naczelników, a wojen pod ich rządami nie było” (*Spotkanie dwóch braci*). Nie jest jednak nieskazitelny, bo potrafi posłużyć się szantażem: „»Jeśli mi tego nie dasz, będziesz miał do czynienia z białym niedźwiedziem. A on jest teraz bardzo głodny«. I bogacz musiał oddać biedakowi wszystko, o co ten prosił” (*Śmiały biedak*).

Bajki czukockie, jak wszystkie z północno-wschodnich krańców republiki, porażają realizmem. „Dzieci zakopały się w skórach, a mama znieruchomiała i zaczęła powoli umierać. Rano przyjechali wujkowie. Położyli trupa

na stare sanki, wywieźli i zgodnie ze zwyczajem porżnęli na kawałki, po czym rozrzucili po tundrze. Po powrocie rzucili się dzielić jej dobytek. Dzielili, dzielili, kłócili się, bili. A kiedy zobaczyli dzieci, nikt nie chciał ich wziąć. I znów zaczęła się kłótnia” (*Chłopczyca*).

U Czukczów, morskich myśliwych i pasterzy renów, powodem wybuchu wojny może być nawet dziecięca sprzeczka: „Mały rozpłakał się i powiedział: »Czekaj no. Jesienią przyjedzie mój wujek. On zabije twojego brata Kutwirita«” (*Kutwirit*). U wszystkich narodów Północy kobiety pracowały równie ciężko jak mężczyźni i były im posłuszne, ale folklor zdradza, że potrafiły wyrazić swoje zdanie: „Dziewczyna wzięła drąg, zamachnęła wsię i jeszcze nim zdążyła dobrze walnąć, głowa duraka rozpadła się na kawałki” (*Sierotka*).

Podobnie jak u Tunguzów dziewczyny z Czukotki też mogły zwyciężać booturów. A w przestrzeni mitycznej, jeśli zechciały, mogły nawet zmieniać płeć: „Znudziło się Kujkynieku być dziewczyną. Założyła spodnie, wsadziła między nogi długi futerał na igły z dwoma dzwoneczkami i stała się mężczyzną” (*Kujkynieku*). Czukockie bajki zaskakują też obecnością Boga. Tyle że nie jest to Bóg groźny ani wszechmogący, bo może nieszczęśliwie utonąć albo boleśnie się uderzyć. A nawet przegrać pojedynek z czukockim szamanem: „Wystraszył się Bóg, że teraz szaman go zabije. Ale szaman poklepał go tylko po plecach i powiedział: »Jesteśmy starymi kolegami, nie chce mi się ciebie zabijać«” (*Bóg i szaman*).

# Słownik języka jakuckiego XI

## Trzydziesty dzień mgieł

Richard Karlowicz Maak pisał, że domy w Jakucji buduje się wokół pieca, tak że przylega do niego każda izba. Czasem *pieczki* były dwie, jedna obok drugiej, wtedy palono w nich na przemian. Prastara zasada palenia ognia pośrodku domostwa, przestrzegana tu od paleolitu, obowiązywała też później: w jakuckich balaghanach i urasach, cholomach, üütenach, tunguskich czumach, czukockich i jukagirskich jarangach. W centrum zawsze płonął ogień. Nawet latem i za dnia. Miejsce na rozpalenie ognia ma swoją nazwę: *cholumtan*. W podróży i na polowaniu było to proste palenisko, w zimowych balaghanach – solidna skrzynka wypełniona ziemią. Nawet w łagrach Kołymy nie odstąpiono od tej reguły i *pieczki*-beczki stawiano w połowie długości drewnianych baraków.

## Trzydziesty trzeci dzień mgieł

Stuletni czerpany papier dokumentów w archiwum ma ten sam kolor co smog: czasem biały, czasem pożółkły, innym znów razem szary, jak przysypane sadzą zaspy na Załogu. Łapię się na tym, że nie wiem, czy czytam stary list, czy zerkam właśnie przez okno na Jakuck. Na ulicach te same papierowe kolory, a zamiast pisma sprzed wieku szeregi wyblakłych postaci. Ludzie pochyleni jak ruskie bukwy. Suną przez tuman i wyglądają całkiem jak przydługie zdania z listów zesłańców proszących władze o broń, mąkę czy przenosiny na południe. Irena Nikołajewna, która dyżuruje dziś w czytelni, podchodzi i łagodnie upomina, że tomy starych listów trzeba chronić przed światłem i zamykać, kiedy nie czytamy. Bo stary atrament blaknie i tekst bieleje. Sirko używał inkaustu własnej roboty. Po stu dwudziestu latach wygląda doskonale.

Fenomenologia mówi, że spojrzenie dostarcza danych, z których dopiero sami tworzymy widok. Wpatruję się w zakwefiony Jakuck w poszukiwaniu dachów, półpięter, ścian i z największym trudem powołuję miasto do bycia. W smogu jest to bardzo trudne, bo miejsce najwyraźniej nie zamierza istnieć, gdzieś znika. Nie ma z czego zrobić widoku. Choć ten szczegół jest całkiem wyraźny. To kartka z kalendarza na ścianie czytelni: 26 stycznia.

## Trzydziesty czwarty dzień mgieł

O zmierzchu i rano, a jeśli tuman gęstnieje, także w biały dzień, nie widać zawartości wysokich kontenerów, które na blokowiskach służą za śmietniki. Wystarczy cisnąć worek z odpadami w otchłań pojemnika, by z diablim skowytem i warczeniem wyskoczyło z niego kilka psich cieni. Niektóre wyglądają fantastycznie, bo do oszronionych nosów i mord przymarzają im reklamówki, podpaski i resztki jedzenia. Czasem wystraszone i zdezorientowane skaczą na nie mniej zszokowanego mieszkańca, który właśnie wyrzucił worek i ni stąd, ni zowąd trzyma w objęciach wierzgającego kundla z reklamówką na głowie. Nigdy nie wiadomo: atakują czy uciekają? Tak czy owak odkąd ryży mieszaniec wylądował mi na głowie, nie podchodzę zbyt blisko śmietników. Może to z tego powodu sąsiedzi wyrzucają czasem śmieci przez okno prosto pod blok, który stoi na betonowych szczudłach?

Kim opowiadał, że na Chałturina widział sukę, której język przymarzł do bryły zmarzniętych na kamień pomyj. Takie lodowe górki zlewek powstają na podwórkach dieriewiaszek, w których nie ma kanalizacji, więc wszelkie nieczystości wylewa się w jedno miejsce, zwykle za węgłem domu. Nie zdążą spłynąć, już zamarzają. Suka chciała coś zlizać, ale język przymarzł jej jak przyklejony. Kim z Waśką w odruchu współczucia ściągnęli spodnie, kalesony i obsikali pośpiesznie obolały język zwierzęcia. Jednak jakiś fragment wciąż się trzymał, może jakaś folia czy sznurek, i suka zaczęła skowyczeć jeszcze żałośniej. Z boku wyglądałoby to przedziwnie – dwóch gości z gołymi fujarkami nad skomlącym psem – gdyby nie tuman. Uratowała ją dopiero gospodyni z wiadrem ciepłych zlewek i prostym pytaniem do studentów: „*Wy czto, ochujeli?*”. Trudno być psem na skraju ekumeny.

# Środek. Zniszczenie

Któregoś dnia mgieł poszedłem powłóczyć się na Kalandariszwilego – od gimnazjum wzdłuż przetoki nad Zielony Ług. Potem skrajem ulicy Czernyszewskiego i śnieżnego biomu, w którym gdzieś tam leży sopel Leny i zaczyna się Ilin Enger, Zarzecze. Jakuci drogę takiego ruchu określają za pomocą uniwersalnego narzędnika, Ewenkowie zaś na oddanie ruchu po krawędzi mają specjalny przypadek. Za miastem mgły ustąpiły i biel wydobyła mnie z zamyślenia i widoku dopiero pod ścianami soboru Przemienienia, jakbym wyszedł na scenę. Tylko bez tego uczucia, że wszyscy patrzą. Nie było nikogo. To ja patrzyłem, jak w panoptikonie.

Latem niebo nad cerkwią upstrzone jest czarnymi krzyżykami jerzyków, ptaków z rodzaju *Apus*. Wyglądają jak te europejskie, tylko mają białe kupry. Zimą jedynie złote krzyże na kopułach prieobrażeńskich unoszą się ciężko nad widokiem, podkreślając jego chłód i pustkę. Są nowe. Te, które założono w 1854 roku, zdjęli w latach trzydziestych bolszewicy. Kiedy ostatniej czerwcowej nocy 1918 roku czerwoni zajmowali Jakuck, biali ostrzeliwali się z dzwonnicy soboru. Zmrok im nie przeszkadzał, bo to czas białych nocy, słońce zachodzi raptem na godzinę. Gdy w 1922 roku bronić musieli się czerwoni, płytami nagrobnymi z cerkiewnego cmentarza uzbroili ściany pobliskiego Krużała. Kiedy już władza rad zadomowiła się w Jakucji na dobre, cerkiew zamknięto, po cmentarzu nie został ślad. Świątynię zamieniono w siedzibę klubu sportowego, potem służyła jako bursa dla słuchaczy kursów rolniczych, po wojnie zaś jako biblioteka. Z ruin podniesiono ją w 2001 roku.

Cerkiew miała też starszą siostrę z 1775 roku, która parę lat po rewolucji spłonęła. Stała kilkanaście metrów za nią. Na dawnych zdjęciach przypomina statek, bo wznosi się i wysklepia jak kadłub, a na najwyższej, trzypiętrowej części niczym na maszcie osadzono jeszcze wysoki trzystopniowy bęben, uwieńczony kopułką z krzyżem. Zgrzebną figurę opasuje otwarta galeria, która pomija tylko absydę. Ta ma własny daszek i kopułkę. Wnętrze oświetlało czterdzieści dużych ośmiodzielnych okien. Dzięki nim jasno było na parterze, gdzie znajdowała się zimowa (czyli opalana piecem) cerkiew Przemienienia, i na pięterku, gdzie mieściła się cerkiew letnia pod we-

zwaniem proroka Ilii. Światło biło też zresztą od pozłacanego ikonostasu jakuckiej roboty i ikon pisanych przez moskiewskich mistrzów.

To miał być spacer do środka. Penetracja kwartału między placem Lenina a cerkwią Przemienienia, ale ciepła starczyło mi jeszcze tylko na skok pod pomnik Bekietowa. Ma kształt gigantycznego konowiązu uwieńczonego prawosławnym krzyżem. Pod kolumną siedzi Pietrucha Bekietow z siekierą i myśli. Na cokole z czterech stron umieszczono płaskorzeźby, jedna przedstawia brodacza z książką pośród tłumu ludzi. Trzeba zetrzeć szron, by zobaczyć, że ludzie mają skośne oczy, a człowiek z książką – brodę i rysy Edwarda Piekarskiego. Bez wątpienia artysta umieścił na pomniku twórcę *Słownika języka jakuckiego* jako jedną z ważniejszych postaci w historii kraju. Sieroszewskiego upamiętniono na pomniku zesłańców polskich przed kościołem katolickim.

W niespodziewanej przerwie kakofonii dochodzącej wciąż z Nabierieżnej, to znaczy Czernyszewskiego, nagłe ukłucie chłodu i błysk świadomości, że zimno, tak jak cisza, jest jedną z emanacji pustki. Za miastem dużo bliżej do niego niż pośród ludzi i bloków, toteż od razu zimniej. Tak zimno, że po godzinie spaceru trzeba się skryć w Krużale albo w soborze.

## Czterdziesty dzień mgieł

Już u zarania swojej historii Jakuck był centrum, które przyciągało, ale do którego trudno było się dostać. Jeszcze trudniej było się po nim poruszać. By móc odwiedzić stolicę, osiedleniec Sieroszewski pisał podanie do samego gubernatora obłasti. Musiał najpierw zgłosić w zarządzie rodowym Chatyng Aryy, że jedzie do Namu, potem osobiście złożyć podanie do Jego Ekscelencji w zarządzie ułusu i czekać, aż prośba dojdzie do Jakucka. Odpowiedź szła kilka dni i nie zawsze była pozytywna. Sieroszewski nierzadko więc sam dawał sobie pozwolenie i opuszczał obejście bez wiedzy urzędników. Otwarte pastwiska Engsieli pokonywał pod osłoną nocy, a dalej jechał tajgą wzdłuż brzegu Leny. Ponad sto kilometrów przejeżdżał konno w dwa dni, nocując u zesłańców albo w siodle. W mieście szukał narzędzi, lekarstw, ziarna i wieści z innych okręgów.

O jednym z takich cichych rajdów powiadamia policję okręgową w Jakucku tajny dokument zarządu naslegu Chatyng Aryy z 14 grudnia 1888

roku. Sąsiedzi donoszą, że Sieroszewski oddalił się bez odmeldowania, a zarząd ułusu dopisuje, że „zesłaniec tak naprawdę nigdy się nie odmeldowuje”. Skargi dochodzą szybciej niż prośby i już pięć dni później oficer policji okręgowej wysyła do żandarmów miejskich rozkaz, by natychmiast aresztowali Polaka bądź poinformowali, jeśli wyjechał z miasta. Tego samego dnia ławnik odpowiedzialny za politycznych pisze drżącą ręką do oficera policji, że ma „najwyższy zaszczyt najuprzejmiej prosić” o wydanie listu gończego. Nazajutrz żandarmi ślą do isprawnika wiadomość, że zesłaniec już siedem dni temu wyjechał z miasta. Zniknięciem Sirki przejął się w końcu sam gubernator. Policja informuje go w osobnym długaśnym piśmie, że wysłano do Namu gońca, by sprawdzić, co się stało. Kiedy goniec wyjechał, przychodzi następne tajne pismo z Namu – Sieroszewski wrócił. Pięć dni pisaniny tylko dlatego, że zesłaniec chciał kupić trochę ołowiu na śrut albo siekierę. Jeśli pamiętać, że każdy dokument pisano najpierw na brudno, czasem w dwóch egzemplarzach, i że w samym Namie zesłańców było kilkudziesięciu, można wyobrazić sobie, czym zajmowali się pracownicy drewnianego domku zwanego Policyjnym Zarządem Okręgowym.

Zesłańców karano zakazem wstępu do centrum, czyli nadmiarem przestrzeni. Musieli się przekradać do miasta, pokonując przeszkody i oszukując. I opuścić je, zanim ktoś ich złapie, nie daj Boże udowodni obecność. A centrum było im równie potrzebne jak jedzenie.

## *Olunniu*, miesiąc dziesiąty – luty

W pierwszych dniach lutego mgła opadła na dłużej i okazało się, że Jakuck nie jest drewniany. Po zimie spędzonej we mgle i w archiwum, zapatrzony w stare mapy i fotografie, byłem przekonany, że wszędzie jest tak jak na zdjęciach Iwana Wasiljewicza Popowa albo na starych rycinach, a tymczasem stolica jest labiryntem betonowych bloków i rur biegnących jego korytarzami. Na śmierć zapomniałem o wielkich budowlach: cyrku, blokach przy kościele katolickim czy stadionie. O prospekcie Lenina, którego przez parę tygodni właściwie nie było. Okazało się, że kiedy widać miasto, wszędzie jest jakoś bliżej. I trzeba na nowo zapamiętywać topografię. Jak gdyby całą zimę spędziło się w innym miejscu.

## Ślady starego miasta

Widać je na Załogu, na prospekcie Lenina, między kapiedieszkami i dieriewiaszkami. Najwięcej chyba na Jarosławskiego w pobliżu Leny i w okolicach muzeum. Modrzewiowe pniaki sterczące z ziemi jak po wyrębie lasu, ścięte pale, na których niegdyś wisiały wrota, wspierały się parkany, domy bądź chotony. Niektóre kikuty mogą być nawet pozostałościami po *serge*, konowiązach. Burząc drewniane chałupy, budowniczowie nowego Jakucka nie zaprzątali sobie głowy starym zwyczajem, według którego *serge* powinno stać, póki samo nie upadnie. Bali się jednak najwyraźniej gniewu *iczczi*, bo na betonowych osiedlach stawiali nowe, metalowe konowiązy. Niektóre pieńki wystają tak, że po spróchniałych słojach można doliczyć się ich wieku, inne, zalane asfaltem i betonem, pchają się do góry spod ulic, jakby pączkowała tam ziemia. Dzięki nim można wykreślić prawidłowy kształt dawnych zaułków, odnaleźć nieistniejące adresy albo odkryć, że przebieg Jarosławskiego nieco się zmienił.

Żeby zobaczyć Jakuck sprzed stu lat, trzeba pozostałości bram i płotów nanieść na mapę współczesnego miasta, połączyć liniami i wędrując, raz po raz spoglądać na naliczniki ostatnich drewnianych domów. Jeszcze po wojnie ich zdobne okna tworzyły znaczną część widoku miasta. Nalicznik, pełen zawijasów, zakrętasów i spiralnych linii, wygląda jak zaprzeczenie widoku za miastem: monotonnej pięciolinii brzegów rzeki, drogi, szeregów wierzb i dokuczliwej linii horyzontu.

Chciałoby się jakoś ocalić albo chociaż zapamiętać okna wyburzanych domów. Wiele z nich płonie, niektóre po kilka razy, do skutku, bo na zgliszczach mają powstać bloki i sklepy. Na zdjęciach starego Jakucka, zachowanych w archiwum, muzeum i w atlasie *Jakutija* widać jak na śniegu, że ornamenty na framugach okien jakuckich domów są podobne do tych z Syberii, szczególnie z Ust′-Ilimska, Irkucka i Bracka. Nic dziwnego, bo właśnie stamtąd zawezwano dwudziestu sześciu cieśli, kiedy w 1686 roku za wojewody Prikłońskiego budowano nowy Jakuck. Niemało też wzorów karelskich i zaoneskich, bo w pierwszych dziesięcioleciach istnienia miasta, a i później przecież, przybywała tu głównie ludność z północy europejskiej części Rosji. Jednak ornamentyka jakucka jest charakterystyczna, czasami wręcz niepowtarzalna. Pośród liści, pędów, ogonów cietrzewi i kwiatów

można dostrzec herby potomków Tygyna – choćby krowie mordy i końskie łby – bądź też wzory tunguskie: trójkąty czumów i koła słońc. Zapożyczenia ze zdobnictwa ludów rdzennych dużo lepiej widać w oknach i przez okna chałup południowej Syberii, gdzie rosyjscy chłopi, sąsiadujący z Mongołami, Buriatami, Chińczykami, Chakasami czy Tuwińczykami, wycinali w deskach podkarniszowych i karniszach różne maszkarony, ptaki, a nawet smoki. Formę smoczych mord mają ostatnie zachowane rzygacze, które można jeszcze odnaleźć na Załogu.

Jewgienij Andriejewicz Oszczepkow, badacz drewnianej architektury Syberii, w swoich pracach podkreśla, że formy i kształty ornamentów na Syberii i w Jakucji uległy kanonizacji i zwielokrotniano je w podobnych układach i sekwencjach. Sam ornament i rysunek zawsze ważniejsze były niż kolor farb używanych do ich malowania. Stosowano głównie barwy czarną, żółtą, białą i czerwoną. Deski podokienne i podkarniszowe (można je nazwać nadokiennymi) zdobiono często montowaną oddzielnie drewnianą aplikacją i płaskorzeźbą, wykonaną na podstawie naszkicowanego węglem rysunku. Serie cudzysłowów, przecinków i kropek ciągnęły się przez nalicznik jak w księdze. Umiejętny snycerz potrafił wycinać tak całe zdania. Nawet jeśli ich nie kolorowano, światłocień doskonale wydobywał wzór z płaskiej powierzchni deski, dając niemal op-artowe wrażenie.

Ornamenty stosowane przy dekorowaniu okien przypominały badaczom te znane z neolitycznej ceramiki. Tam również chodziło głównie o bogatą interpunkcję: dwukropki, przecinki i kropki. Jednak komuś, kto bywa w tajdze, ozdobniki te przypominają raczej tropy zajęcy, lisów i soboli.

## Ulica Bolsza

Jak wygląda Bolsza w XIX wieku, widać na starej mapie z tego okresu. Jest początek lutego, mrozy jeszcze trzymają, ale smog się rozrzedza i ludzi na ulicach więcej. Gubernator, powiedzmy, Wasilij Sztubendorff idzie do sądu, dziś wyjątkowo pieszo, bo po nieświeżych ozorach reniferowych, które dostał jako łapówkę od jakuckiego kupca z Kołymy, boli go żołądek. Gubernator chce się „przegryźć powietrzem”, jak mówią tutejsi. Towarzyszy mu dwóch kozaków z zadaniem odpędzania psów i natrętnych petentów, których sznur ciągnie się już za urzędnikiem. Bolsza jeszcze nie ma trotuarów,

więc po lodowych koleinach trudno stąpać: jeden ze strażników traci równowagę i pada jak długi. Z wyrwy w straży natychmiast korzysta rosyjski kupiec ze skargą na Jakutów, którzy powoli zaczynają przejmować na Kołymie i Indygirce handel tytoniem, herbatą i suknem. Nagle z Nikoło-Prieobrażeńskiej wypada para żaków, a za nimi, najwyraźniej w pogoni, dwóch uczniów gimnazjum realnego. Z okrzykiem: „*Won naszi wragi, sieminaristy, warnaki!*”[70] gonią zbiegów, machając tryumfalnie zdobycznymi czapkami. Uciekinierzy chcą w pędzie ominąć renifera, na którym środkiem Bolszej jedzie jakucka gosposia, ale nie widzą we mgle, że jakucki wierzchowiec ciągnie też sanie z drewnem i szacowną kupczichą Ewerstową… Wpadają więc z tumultem na niewielki wasąg i wciskają w kąt sań wielką damę, która to po jakucku, to po rosyjsku wniebogłosy woła o pomoc. Spłoszony byk rusza z kopyta i wpada w obejście kozaka Trzywargiego, taszcząc za sobą sanie z drewnem, kupczichą, seminarzystami i gosposią, która tymczasem spadła z byczego zadu prosto na swoją panią. Rozpędzone sanie ścinają z nóg wierzchowca, który stoi przywiązany przy wrotach. Trzywargi, pół Jakut, pół Polak, widząc, że stratowany koń nie może się podnieść, wpada we wściekłość i rycząc: „W barani róg was zegnę!”, stuka seminarskimi głowami o dyszel, aż dzwoni. Wrócił właśnie z pocztą znad Morza Ochockiego, na Trakcie Ajańskim z pomocą Świętego Mikołaja obronił ulubionego wierzchowca przed rozeźlonym szatunem, na Ałdanie cudem wydostał konia spod fałszywego lodu, a nie ustrzegł we własnej zagrodzie! Zapłakana służąca zbiera rozrzucone szczapy, a zdezorientowana kupczicha ratuje seminarzystów, bo w jednym rozpoznała właśnie swojego niesfornego synalka Waśkę. Gubernator obejrzał się tylko, słysząc krzyki, beknął z ulgą na całą ulicę i rzucił kupcowi:

– Wasza prośba będzie drogo kosztować!

*

Nie wiem, jak zaniosło mnie dziś w miejsce, gdzie zaczyna się Bolsza, do początku miasta. O tym, że to nie koniec, świadczy numer 1 na piętrowym sowieckim baraku. Stoi tam cerkiew Bogurodzicy, od której wzięło nazwę jeziorko na Zielonym Ługu. To tu według relacji wielu podróżników i zesłańców zaczynał się Jakuck. Cerkiew kamienną zbudowano w 1750 roku, ale już sto lat wcześniej stała nieco bliżej rzeki cerkiew drewniana. Co się

z nią stało, nikt dokładnie nie wie, ale zdaje się, że jej koniec mogłoby wyjaśnić pochodzenie wielkiego garażu, który stoi tuż obok. Zbudowany jest z ogromnych modrzewiowych bali, tak szerokich, że dorosły człowiek jednego nie obejmie, a tak starych, że lśnią odcieniami szarości widywanymi tylko na najstarszych budynkach miasta. Czyżby ktoś zamienił osiemnastowieczną cerkiew w garaż? Sowiecka transfiguracja. Przemienienie. *Prieobrażenije*. Przegięcie.

Reszta świątyni pewnie spłonęła w piecach zmarzniętych mieszczan w czasie oblężenia Jakucka przez białych w 1920 roku. Taki los spotkał wówczas dwie baszty kozackiej twierdzy i kilka starszych budynków. Na skamieniałych i poskręcanych przez wiatr pniach modrzewia zapewne łamały się siekiery, a z popiołu można było wygrzebać stopione kule z kozackich muszkietów. Może nawet groty jakuckich strzał z czasów Tygyna.

## Słówka

*Ötöch* – stary niezamieszkany dom lub balaghan, także jego ruiny, zgliszcza. Ale też samo miejsce, gdzie kiedyś mieszkali ludzie. W *ötöch* stojących samotnie w tajdze można znaleźć carskie banknoty, porzucone ikony, kowbojskie buty z czasów, kiedy rosyjskie faktorie powstawały w Kalifornii. Ale też zdjęcie Stalina i czerwone sztandary. Zazwyczaj to rzeczy po zmarłych, czasem niemałej wartości, lecz nikt nie odważy się ich wziąć. Ze strachu przed dawnym właścicielem. Sacha unikają *ötöch*, niechętnie je odwiedzają, podobnie jak groby bliskich. Kiedy poprosić, by pokazali stary balaghan, miotają się między powszechną wśród nich gościnnością a strachem przed tabu. Jakuck pełen jest *ötöch*.

*Serge* – konowiąz. Sieroszewski zauważył, że jakuckie *serge* były bogato zdobione. Symbolizowały dom, rodzinę, powodzenie i gościnność. Przy nim kończyła się podróż i od niego zaczynała, było więc *serge* jeszcze jedną ważną emanacją miejsca, w którym spotykają się koniec i początek. Z samotnych konowiązów porzuconych w tajdze i na pastwiskach Tujmaady korzystają dziś największe sowy na świe-

cie: puchacz i puszczyk mszarny. Często polują *z zasiadki*, to jest cierpliwie czekając na ofiarę.

*Dżie* – dom, budynek. Obejmuje wszystkie typy jakuckich schronień, od balaghanu po ziemiankę. Określenia *dżie* w topografii Jakucka najczęściej używa się w odniesieniu do Arczy Dżiete, czyli stołecznego domu kultury, którego nazwę można przetłumaczyć jako „Dom Obrzędowy".

## 12 lutego. Święto języka

Zgodnie z rozporządzeniem pierwszego prezydenta Republiki Sacha co roku 12 lutego stolica świętuje Dzień Języka Jakuckiego. W tym roku na konkurs językowy organizowany przez Arczy Dżiete zjechali uczniowie z centralnych ułusów republiki. Są też najstarsza w Jakucji nauczycielka języka, przedstawiciele Komitetu Języka Jakuckiego, cudzoziemcy i naukowcy. Rzecz jasna także Stiepan Konstantynowicz, znany w całej republice nauczyciel obcokrajowców. Gości witają biały szaman i siedem jakuckich dziewcząt. Szaman składa w ogniu ofiarę z kumysu, końskiego włosia i placków, dziewczęta machają *dejbiir*, plecionkami z kobylich ogonów. Nigdzie nie czytałem o takim powitaniu, ale można je zobaczyć podczas każdej ważnej uroczystości.

Po kilku okolicznościowych przemówieniach przestraszeni konkursowicze stają przed mikrofonem i deklamują, recytują, śpiewają bądź tojukują[71] w ojczystym języku. Czasami wkradają się im rosyjskie słowa, szczególnie w momentach, gdy coś pójdzie nie tak, tekst umknie albo mikrofon nie zadziała. Z tego powodu nawet w najlepszych wystąpieniach słychać jakąś sztuczność, bo wiadomo, że na co dzień powiedzieliby to za pomocą rosyjskich rzeczowników i czasowników. Jakoś same im się pchają na usta i sterczą z jakuckiej frazy jak szydło z worka.

Najczęściej potrzebne są słowa związane z emocjami, kolory, uogólnienia, partykuła „już". Jakby jakucki nie nadawał się do wyrażania emocji, o które zresztą Jakuci posądzają przede wszystkim Rosjan. No i przekleństwa, bo swoich nie mają za wiele.

Prawdziwa na spotkaniu jest natomiast niewiarygodna uroda nauczycielek. Skąd w najbardziej zapomnianych naslegach najodleglejszych ułusów biorą się wychowawczynie i filolożki o tak regularnych rysach i nadzwyczaj udanych konstelacjach oczu, nosa i ust? Brak zęba sprawia tylko, że portret tchnie większym autentyzmem. Stiepan Konstantynowicz twierdzi, że mocny blask oczu i włosów Jakutki zawdzięczają nie kosmetykom, lecz niewiarygodnym ilościom zjadanej na surowo koniny. Mięso tuczonych źrebców to tutejszy przysmak. Mrożona wątroba rocznego źrebaka nazywana jest jakucką czekoladą. Koninę, także tylko mrożoną, podają najwykwintniejsze restauracje stolicy.

Arczy Dżiete podlega Ministerstwu Rozwoju Duchowego, które ma dość trudne zadanie: propagować wierzenia epoki żelaza w społeczeństwie epoki internetu. W przerwie konkursu pracownik naukowy Wiliam Fiodorowicz oprowadza zwiedzających po sali obrzędowej tej dziwnej świątyni. Jej centralna część stylizowana jest na jakucką urasę, czyli namiot z kory brzozowej, który Sacha stawiali na czas letnich upałów. Pośrodku urasy stoi ogromny pal symbolizujący Aal Luuk Mas, jakucki *axis mundi*, oś świata pojawiającą się w *olongcho*, bajkach i podaniach. Uczony wdał się w długi wywód o religii Sacha.

– …a na dziewięciu gałęziach tego drzewa siadają bóstwa Ajyy.

– I cały czas tam siedzą? – zapytałem, zadzierając głowę.

– Nie, siadają w czasie algysów[72] albo składania ofiary. Są tu Dżösögöj… i cała reszta.

– Jaka reszta?

– No, bóg wrona, eee, kruk, Odun Chaan, Tojon Kyył, czyli orzeł. Orły w ogóle są pośrednikami między bóstwami a ludźmi, drzewo łączy trzy światy, my żyjemy w tym środkowym. Szaman potrafi przechodzić z jednego świata do drugiego.

– A skąd dziś bierzecie szamanów?

– Mamy pracownika naukowego odpowiedzialnego za obrzędy.

– Ale młody jakiś. Skąd wie, jak kamłać? – dociekałem.

– Z książek. Choćby waszego rodaka Sieroszewskiego.

– Czy dawni Sacha stawiali takie drzewa?

– No nie, szaman kamłał pod starym modrzewiem albo sosną, ale wychodzi na jedno. W tym swoim widział to, co my tu zbudowaliśmy.

– Ale to jest liściaste, a nie powinno być iglaste?

– Hmm…

– To pewnie pierwsze takie drzewo w Jakucji?

– Trzecie.

Wykład uczonego przerwało rozpoczęcie drugiej części konkursu. Uczniowie recytują wiersze współczesnych poetów, czasem ktoś porwie się na *olongcho*, a ja czekam na utwory Aleksieja Kułakowskiego. Ojciec jakuckiej literatury współczesnej i uczony napisał kilka wierszy, o których powinna wiedzieć Europa. Szczególnie zapada w pamięci cykl poświęcony kobietom. Tymczasem zamiast strof Aleksieja Elisiejewicza z kąta małej widowni rozniosła się zbyt głośna rozmowa dwóch matuzalemów:

– Nazwa „Moskwa” pochodzi od jakuckiego *mas*, drzewo.

– No co ty?

– Przed Ruskimi byli tam Scytowie, a wśród nich Saki, nasi przodkowie.

– Tere-fere kuku.

– Istanbuł tak samo. *Ystan*: skocz, *bul*: znajdź. Brzmi jak rozkaz dla jakuckiego zwiadowcy, nie?

– Niby tak, ale…

– Saksonia? To samo, proszę ja ciebie. Od Sacha.

– Że co?

– Byliśmy tam, zanim Włodzimierz ochrzcił Ruś!

*

Główne obchody Dnia Języka odbywają się w Teatrze Opery i Baletu. W lutowy wieczór w miejscu, z którego rządzili krwawi wojewodowie, zbiera się blisko tysiąc osób. Uroczystym przemowom gości i występom młodych nie ma końca. Ludzie cieszą się z wolności, której nie mieli za Sojuza. Starsi w przerwie wspominają czasy, kiedy *nuuczcza* zabraniali rozmawiać po jakucku w autobusach i miejscach publicznych, kiedy czuło się, że do autobusu lepiej wsiadać jako ostatni i nie zajmować miejsca.

Narzekają, że tak mało nie-Jakutów uczy się języka, że nie używają go politycy i Sacha, którzy wyjeżdżają poza granice republiki. Coraz częściej nie znają go młodzi urodzeni w Jakucku, nawet dzieci jakuckich pisarzy. Dziś już około dwudziestu tysięcy Sacha nie zna swojego języka. W końcu ktoś odważny chwyta sąsiada za ręce i zaczyna korowód *ohuochaj*. Stateczne panie i panowie w szykownych kreacjach i reniferowych untach wirują

w kręgu i powtarzają słowa wodzireja. Po kilku kwadransach nikt nie ma wątpliwości, że taniec jest autentyczny. Jak lutowy mróz.

Sacha z wielkim szacunkiem i wdzięcznością odnoszą się do obcych, którzy interesują się ich kulturą i językiem. Kilka jakuckich słów w ustach cudzoziemca sprawia, że nie trzeba czekać z dzieckiem w kolejce do lekarza, w ogonku w bibliotece albo po koc w akademiku. Studenci zaczepiają obcokrajowców, by zamienić choć parę zdań i przekonać się, czy ów *nuuczcza* rzeczywiście rozumie jakucki. Wszechwładna dozorczyni w akademiku wpuści czasem bez zmiany butów albo szybko ustali, kto ukradł kiełbasę zza okna. Co jakiś czas dzwonią z gazet i telewizji z prośbą o wywiad. Najbardziej jednak jakucki przydaje się w spotkaniach z podchmielonymi studentami. Zanim zacznie się draka, trzeba szybko powiedzieć po jakucku:

– Jestem cudzoziemcem!

*

Słowianom, Tadżykom i przybyszom z Kaukazu trudno jest się nauczyć jakuckiego. Łatwiej Uzbekom i Kirgizom, ale ci, z wyjątkiem sprzedawców, którzy mają w tym interes, nie garną się do nauki. Na dworcu autobusowym można zatem usłyszeć taką oto rozmowę:

– Co to za nazwa Moxsogholloox? Albo Manńyattaach? Żeby sobie tak język łamać…

– Albo ten, no, Ka…, Kaacikat…syyyy!

– Kacikatsy.

– No właśnie.

– Taaa… u nas jest Atyyr Baha. Nie mogli nazwać normalnie? Cyganeczka? Marusia?

– O, o!

– Albo to święto *yhhy… yhyach*! Ja tego nie mogę wymówić! I jak się syn ma tego uczyć? A wiesz, jak jest po jakucku „masło”?

– ?

– *Aryy*! Tak samo jak „wyspa”! I bądź tu mądry: czy on chce masła, czy na ryby?!

# Mama

Arczy Dżiete stoi tuż nad Zielonym Ługiem, w północno-wschodnim kącie Załogu. Z wysokości schodów świątyni kultury biel pomieszana z odległością sama ciśnie się do oczu. W języku jakuckim słychać, jak bardzo przestrzeń, która towarzyszyła Jakutom od ich prapoczątków, zadomowiła się w rzeczownikach i czasownikach. Często sąsiadują w nich ze sobą dwie samogłoski, które są przecież niczym innym jak najmniejszymi fonemami przestrzeni. I pustki, która kształtuje ten stary i tajemniczy język od tysięcy lat. *Chaas*, baar. Chas znaczy „ile", wystarczy jednak trochę przestrzeni w rzeczowniku i mamy *chaas*, czyli „gęś". Bar oznacza „idź", ale nieco więcej miejsca w środku i sens zmienia się w „jest obecny".

Jakucki zawiera ponad trzydzieści procent wyrazów tureckich, około dwudziestu sześciu procent mongolskich i kilka procent słów zaczerpniętych z języków tunguskich. Reszta, czyli ponad czterdzieści procent, ma nieznane pochodzenie i jest niepowtarzalna. Ich dalekie pierwowzory można znaleźć co najwyżej w toponimice południowej Syberii i okolic Bajkału, czyli w dawnej ojczyźnie Kurykanów[73].

Jakucki brzmi twardo, sucho, jak język wojowników, ludzi konkretnych. Doskonale nadaje się do wygłaszania mów i do opowiadania. Twarde, a bezdźwięczne końcówki czasu przeszłego – *but*, *byt*, *büt* – nie pozwalają stracić wątku. Znamienne, że w językach Jakutów, Ewenów, Jukagirów, Czukczów, Koriaków, Nieńców, Ewenków, jak i Ketów czy Ulczów nie ma szeleszczących ani chrzęszczących dźwięków. Może to dlatego, że nie mieli gdzie usłyszeć szelestu, szmeru, szumu i chrzęstu? Nie słyszeli klonu, topoli, buka ani dębu. Narody Północy znają kilkadziesiąt gatunków brzóz i wierzb, gatunków, które szeleszczą, ale mało ich. A ich lancetowate liście, spadłszy na mszyste podłoże, pod stopami zachowują się cicho. Szybko gniją i giną pod śniegiem.

Polskie słowo „przestrzeń", za pomocą którego trzeba sobie tu radzić, nie obejmuje jakuckich obszarów, a co najwyżej je przenika. Jakby powstało w lesie, jakby idący szukał przestrzeni, przejścia, przestrzału. Jakuckie *ien* dużo lepiej oddaje charakter rozległego biomu Jakucji. Może dlatego, że przede wszystkim znaczy „powierzchnia"? Długo myślałem błędnie, że to

to samo słowo co *ije*, matka, i zapisałem nawet kiedyś w zeszycie: „Przestrzeń – mama”.

## Tam

By radzić sobie z geografią i móc opowiadać o przestrzeni i kierunkach, Jakuci używają kilku rodzajów zaimka „tam”.

*Inńe* – to „tam”, które jest daleko. Na przykład na południu, nad górską rzeką Olokmą. Często oznacza więc tundrę, góry, jeziora. Czyli mchy, granit i wodę. Znaczy też „dawno”.

*Onno* – używam jako „tam”, które znajduje się nieco bliżej. Ciekawe, że nie tylko wskazuje miejsce, w którym coś się znajduje, ale też miejsce, do którego się zmierza. Jeśli się jedzie dokądś, to właśnie *onno*.

*Antach* – „tam”, dziwne, ale zupełnie go nie potrzebuję.

*Anaraa* – właściwie nie „tam”, a „tamta strona”. Z tamtej strony góry, miasta. Ale też „z tamtej strony stu lat”, czyli sto lat temu. Jak gdyby było jakieś miejsce, w którym można dotrzeć do tamtej strony.

Takie czy inne „tam” w Jakucji często okazuje się puste, bezludne i nieosiągalne.

Ejik leży sześćset kilometrów na północ od Olenioka, stolicy ułusu oleniokijskiego, a ten dwa tysiące trzydzieści kilometrów na północ od Jakucka. Z Ejiku można pojechać tylko do Olenioka, ewentualnie do Żylindy, drugiej wsi w ułusie wielkim jak Polska, a zamieszkanym przez cztery tysiące sto szesnaścioro ludzi. Zgoda, jest jeszcze wioska Charyjalach, ale to trzy kilometry od Olenioka, więc się nie liczy. Co jeszcze jest w Olenioku? Osiemdziesiąt dziewięć samochodów osobowych, sześćdziesiąt pięć ciężarówek i sześć autobusów.

Latem 2004 pani Aelita Jefriemowa poleciała z Olenioka do Jakucka, zabrawszy ze sobą kota Kuzię. Z Jakucka wybierała się na wakacje do Soczi, nie chciała, by Kuzia był sam w domu, zostawiła go więc u przyjaciół. Po kilku dniach Kuzia nagle zniknął. Pani Aelita po powrocie z wczasów

i trzech miesiącach żałoby pogodziła się ze stratą pieszczocha, ale pewnego dnia ni stąd, ni zowąd w drzwiach swojego domu zobaczyła coś szarego. Myślała, że to czapka spadła z wieszaka, tymczasem był to Kuzia. Przeszedł z Jakucka do Olenioka dwa tysiące trzydzieści kilometrów. Uniknął puchacza, puszczyka mszarnego, rosomaka i wilka. Wymknął się puszczykom uralskim, orłom przednim i jastrzębiom. Stracił koniec ogona, ucho, wagę i trochę sierści. Pazury miał prawie zupełnie starte.

Co roku w ogromnej republice poszukuje się około dwóch tysięcy osób. Co roku znajduje się blisko sześćset trupów. Główne przyczyny śmierci i zaginięć to alkohol, chłód, odległość i biel.

*Matierik* (ros.) – kontynent. Jeszcze w czasach carskiej zsyłki tym słowem katorżnicy z Sachalinu określali centralną Rosję. Po rewolucji wraz z językiem więźniów przeniosło się na Kołymę, która oddzielona od Rosji oceanem tajgi wydawała się zekom odizolowaną od świata wyspą. Słowo używane do dziś, kiedy mowa o podróży do centralnych rejonów Rosji.

*Tajgha* – oznacza różne rodzaje syberyjskich borealnych i górskich lasów. Ale w jakuckim i syberyjskim rosyjskim jest też synonimem dali. Odległości. Pustki. I zawiera nawet pewne ostrzeżenie przed podróżą: tam już tylko tajga.

## 23 lutego

Luty, zamiast dziewiątym, mógłby nazywać się miesiącem hulanki.

Ludzie pozdrawiają się tu niemal z okazji każdego święta i chętnie je obchodzą: „*S Dniom Swiatogo Walentina*”, „S Dniom Woinskoj Sławy Rossi*ji*”, „S Dniom Jakutskogo Jazyka”. Podobnie jak Rosjanie, Jakuci pozdrawiają się nawet po wyjściu z bani: „*S logkim parom*” – coś jak „gratuluję lekkiej pary” (tu obowiązkowa seta), po powrocie z urlopu: „S wozwraszczenijem na rabotu” czy po defekacji: „*S oblegczenijem*” – winszuję ulgi. A dziś słyszę wciąż: „S Dniom Zaszczytnika Otieczestwa”, czyli wszystkiego dobrego z okazji Dnia Obrońcy Ojczyzny. Dziwię się, że pozdrawiają także mnie, ale portierki tłumaczą, że jestem mężczyzną, czyli obrońcą. Przed kim? Przed wrogiem. Jakim? NATO.

Z okazji 23 lutego można podłączyć dziadkowi internet za dwadzieścia trzy ruble. Kupić taniej perfumy, zamówić piosenkę w radiu, a jeśli brało się udział w wojnie w Afganistanie albo w Czeczenii, to nawet kupić taniej kiełbasę w sieci Chotu As. Dawniej nazywano Dzień Obrońcy świętem Armii Czerwonej i Floty Morskiej, od niedawna jest dniem wolnym od pracy. Jeśli przypada w poniedziałek, to już w piątek po południu państwowe instytucje i prywatne firmy pustoszeją. Z czytelni archiwum wyproszono mnie już o czternastej. Na ścianie zawisła wielka gazetka ze zdjęciami i *dossier* zatrudnionych w archiwum zaszczytników.

Dzień wolny w Jakucji – jak i w całej Rosji – nie może obejść się bez *zastolija* i *wypiwki*, toteż po wszelkich obchodach rubryki kryminalne „Jakucka Wieczornego" pęcznieją i nierzadko zajmują dwie szpalty. Czasem dzieje się tak już w dniu święta, bywa, że dzień przed, bo co gorliwsi celebranci zaczynają łoić już w wigilię ważnej daty.

Najczęstszym prezentem z okazji Dnia Zaszczytnika jest w Jakucku nóż.

Głęboką nocą 22 lutego na pogotowie przywieziono dwudziestoczteroletniego mieszkańca ulicy Koczniewa (Sajsary) z kłutą raną brzucha. Zatrzymano już jego osiemnastoletnią znajomą z sąsiedztwa.

Tego samego wieczoru na ostry dyżur przywieźli Jegora P., lat dwadzieścia osiem. Diagnoza: cios nożem w pierś. Zatrzymano jego krewną. Spór miał miejsce przy świątecznym stole.

23 lutego na czterdziestym szóstym kilometrze drogi Jakuck–Pokrowsk znaleziono martwego mężczyznę. Azjata, na oko trzydzieści pięć lat. Oględziny wykazały rany cięte szyi. Z miejsca przestępstwa zabrany został jakucki nóż samoróbka.

Późnym wieczorem 23 lutego we własnym domu w siole Magras od uderzenia nożem w serce zginął czterdziestotrzyletni mężczyzna. Zatrzymano podejrzewaną o zabójstwo żonę denata, o rok młodszą Jelenę Z. Przyczyna jak zawsze ta sama: *zastolnaja* kłótnia.

Mniej więcej w tym samym czasie z domu na ulicy Kuzmina w Jakucku na pogotowie przywieziono czterdziestoletniego mężczyznę. W czasie *zastolja* pokłócił się z żoną i zdenerwowany sam wbił sobie nóż w brzuch.

Nad ranem 24 lutego na ostry dyżur w Jakucku dotarł mieszkaniec bursy z ulicy Pięćdziesięciolecia Armii Radzieckiej, dwudziestodwuletni Andriej I. z kłuto-szarpaną raną miednicy. Zatrzymano jego przyjaciółkę Lubow S.,

lat dwadzieścia jeden. I w tym przypadku spór miał miejsce *wo wriemia zastolja*.

W biały dzień 24 lutego na milicję zgłosiło się dwóch mężczyzn zaatakowanych w okolicy wioski Tiit Aryy przez tyluż uzbrojonych w noże napastników. Ukradli im siedem tysięcy rubli (siedemset złotych). Miejscowi milicjanci zatrzymali już podejrzanych: członka ochotniczej straży pożarnej z wioski Mochsogolloch i jego kolegę.

Wspomnieć trzeba jeszcze gwałt w podejrzanym hoteliku na Sajsarach, parę włamań, samobójstwo studenta na ulicy Kuzmina, uduszenie się spalinami dwóch wypitych rybaków w UAZ-ie, ograbienie staruszki na Jarosławskiego i parę wypadków, o których Jakuck dowie się dopiero za jakiś czas. Hucznie obchodzony dzień Świętego Walentego był nieco spokojniejszy, ale już za kilkanaście dni Dzień Kobiet – wielka hulanka na ogromnych przestrzeniach od Sachalinu po Smoleńsk. A potem Dzień Kosmonauty, Hydraulika, Kołodzieja, no i *majskie prazdniki,* 1 i 9 maja, akurat na zimowego kaca. S prazdnikom, wesołego święta, towarzysze!

## Miłość

Od kilku tygodni D. wynajmuje u nas pokój. Pochodzi z małej wioski na Kołymie i odkąd przed trzema laty przyjechała na studia, nie była jeszcze w domu. Uczy się zaocznie w liceum sztuk pięknych, z powodzeniem uczy się śpiewu, tańca i gry na pianinie. D. często nocuje poza domem, ma trzy telefony, ale ostrożnie spogląda na wyświetlacz i nie zawsze odbiera. W nocy schodzi na dół i długo przesiaduje w samochodach, które zajeżdżają do niej pod nasz blok. D. jest bezrobotna, ale czesne opłaca sama. Jada w najdroższych restauracjach. Po mieście porusza się taksówką. No i budzi wszystkich, wracając nad ranem, za co przeprasza zjawiskowym uśmiechem.

W Jakucku, jak i w Polsce, latem miłość uprawia się szczególnie chętnie na łonie natury. Na wzgórzach, nad rzeką, w daczach. Gdzie peryferia, ekotony i korytarze ekologiczne. Zakochani w krzakach podczas święta *yhyach*, miłość na murku pod pomnikiem Bekietowa albo na Zielonym Ługu. Staniki, majtki, prezerwatywy. Piersi, zadki, waginy na kartkach czasopism porozrzucanych w tajdze. Natomiast zimą kochankom pozostaje samochód

albo mieszkanie, które można wynająć w centrum nawet na godzinę. To jedno z częstszych ogłoszeń w rubryce „Nieruchomości”.

O prostytucji opowiedział mi jakucki taksówkarz. Twierdzi, że rozwożenie dziewczyn z agencji do klientów to dobre zajęcie, bo kursy ma się przez całą noc. Cztery, może pięć na dziesięć dziewcząt jest w wieku studenckim. Klienci zaś to głównie przyjezdni i przejezdni. Ale trzydzieści burdeli w dwustutysięcznym mieście to zdaniem taksówkarza trochę za dużo.

## 24 lutego

Wiatr z północy, minus czterdzieści trzy stopnie. W drodze do archiwum uciekałem przed psem i na podwórku zahaczyłem o coś, co znowu rozdarło mi rękaw. Nie wiedziałbym o tym, gdyby nie piękny szew, który odkryłem już po pracy, zakładając kurtkę.

– To szew chirurgiczny – wytłumaczył mi uprzejmy szatniarz.

– To pan zszył?

– Żeby pan nie zamarzł.

– Ale jak dokładnie! Nawet stopień zimna się nie przeciśnie.

– Bo ja jestem chirurgiem. Zszywałem tak wiele razy. Tylko że ludzi.

– A jak chirurg zostaje szatniarzem?

– W tym kraju to bardzo łatwe – powiedział smutno, bardzo smutno.

## Koniec

Dziś na Kriestiańskim odwiedziłem Öndö. Znów opowiadał o przesiedleniu. W dziale nabiału, gdzie za dziesięć rubli można sobie nalać kubek byyrpachu z krowiego mleka, spostrzegłem staruszkę, która zaszyła się w kącie z plastikowym stakanczykiem. Przed wypiciem ukradkiem zamoczyła dłoń w mleku i popryskała bielą wokół jak wodą święconą.

– Co tu robicie, babciu[74]? – Zebrałem się na odwagę.

– Karmię, nie widzisz? – rzuciła zła, że ktoś ją zdybał.

– Kogo, babciu?

– *Sir-uotu iczczite* (opiekuna miejsca) – odparła wprost, jakby tu z nami stał.

– Ale gdzie, w sklepie?

– Wszędzie, gdzie jestem, synu. Ale jak jesteś Ruski (*nuuczcza*), to nie zrozumiesz. Poza tym to koniec zimy. Koniec!

A dziś było minus dwadzieścia stopni. W południe.

## Słówka

*Kün* – oznacza słońce, dzień, ale to także imię kobiece. W drugiej dekadzie lutego wszystkich tych znaczeń jest w Jakucku coraz więcej. Słońce wciąż jednak zachodzi daleko na południu, prawie na przedłużeniu prospektu Lenina. Kiedy się chowa, wygląda jak kula, która lada moment potoczy się po torze wielkiej ulicy i zbije sylwetkę wodza rewolucji jak kręgiel. Według starej legendy w lutym Byk Zimy złamał pierwszy róg i dlatego na świecie zrobiło się cieplej. Ale róg chyba nie do końca się jeszcze odłamał, bo jednak wciąż zimno.

*Külük* – cień. Jakże tęskniłem do własnego cienia, który jest przecież najpewniejszym potwierdzeniem bycia tutaj. Nie widziałem go blisko pięćdziesiąt dni. Aż podskoczyłem na jego widok. Tymczasem Jakuci i Ewenkowie nie pochwalali igraszek z cieniem. Uważali go za emanację duszy człowieka, dowód, że się żyje i istnieje.

*Podsnieżnik* (ros.) – czyli nasz przebiśnieg, *Galanthus nivalis*, wczesnowiosenny kwiat z rodziny amarylkowatych. Zwiastun wiosny. Ale i trup człowieka znaleziony w zimowych zaspach. Też zwiastun wiosny. Paskudna analogia, bo i kwiatu, i trupowi coś tam spod śniegu wystaje. To w łagrach podsnieżnikami określano nieboszczyków, którzy sterczeli spod śniegu na wiosnę. Najwięcej znajdowano ich tam, gdzie zimą prowadzono wyrąb lasu. W Jakucku i na Syberii słowo aktualne do dziś.

# Wiosna 2009

# Słownik języka jakuckiego XII

## *Kulun tutar*, miesiąc narodzin źrebaków – marzec

Koniec bezimiennych miesięcy. Za miastem pojawił się widok, a z nim od razu opis: marzec to miesiąc narodzin źrebaków. Jakuckie kuce spędzają całe życie w tajdze i na alaasach, poród odbywa się pod gołym niebem. Wystarczy wyjechać kawałek za Jakuck, by na przydrożnym pastwisku zobaczyć zdziwionego światem kucyka wielkości zabawki. Brak mu tylko biegunów. Najwięcej koni o tej porze roku rodzi się jednak na południu Syberii, dlatego też jakuckie nazwy miesięcy uznawane były za jeszcze jeden przyczynek do teorii południowego pochodzenia Jakutów. Nazwa „miesiąc porodu źrebaków" byłaby odpowiednia dla obszarów na południe od Bajkału i okolic Ałtaju. Podobnie nazwa kwietnia: „miesiąc spływania lodu". Bo tu lód popłynie dopiero w maju.

## Dwunasty dzień miesiąca źrebaków

Pierwszy taki dzień. Można zdjąć puchowy kaptur, podwiązać uszy uszanki, ba, wystarczy wełniana czapka. Słońce jak pies liże po policzkach i ciepło łasi się do nóg. Przechodnie wyraźnie zwolnili. Dziewczyny śmieją się głośno. Dwa wychudłe kundle kopulują w kącie widoku. Po wschodniej stronie Lenina słońce operuje cały dzień, śnieg topnieje szybciej, odsłaniając małe połacie asfaltu. Ludziom tam cieplej, więc zdejmują czapki i rozpinają kurtki. Ci *vis-à-vis* pozostają w cieniu i wciąż marzną, opatuleni jak w lutym. Tam wiosna, tu zima.

Już od kilku dni zadzieram głowę, żeby sprawdzić, czy lecą gęsi. Mimo kakofonii miasta czasem łatwiej je usłyszeć, niż zobaczyć, a przy odrobinie wprawy po głosie można odróżnić gatunek. Lecące gęsi zbożowe odzywają się charakterystycznym „ang, ang" i „kajak". Dość łatwo odróżnić je od no-

sowego „gang, gang, gang” gęgawy, która jest tu zresztą niezwykle rzadka. Najłatwiej rozpoznać gęsi białoczelne. Wołają wariacjami dźwięku „kaujuu” albo melodyjnym „kju-kjok”, które czasem przypomina ujadanie małego psa. A właściwie sfory, wszak gęsi lecą w kluczu.

## Wiosna w autobusie

– O *bladź*! Zoba! Zoba, jaki ma nos! – Usłyszałem dziś w autobusie pełnym młodych Sacha.

– O kurwa, jak stary łoś! (Śmiech).

– Jakbym miał taki, tobym się schował pod ziemię!

Ani się domyślali, że rozumiem.

– Ja to bym się chyba powiesił…

– Cała moja rodzina, jak się złoży, nie uskłada na taki! (*Crescendo*).

– Chyba żeby policzyć twojego psa, *bladź*! (Rechot osiąga maksimum).

*Bladź*, czyli rosyjską „kurwę”, podobnie jak inne przekleństwa zaczerpnęli Jakuci z języka Puszkina. Tak samo zresztą słowo „chuj”. Sam jakucki niemal pozbawiony jest przekleństw. Młodym mężczyznom nie są potrzebne, bo jeśli coś jest nie tak, to od razu ruszają do bitki. No, jakieś można znaleźć w folklorze, ale raczej w stylu: „oby ci krowa zdechła” albo „żeby ci słońce więcej nie wzeszło”.

Nasze „kurwa” furkoce jak biało-czerwona chorągiewka. Ruskie *bladź* ginie miękko we frazie jak noga w błocie. Ale w rosyjskiej frazie. Do jakuckiej jakoś nie pasuje. Prawie zgrzyta. A cały passus wziął się stąd, że zdjąłem na chwilę czapkę i szalik.

## *Bomż*

Widziałem dziś bomża. Wypełzł z jakiegoś barłogu przy rurach z ciepłą wodą i cieszył się ogromnie ze słońca. Siedział na chodniku pod hotelem Lena i pozdrawiał przechodniów. Radość biła od niego niezgorzej niż zimowy smród. Jak z niedźwiedziej gawry w marcu. Podzieliłem się z nim kasą, żeby mieć udział w tym jego szczęściu. Śmierdziało jeszcze po drugiej stronie ulicy, ale to przecież też znak wiosny, pocieszałem się, okadzając papie-

rosem. Marcowy szczęśliwy bomż, który cudem przeżył zimę, jest w Jakucku jak pierwsza jaskółka. A właściwie wrona. Jaskółki tu nie dolatują. A wiosnę zwiastują wrony. To całkiem słuszne, bo idealnie czarne ptaki są zaprzeczeniem dokuczliwej bieli.

## Słówka

*Haroldżyk* – fragment wiosennego widoku, czyli ciemna plama powstała na ziemi po stopniałym śniegu. Po polsku przetaina. Widać ją z daleka, bo tworzy mocny kontrast z ocalałą wokół bielą. Pewny zwiastun wiosny, obok wrony i bomża.

*Kömürüö* – stary a czysty śnieg zalegający od miesięcy pod lodową szrenią, czyli stwardniałą pokrywą śnieżną. Ma postać kulek i grudek. Wystarczy sięgnąć ręką w głąb zaspy, by wydostać garść takich drobnych lodowatych landrynek i zaspokoić pragnienie. Nie zawadzi przegryźć zeszłoroczną borówką, jeśli znajdzie się w pobliżu. Wiosną na wyprawy do tajgi nie trzeba więc zabierać wody.

*Dżergelen* – szczególny rodzaj widoku. Jeszcze jedna hipostaza bieli, ale już wiosenna. Chodzi o iskrzenie i migotanie, o miraże na wielkich polach lodowych i połaciach śniegu wokół Jakucka. Zaspy topnieją, stają się chropowate, a promienie załamują się na nich, ścierają i bryzgają wokół jak mocz oddawany z góry. Ewenkowie tęczę nazywali sikami lisa.

*Dżergelen* doprowadza do bólu oczu, a nawet ślepoty, dlatego rdzenni mieszkańcy Syberii już dawno wymyślili okulary. Wykrojone ze skóry bądź kory, przypominały maskę Zorro o wąskich jak oczy Nieńca otworach. Zabrakło mi takich, kiedy dziś gapiłem się pół dnia w *dżergelen* na zjawiskowych pastwiskach północnej części Tujmaady. Gdy miraż rozwiał mi autobus 203 do Namu, pomyślałem, że warto by zobaczyć *dżergelen* w ujściu Ałdanu do Leny. Miejsce to odwiedził Sieroszewski na krótko przed wyjazdem z Jakucji.

# Nam

Tylko w Namie można zobaczyć, jak nabrzmiały po zimie Ałdan cierpliwie i długo wchodzi w Lenę. Dwa tysiące kilometrów bieżącej wody zlewa się z czterema tysiącami i łączy w rodzaj metarzeki, pradrogi, pełnej ryb, ścieków i metafor. Pamiętając o tym, że rzeka to jedna z najczęstszych alegorii czasu, a być może sam najczystszy czas, warto spojrzeć na świat i zegarek w takim miejscu. Albo popatrzeć, jak orły przednie próbują objąć widnokrąg, hulając nad doliną Engsieli. Przedziwne są te ich zapasy z horyzontem i kpiny z grawitacji. Sama Engsieli też jest warta grzechu: można wędrować nią cały dzień i nie spotkać żywej duszy, nie znaleźć bitej drogi czy choćby szlaku. Zabłądzić tu trudno, bo gdziekolwiek pójść, trafi się na Lenę albo na wysoki zachodni kraniec doliny, skąd widać świat jak na mapie.

Przede wszystkim jednak można trafić na ślady bohaterów opowieści Wacława Sieroszewskiego. Dlatego warto przyjechać, kiedy jeszcze leży śnieg i kiedy łatwiej tropić. W tym kraju położonym na końcu świata musi być jakieś przejście czy ścieżka prowadzące w fabułę jego wspomnień. Pień starego modrzewia? Może przerębel na Lenie, jakaś dziura w czasie? Albo miejsce po ikonostasie w starej cerkwi zamienionej w wiejski klub Wstriecza? *Wstriecza* po rosyjsku to przecież spotkanie.

Autobus mknie drogą, którą ze swojej zagrody Sieroszewski jeździł do Jakucka, a ja wpatruję się w wychuchany na zamrożonej szybie przerębel. PAZ minął już Marchę, jedną z kilku wsi założonych przez zsyłanych tu sekciarzy-kastratów, staranował zaspy Kildiamu i Töngülu, gdzie Sirko kupował ziarno na siew i gdzie w 1892 roku powalił go atak reumatyzmu, po czym dał susa z doliny na leśny płaskowyż, oddzielający Tujmaadę od jej północnej siostry Engsieli. O porastającej wyżynę tajdze pisał Sirko, że była pełna zbójów nękających kupców, którzy wracali tędy z futrami od Dołgan i Tunguzów. Trudno wyobrazić sobie jakichkolwiek ludzi w tej gi-

gantycznej lodówce. Tylko nagie modrzewie sterczą jak zamrożone szkielety ryb. Pod nimi karty śnieżnego brystolu upstrzone tropami zwierząt. Słońce już nisko, więc w odciskach lisich łap cień. Ich długie wielokropki giną w tajdze i obiecują jakiś dalszy ciąg.

Czy nie nad tym zadumał się Sirko, kiedy w grudniu 1887 roku z córką i pod strażą sunął tędy saniami na nowe miejsce zesłania? Jeśli tak, to zdaje się, że myślał też o mnie. I o tym, że w 1892 roku w końcu dostanie paszport, wyjedzie do Irkucka i napisze *Dwanaście lat w kraju Jakutów*. Etnograficzne *opus magnum* przyniesie mu sławę i złoty medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, otworzy drogę powrotu do Polski. Trudno wyczytać przyszłość z tropu lisa czy gronostaja, ale Sirko tropił wybornie. Uczył się od kozaków i Jakutów w Wierchojańsku, od Czukczów i Tunguzów na Kołymie. Niektóre odciski łap są bardzo charakterystyczne, odczytać je można nawet z okna autobusu, a co dopiero z sań.

– Spójrz, Maniu! Ten łańcuszek jak paciorki kręgosłupa to rudy mykita, widzisz? A to zając, jakby kto cztery monety w biegu zgubił. A tu jak guziki i haftki kaftana, równolegle, to łasica…

Może tak było, może nie, ale gdy zobaczył wiewiórkę, musiał pomyśleć o tamtym dniu na uroczysku Ebee. Ułus bajagantajski po Wierchojańsku i Kołymie był trzecim miejscem jego zesłania w Jakucji. Mieszkał z pięcioletnią Marysią i Kornelem Bagrynowskim w samotnym balaghanie nad Ałdanem. Od dwóch dni nie mieli nic w ustach, kiedy nagle do izby wpadł Kornel: „Wiewiórka na drzewie!”. Sirko chwycił rusznicę, wyskoczył na zewnątrz, strzelił i chybił. Zawiedzionemu i głodnemu towarzyszowi tłumaczył, że nie założył okularów. Teraz też ciężko byłoby trafić, bo trzęsie jak diabli.

– Nie wychylaj się, Maniu, wypadniesz!

*

W plecaku mam wspomnienia Sirki, *Dwanaście lat w kraju Jakutów* i notes zapełniony wypisami z archiwum i książek. W głowie jak śniegu pełno nazw miejsc, imion i dat. Trochę tego za dużo, więc chętnie wpatruję się w śnieżny panoptikon za szybą. Nie ma tam nic do zapamiętania, nic, co mogłoby obciążyć pamięć czy podpowiedzieć czas. Biało. Czysto. Pusto. Gil? Tego znam doskonale, nie wymaga więc wysiłku i nie zajmuje miejsca

w głowie. Ogląda się go lekko: wszystkie półtony kolorów zimy, niezdecydowane szarości i brudne jasności stężały w czerni ogona i bieli kupra. A w piłeczkowatym brzuchu skrzepła czerwień, podobna do tej, którą sączą pnie modrzewi i blade słońce. Zachody miewają teraz taki gili, trochę kiczowaty kolor.

Hen, już za górą i za lasami PAZ zanurkował w otwarty na oścież widok, na którego dnie przywitała nas Engsieli. Z przeręblа w szybie autobusu wychynęło parę drewnianych domów i utonęła nazwa Nikolskoje. Sirko pisał, że tu zsyłano kryminalnych. Osada słynęła z paserów i złodziei, różnej maści łapserdaków, awanturników i obiboków. Zawsze można było tu wypić, przegrać w karty i pohulać, kupić taniej kradzionego konia albo stracić własnego. Feliks Kon, również zesłany do Namu, poświęcił wiosce nawet małe opracowanie naukowe dotyczące uprawy ziemi na Północy. Wspomina w nim jednak, że niezwykle trudno było mu zbierać materiał, bo każdy miał tu coś do ukrycia i pytań nikt nie lubił. Gdy Kon dociekał, gdzie też podziało się kilku gospodarzy, których nigdy nie mógł zastać, usłyszał: „Odeszli w przestrzeń”. Swój artykuł pokazał samemu Leninowi, gdy spotkali się w Minusińsku. Wódz ponoć piał z zachwytu.

Za Nikolskoje w przeręblu mignęły jeszcze Chomustach, Kyhył Syyr, Chamaghatta, aż wypłynął Nam. Nam to dobra nazwa dla celu, punktu na mapie. Dobrze jest zmierzać do Namu, kiedy dookoła biało. Albo: tu leży Nam. Tylko nazywasz, a już jakbyś chciał pokazać. Tak to jest, jak samogłoska utknie między spółgłoskami. Jak łapa wilka w potrzasku. Szczupak w oku sieci. No to Nam.

## Nam–Appany

Imieniem swojego praszczura, starca Nama, Sacha ochrzcili nie tylko punkt, ale też kawał przestrzeni. Bywa tu nazywana ułusem namskim, a bywa też doliną Engsieli, czyli może być rodzaju męskiego lub żeńskiego. Chociaż nie – przecież w jakuckim nie ma rodzajów. Rodzaj trzeba sobie wydedukować z kontekstu. Stare pieśni i algysy mówią jednak wyraźnie o Engsieli jak o kobiecie. Bardzo zresztą trafnie, bo przestrzeń tutaj rzeczywiście ma dużo dziewczęcych cech.

Stolica ułusu nie ma szans na znalezienie się w bedekerze czy kompendium pilota wycieczek. Nam to rozrzucona lekką ręką konstelacja drewnianych domów, szczelnie ogaconych, podpartych, schowanych za wysokimi parkanami. Niektóre wyglądają na dawno porzucone, ale kominy jeszcze dyszą, wyświecone kłódki i klamki łypią nieufnie na przechodnia. Tu i ówdzie pośmierdują swojsko chotony, niskie jurty dla krów. Całość sprawia jednak dobre wrażenie dzięki drewnu, zawsze dającemu spojrzeniu doskonałe oparcie. Próżno jednak szukać tu jakichś mistrzowskich przykładów syberyjskiej snycerki. Ostatnie stare domy zniszczono w 2004 roku, do dziś zostały tylko szpital, budynek milicji i cerkiew Jana Chrzciciela zamieniona w komunałkę.

Jakuck leży sto kilometrów na południe, ujście Ałdanu do Leny drugie tyle na północ, miejsce, gdzie stał dom Sirki, „pięć wiorst” w tym samym kierunku, za wsią Appany. Na zachód, aż po Ural mam jakieś osiem tysięcy kilometrów tajgi i bagien w linii prostej, na wschód cztery kilometry do Leny i dwa tysiące do Magadanu. Kieruję się na północ, ale nie główną ulicą Czernyszewskiego, bo to droga nowa i niewiele pokaże. Znaleźć tam można najwyżej kilkanaście drewnianych domów i zabudowania paru upadłych przedsiębiorstw, a pośród złomu – na bramie czy starej tablicy przodowników pracy – mignie profil łysego Azjaty z czarcią bródką i niby to myślącą fizys. Zamajaczy też statua ciągnika, najczęściej gąsienicowego. Chociaż kto wie, może po prostu tak wysoko zaparkowali pośród zasp i stosów złomu?

Jeżeli trafisz do Namu wieczorem czy w czasie zamieci, wystraszy cię nie na żarty ogromna głowa wyzierająca z mroku i śniegu. Jest wielka jak kula, która goniła Indianę Jonesa w *Poszukiwaczach zaginionej arki*. Ale spokojnie, to tylko Maksim Kirowicz Ammosow, duma ułusu i całej republiki. Ammosow uważany jest za jednego z ojców jakuckiej państwowości, o którą walczył w szeregach bolszewików w pierwszych latach po rewolucji. Za to najpierw go rozstrzelano, a trochę później postawiono mu pomnik. Zapytasz: dlaczego? To samo pytanie w chwili aresztowania musiał sobie zadawać Maksim Kirowicz.

*

Pierwszy trakt, który wiódł z Namu na północ, to dziś niepozorna uliczka. Mija dawną cerkiew Jana Chrzciciela, cmentarz i już jako leśna droga biegnie w kierunku wiosek Appany, Bötüng i Chatyryk. Wydeptywał ją i długo wspominał Wacław Sieroszewski. Tędy jechał z zarządu gminy na nowe miejsce zesłania zimą 1887 roku. Potem wielokroć chadzał nią do Namu wysyłać niezliczone podania i prośby. Widziałem je w archiwum, przyniesione właśnie tą drogą. Tą samą, którą tak często przekradał się do Jakucka, a latem 1892 roku pędził furmanką na parostatek. Teraz idę nią ja.

Dukt biegnie najpierw przez drewniany Nam, który od czasów Sirki rozrósł się i dziś liczy aż pięć tysięcy mieszkańców. Za ostatnimi domami dróżka chowa się pod śniegiem, jak pardwa albo cietrzew, a nie dość tego – ucieka do modrzewiowego boru. Nic dziwnego, prowadzi przecież prosto do opowieści pisarza, a tę trudno wytropić. Ja jednak próbuję i brnę w śniegu po kolana. Zostały jakieś trzy kilometry, pora obiadowa. Okulina pewnie piecze właśnie podpłomyki z własnej mąki. O tej porze roku Sirko głównie pisał i czytał, więc zakładam się o butelkę kumysu, że pracuje nad powieścią *Na kraju lasów*. Sprawdzę, czy rzeczywiście stawiał na stole lustro i opisując nastrój bądź reakcje bohatera, stroił do siebie różne miny. Mała Mania bawi się z synkiem ślepej Ketris. Ciekaw jestem, czy ona też, jak Jasia, odmienia polskie słowa przez jakuckie przypadki. Wieczorem pogadam z Bagrynowskim i Coblem o ich szalonym planie ucieczki Leną na północ i wzdłuż wybrzeży Oceanu Lodowatego do Ameryki. W okolicznych borach musieli zbijać swoją łódź. Trzeba by ich uprzedzić, żeby nie zakładali żagla, póki nie wypłyną daleko na Lenę. Tu nikt żagla nie używa, więc maszt z płótnem szybko ich zdradzi. I czy mi się zdaje, czy to wierny Ajaks alarmuje gospodarzy?

Patrzę za siebie na wydeptany trop i dziwię się, jaka nieprawdziwa ta droga. W Engsieli duje teraz „ten, który zdmuchuje śnieg z pagórków”, więc pod wieczór już jej nie będzie widać. Droga czy tylko odcisk w przestrzeni? Wytarta, zużyta część krajobrazu? Iluzoryczna jak minuta, efemeryczna jak sam widok albo horyzont. Aż dziwne, że prowadzi tylko do miejsca, a nie do daty. Na przykład w rok 1889.

Słońce darowało dziś sobie kiczowatą orgię na zachodzie i dogasa skromnie. Trochę jak żarówki za grubymi warstwami mętnego lodu, który zawłaszczył okna wiejskich domów. *Parus cinctus*, sikora północna, sieje

pojedyncze dźwięki na pastwiskach za wsią, doskonale intonując ciszę. A ja ją dziurawię, wybijając w zaspach głęboki trop. Trop?

W języku jakuckim trop człowieka czy zwierzęcia od razu staje się jego drogą. *Kihi suola* – trop człowieka, a dosłownie droga człowieka, *börö suola* – droga wilka, *ehe suola* – droga niedźwiedzia, *siegen suola* – droga rosomaka. Swoją drogę mają też gronostaj, łasica, a nawet wiewiórka i mysz. Jest przecież w jakuckim kilka słów oznaczających ścieżkę, a tu zaraz droga. Pobrzmiewa w tym jakiś archaiczny szacunek dla wysiłku i odwagi wędrującego. Także zwierzęcia.

Droga, na przykład ta gronostaja na śniegu, bywa nie bardziej widoczna niż droga sójki w powietrzu czy lipienia w rzece. „Ten, który nadyma zaspy na drogach" chuchnie i już ani śladu po wklęsłościach łap. Jak po Sirce. Śnieg czy czas – co za różnica?

Dziś wiatr dął cały dzień, jakby chciał zatrzeć wszystkie tropy i zheblować mi rysy twarzy po jakucku. Jeszcze parę dni i zacznie wiać „ten, który nosi na rękach słońce". Może już nosi, bo od paru dni światło zatacza coraz większe łuki na niebie: wieczór, a chatki Appany majaczą całkiem wyraźnie. Włócząc się po Engsieli jesienią, nocowałem u przygodnych znajomych, w przedpokojach i sieniach. Teraz mam dla siebie cały pokój u dyrektora tutejszej szkoły, pana Dmitrija Iwanowicza Nogawicyna. A po drodze do wychodka widok na górkę, na której mieszkał Sirko. Kiedy przed snem poimy w przeręblu dyrektorskie krowy, wiem, że odbija się w niej ta sama mapa nieba, którą pisarz miał w oknie o tej porze roku.

## Appany

Rankiem spojrzenie szuka obrazu: wzgórze i śnieg. Jak świeża, dopiero co zdarta skóra białego rena. Zaspy. Skóra posypana solą, rzucona byle jak. Widziałem taką u czytyńskich Ewenków w górach Udokan, jeszcze dymiącą ostatnim ciepłem. Im zimniejsza, tym bielsza. Przeszyta równym ściegiem wilczego, a może psiego tropu.

Drewniane obórki i zagródki Appany jak wysypane z pudełka trochę samopas zajmują przestrzeń. Kiedy gna między nimi spłoszony byk, widać, że domki się trzęsą i ledwo trzymają zaułków. Któryś z krewkich herosów *olongcho* pogruchotał szereg obejść uderzeniem bicza, a asfaltowa pręga po

nim to jedyna we wsi linia prosta. Wiedzie na północ. Asfalt nazwano bardzo ładnie: ulica Lena. Sprawdzałem kilka razy, czy nie chodzi o Lenina, ale stoi jak wół: Lena. Można więc powiedzieć, że Appany leży nad Leną, choć do pierwszej przetoki dobry kilometr na wschód. Na zachód zaś rozciągają się pastwiska i tajga, za nimi dorzecze Jeniseju, Obu i Irtyszu, dalej Ural i dopiero Moskwa. Jakieś dwieście pięćdziesiąt dni pieszo do Europy. U progu tej odległości, w ostatnim szeregu domów mieszka Mikołaj Siemionowicz Gawrilew.

Strażnik czasu z wielką radością przyjął mnie i wiadomość, którą wyczytałem w jednej ze skarg pisanych przez Sieroszewskiego do zarządu: „Moje gospodarstwo leży na samej granicy dwóch kłopotliwych naslegów: Chatyng Aryy i Kusaghan Yal".

– To tutaj! – krzyknął staruszek i wspominając wszystkie znane nam współrzędne, wziął się do kreślenia mapy i zagrody Sirki.

Wynikało z niej, że granica naslegów oddziela Wodę Sieroszewskiego od wzgórza, co tylko potwierdzało słowa pisarza i nasze przypuszczenia. Sirko był zesłany do Chatyng Aryy, gdzie leży wzgórze, ale część obsiewanych przez niego pól mogła leżeć po drugiej stronie granicy, już nad Wodą Sieroszewskiego. Widać je z okna domu staruszka.

Do południa sporządzaliśmy mapy, po czym pożegnałem się z Mikołajem Siemionowiczem i w ciągu kilku minut z jednym z planów w kieszeni byłem już na wzgórzu. Dolinki nie widać, wszystko pod śniegiem, ale nawet nieuzbrojonym przeciw bieli okiem dało się zauważyć, że wzgórze leży pośród podługowatej niecki, dawnej przetoki Leny. We wspomnieniu Piotra Siwcewa, które jeszcze jesienią pokazał mi Mikołaj, mowa była o *ot ürech*, czyli trawiastej rzeczce. Dziś staruszek wyjaśnił mi, że *ot ürech* płyną czasami starorzeczami bądź parowami zwanymi *appa*. Czy aby nie stąd wzięła się nazwa Appany?

Dystans między słowem a światem znikł zupełnie, a spojrzenie znalazło obraz. Co prawda schowany pod śniegiem, ale wiosna tuż-tuż.

*

Nauma Naumowicza Siwcewa, najstarszego mieszkańca Kyhył Dieriebine, który jesienią opowiadał nam o wzgórzu nad Wodą, widziałem tylko raz, podczas wrześniowej wycieczki z profesorem. Jednak w wiejskim sklepie,

gdzie puszką szprotek opędzałem głód, rozpoznałem go bez trudu. Naum był tej samej maści co jego kuc, ni to kasztanowaty, ni gniady, z lekkim żywicznym rumieńcem. Nabawił się go, czterdzieści lat bujając w siodełku traktora kołchozu imienia Karola Marksa i na końskim grzbiecie. Kurykańskie rysy ma zorane zmarszczkami licznymi jak słoje przyrostów starego drzewa. Kiedy te zerodowane pogodą zwoje skrzypną, to znak, że Naum mówi albo zbiera się, żeby coś powiedzieć.

– I co, wyszło? Że to jego wzgórze? – zgrzytnął jak śnieg pod butami.

Bardziej stwierdził, niż spytał. Przytroczył reklamówki z zakupami do siodła i pojechał, nie czekając odpowiedzi. Naum Naumowicz bez wątpienia jest wielkim zegarmistrzem. Niewielu tutaj miało tak długo do czynienia z czasem. Już w tym, że chytry staruch w wieku blisko osiemdziesięciu lat trzyma się na koniu niczym Niurgun Bootur, jest jakaś sztuczka. Choć cuglami operuje trochę jak kierownicą ciągnika.

## 16 marca

A jednak jest ktoś jeszcze. Uczynny dyrektor Dmitrij Iwanowicz postanowił pomóc i obdzwonił wczoraj całe Appany w poszukiwaniu najstarszych mieszkańców. Wypytywał ich o Sirkę i tak trafił na Siemiona Siemionowicza Kołpasznikowa. Staruszek twierdzi, że dokładnie zna miejsce, gdzie gospodarzył *Czaraczyaskaj*.

Wczesnym rankiem pod dom dyrektora zajechał UAZ wysłany przez samego wójta. Z chatki na skraju wsi zabraliśmy cennego świadka, jedynego, który twierdził, że wie na pewno. Choć podobnie jak Naum i Mikołaj pan Siemion urodził się długo po wyjeździe Sieroszewskiego, to jednak tuż obok obejścia zesłańca. Ponoć jego rodzinny balaghan stał tak blisko domu Polaka, że czerpali wodę z jednego jeziorka. UAZ długo kluczył po uliczkach Appany, aż staruszek kazał zatrzymać go za wsią przy dobrze znajomym wzgórzu nad Wodą Sieroszewskiego. Tyle że od północnej strony. Wskazał na zaciszne starorzecze między wzgórzem a wsią.

– To ogród Sieroszewskiego – oznajmił.

Kołpasznikow przychodził tutaj z siostrami sadzić i zbierać kartofle, póki w drugiej połowie lat trzydziestych okolicznych pól nie zajął pierwszy w Appany kołchoz. Pamięta nawet kopczyki usypane jakoby ręką zesłańca,

na których udawało się mu uprawiać ogórki. Nazwy „ogród Sieroszewskiego” nikt tutaj już nie używa. Dopiero starzec Kołpasznikow przypomniał ją sobie i wymówił po siedemdziesięciu latach.

– Po co ci ta wiedza? – zapytał znienacka.

– No, żeby uratować miejsce.

– Niby jak?

– Nazwać je czasem.

## Appany–Bötüng

Traktem z Appany na północ Sieroszewski woził zboże do młyna skopców w Chatyng Aryy. W *Pamiętnikach* pisał, że wiodły tam dwie drogi: jedna sucha, „po wysokim brzegu”, czyli skrajem obniżenia, pośrodku którego mieszkał, druga grząska, łąkami zalewanymi wiosną przez Lenę. Zapewne tę drugą wchłonął zbudowany niedawno wysoki nasyp szutrówki, którą kursuje autobus z Jakucka. Można nią dotrzeć do wioski Tübe w ujściu Ałdanu, tyle że nie autobusem, bo ten dojeżdża tylko do wsi Chatyryk. Najpierw jednak zatrzymuje się pięć kilometrów za Appany, nieopodal wsi sektantów.

Trzebieńcy wyjechali stąd niedługo po Sieroszewskim, a w ich solidnych domach osiedlili się zesłańcy polityczni i Jakuci, głównie z rodu Börö Bötüng, czyli wilków. Stąd współczesna nazwa wioski: Bötüng. Bötüngowie, o czym dziś nikt nie pamięta, byli jednym z niewielu jakuckich rodów, który długo opierał się carskim kolonizatorom. Bötüngijski *tojon* Siemion Ulta dowodził oblężeniem małej warowni Dobryńskiego gdzieś w ujściu Wiluja, a potem brał udział w kolejnych powstaniach i ruchawkach przeciw poborcom podatków.

W najgłuchszych zakątkach Syberii i Jakucji trudno o widok bardziej archaiczny i prawdziwy niż wieś Bötüng. Tak musiał zapamiętać ją Sieroszewski. Szereg kilkudziesięciu chałup z lat siedemdziesiątych XIX wieku stoi nad brzegiem starorzecza Leny nieco szerszego niż to, w którym mieszkał pisarz. Jeśli wierzyć mapom z archiwum w Jakucku, od stu czterdziestu lat nie zmieniło się tu nic. Brakuje może dwu domów i kilku młynów, które stały poniżej, w dolince.

Modrzewiowe chaty kryte gontem i blachą stoją nadzwyczaj pewnie i prosto. Nie zapadają się w wieczną zmarzlinę dzięki temu, że skopcy stawiali je na fundamencie z czterech solidnych bali wkopywanych jeden na drugim pod każdą ze ścian. Takie drewniane fundamenty dawały konstrukcji trwałe oparcie na głębokości, gdzie zmarzlina nie tajała od ciepła domowego pieca. W większości chat do dziś mieszkają ludzie i, jak zapewnia właściciel jednego z domów Witia Diakonow, wciąż korzystają z piwnic wydrążonych przez dawnych budowniczych.

Skopcy byli przesiedleńcami z centralnych guberni imperium. Zsyłano ich na Syberię do miejsc, gdzie bezeceńskich nauk o konieczności amputowania przyrodzenia nie miał kto słuchać, a gdzie ich gospodarcze umiejętności były bezcenne. W XIX wieku pracowitym rzezańcom udawało się to, czego nie powtórzyły później sowieckie kołchozy – zbierać plon z pól zakładanych na wiecznej zmarzlinie. Tuziemcy uczyli się od nich nie tylko uprawy ziemi, ale także budowy domów, młynów i leczenia chorób. Przypadki konwersji Jakutów na wyznanie skopców nie są znane. Sieroszewski dość dużo uwagi poświęca ich wyjątkowej skłonności do gromadzenia majątku i słabości do pieniędzy. Bracia nie mieli potomstwa, toteż po zmarłym dziedziczyli sąsiedzi i współwyznawcy. W *Pamiętnikach* Sirko opisuje, jak nad jednym z umierających zebrał się tłum w oczekiwaniu zgonu. Kiedy tylko brat wyzionął ducha, zebrani rozbiegli się po izbie w poszukiwaniu co cenniejszych sprzętów. Pozwalał im na to niepisany zwyczaj i brak dziedzica w gospodarstwie.

W Bötüngu doskonale pamiętają, kim był Wacław Sieroszewski. Przybysz z ojczyzny sławnego jakutologa znajdzie tu nocleg bez trudu. Choćby u nauczyciela historii Jegora Sofronowa.

*

Jegor, zdrobniale Gosza, uczy historii w szkole w Bötüngu. Nauczycielska pensja wynosi jakieś piętnaście tysięcy rubli (półtora tysiąca złotych), co pozwala mu spokojnie żyć, a nawet kilka razy w miesiącu odwiedzać Jakuck. Ojciec historyka jest właścicielem sporego tabunu koni i stada krów, dzięki którym przetrwał trudne lata dziewięćdziesiąte i pomógł synowi skończyć studia w Jakucku. Gosza mieszka w chałupie w nowej części wioski, gdzie doprowadzono gaz. Mówi o tym z dumą, bo kolejne wsie na pół-

noc jeszcze gazu nie mają, tak jak dziewięćdziesiąt procent wiosek Jakucji. Następny dzień spędziliśmy na penetrowaniu okolicy i starych obejść.

Nowsze domy w Bötüngu nie wyglądają tak dobrze jak te z XIX wieku. Ludziom nie chce się wkopywać głębokich fundamentów, grodzić działek płotami budowanymi w pracochłonnej technice na wpust i pióro czy zdobić naliczników kwiatami i lirami cietrzewi. Domy przypominają solidne skrzynie pochowane za parkanami z desek. Większość ma dwuspadowe dachy, ale o otwartych szczytach, więc wiatr hula między nimi jak na weselu.

– Ale tylko jesienią i wiosną, które są u nas bardzo krótkie – uspokaja Gosza.

To jednak, co dziwi jeszcze bardziej, to fakt, że mieszkańców jakuckich wiosek od minus pięćdziesięciu stopni dzieli zaledwie piętnaście centymetrów. Bardzo często tyle tylko wynosi grubość ściany. W starych balaghanach, które można oglądać w muzeach bądź w tajdze, ściany budowano z bali nawet pięciokrotnie grubszych. W niewielkim stopniu tłumaczy tę beztroskę powszechna dostępność opału.

W pejzaż skromnych chałupek dobrze wkomponowała się bryła opustoszałej cerkwi Przemienienia Pańskiego z XIX wieku, która zajmuje placyk w centrum długiej wsi. Jeszcze kilka lat temu świątynia służyła jako wiejska świetlica i tancbuda. Dziś gmina ma nowe centrum rozrywki, blaszany budynek nieopodal. Jest okrągły jak urasa. Właśnie odbywa się w nim wieczorek zapoznawczy, na który administracja zaprosiła gości aż z Ojmiakonu (jakieś półtora tysiąca kilometrów) i innych odległych ułusów. Gosza tłumaczy, że wskutek wysokiej śmiertelności wśród mężczyzn i częstych rozwodów wiele kobiet w średnim wieku żyje tu samotnie, więc władze fundują imprezy, na których mieszkańcy odległych wiosek mogą się poznać.

Gosza koniecznie chciał mi pokazać jeszcze chałupę Feliksa Kona, ale należała do tych nielicznych, które zburzono. Ten zagorzały wróg burżuazyjnego kapitalizmu za marne grosze wynajmował miejscowych do prac w obejściu, głównie zimą, i do zwózki drewna. Kon w czasie pobytu w Namie uwiódł piękną Krystynę Grinberg, narzeczoną polskiego lekarza Aleksandra Sipowicza. By wziąć z nią ślub, bolszewik ochrzcił się nawet w cerkwi, przyjmując imię Aleksander. Czy chrzcił się właśnie w Bötüngu, nie wie nikt. Tak jak i tego, czy o chrzcie wiedzieli w partii.

Pewne jest natomiast, że brał udział w pożegnaniu doktora Sipowicza, gdy ten w 1894 roku wyjeżdżał z Jakucji. Doktor, niezwykle lubiany przez

Jakutów, szanowany przez skopców i zesłańców, sympatię zdobył niespotykaną uczynnością i bezinteresownością. Ratował nie tylko biednych, ale też carskich urzędników, za co spotykał go czasem ostracyzm współzesłańców. Jego wyjazd z Jakutskoj obłasti utrwalił Feliks Kon już po śmierci doktora w nekrologu, który przyszło mu napisać. Otóż w dniu wyjazdu Aleksandra Sipowicza przed jego domem w drugim naslegu Modut od rana zaczęli się zbierać okoliczni Jakuci z rodzinami, nawet z niemowlakami. O dziesiątej tłum rozstąpił się nieco i do domu weszła starszyzna z wodzem ułusu na czele. Jakucki kupiec pierwszej gildii Wasilij Ewierstow Serbeke przemówił w imieniu namskich Jakutów i podarował Polakowi stary jakucki kaftan wyszywany srebrem. Dziękując zebranym, doktor rozpłakał się jak bóbr, za nim płakać zaczęły jakuckie kobiety i, co niezwykle rzadkie, mężczyźni. Według opisu Kona płakali nawet zesłani do Namu Baszkirzy, zatwardziali rozbójnicy i koniokrady, dla których była to zapewne jedyna w życiu okazja do uronienia łez. Kiedy Sipowicz dojechał do dzisiejszego Bötüngu, musiał zejść z wozu, bo przed każdym ze wspaniałych domów czekał wdzięczny pacjent z prezentem bądź dobrym słowem. Czy pomagał skopcom w kastracji? Nie wiadomo, ale dobre półtora kilometra szedł pan Aleksander pieszo, ściskając się z ludźmi. Tam, gdzie wczoraj wszedłem do wsi, wsiadł na wóz i odjechał.

*

W jakuckich wsiach przez okrągłą zimę jest pusto jak w tajdze. Wesoło robi się, tylko kiedy dzieci wysypią się ze szkoły albo do domu kultury przyjadą z Jakucka artyści na koncert. Z rzadka przemknie pies, parę chwiejących się cieni splami śnieg. Pijanych trochę tu więcej niż w upadłych polskich pegeerach. Zapewne dlatego w sklepie obowiązuje zakaz sprzedaży wódki i zadowolić się trzeba piwem, co zimą wymaga pewnego wysiłku. A niektórych wyraźnie denerwuje.

– Kto to, kurwa, jest? – zapytał po jakucku głos w ogonku za moimi plecami.

– Chuj go wie. Jakiś Ruski szuka guza – odpowiedział drugi.

– To nie Ruski. Patrz, jaki gładziutki – ciągnął pierwszy.

– Ale guza szuka – nie wiadomo czemu upierał się drugi.

– Szpieg. Aparaturę ma jak cholera – uciął pierwszy, pokazując aparat.

– NATO? W Bötüngu?

– Chciałem tylko kupić litra na wieczór, proszę panów – zwróciłem się do nich w najlepszym jakuckim, na jaki było mnie stać.

Nie sądziłem, że skośne jakuckie oczy mogą zrobić się aż tak okrągłe.

*

Trzy wieczory w chacie Goszy minęły szybko. Jego przyjaciel Wołodia, z racji długiego nosa nazywany Polakiem, podarował mi poroże łosia i żelazną strzałę, używaną niegdyś jako pocisk w samostrzałach[75] na wilki i jelenie. Chciał mi też sprezentować kawałek srebrnego widelca, ale nie mógł go odnaleźć. Znalazł ich kilka przed laty w swojej chacie i część przetopił na sygnet dla siebie i kolczyki dla żony. Poroże łosia musiałem zostawić, było wielkie i ciężkie jak koło od wozu.

## Chatyryk

Stopem po Jakucji podróżuje się doskonale. Kierowcy przystają już na sam widok wędrującego, gorzej, że czasem trzeba długo na nich czekać. UAZ-a „pół metra od śmierci” doczekałem się po godzinie sterczenia na mrozie, ale za to podwiózł mnie pod samo Muzeum Historii Państwowości Jakucji imienia Maksima Kirowicza Ammosowa w wiosce Chatyryk. Już sama nazwa czegoś takiego pośród połaci zamrożonej tajgi brzmi intrygująco. Kiedy kierowca dowiedział się, że jadę śladem Sieroszewskiego, wszelka nieufność przepadła, gdy zaś opowiedziałem o sobie po jakucku, postanowił się mną zaopiekować. Skrzywił się na widok rubli i pomógł znaleźć dyrektorkę. A pani Swietłana Iwanowna Popowa, mimo niedzieli i bólu nóg, zgodziła się otworzyć przybytek i opowiedzieć, dlaczego muzeum państwowości Jakucji znajduje się właśnie tutaj.

Maksim Ammosow urodził się w tajdze nieopodal Chatyryku w 1897 roku. Jego ojciec był pasterzem renów. Ten fakt pomija nawet poświęcona mu wystawa, zapewne dlatego że Jakuci niechętnie przyznają się do pochodzenia niektórych rodów od pasterzy renów, zazwyczaj Tunguzów. Sacha przed rewolucją żyli w skrajnym ubóstwie, toteż często oddawali dzieci na wychowanie bogatszym bądź bezdzietnym krewnym. Tak było też z Maksi-

mem. Dzięki pomocy wuja skończył gimnazjum miejskie i seminarium nauczycielskie. Liczne kontakty z zesłańcami w Jakucku przygotowały go na rok 1917 – powitał go jako zagorzały zwolennik bolszewików. Potem organizował struktury partii Lenina w Jakucji i stanął nawet na czele komitetu rewolucyjnego w czasie wojny domowej z białymi (którzy nad Leną rekrutowali się głównie z Jakutów nieprzychylnych bolszewikom). Po ustanowieniu władzy sowieckiej Maksim udał się do Moskwy, gdzie aktywnie walczył o autonomię i szerokie granice sowieckiej Jakucji. Za czasów carów obwód jakucki był tylko częścią guberni irkuckiej. 27 kwietnia 1922 roku powstała Jakucka Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka.

Jednak Stalin i jego pomagierzy nie chcieli w Jakucji rzutkiego Ammosowa, który za często mówił o autonomii i kulturze jakuckiej. Dość mieli problemów z Płatonem Ojuńskim i Izydorem Barachowem, innymi jakuckimi bolszewikami, którzy zamiast być narodowi w formie i socjalistyczni w treści, treść wciąż zachowywali narodową. W roku 1932 Ammosowa „przeniesiono" do Kazachstanu, a w 1937 do Kirgizji, gdzie jako pierwszy sekretarz stanął na czele Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii (bolszewików) Kirgizji. W tym samym roku oskarżony o nie dość gorliwe trzebienie wrogów narodu i nacjonalistów, został aresztowany. Rozstrzelali go rok później.

Jednocześnie aresztowano też Ojuńskiego i Barachowa. Pierwszy umarł w więzieniu, drugi, tak jak Ammosow, od strzału z nagana. O całej trójce świat miał zapomnieć. Tymczasem mieszkańcy Chatyryka odważyli się pamiętać. Kilka lat po śmierci Stalina człowiekowi, który chciał zbudować państwo jakuckie w Związku Radzieckim, postawili muzeum. Pierwsze było skromne, w drewnianym domu wzniesionym w czynie społecznym. Obecne to nowoczesny budynek oddany do użytku kilka lat temu, wykończony w najwyższym standardzie za pieniądze republiki i prywatnych sponsorów. Bryle muzeum architekt nadał kształt powiewającej flagi, co wygląda dość osobliwie. Co roku 27 kwietnia, w rocznicę uzyskania autonomii, do muzeum państwowości schowanego w tajdze przyjeżdża z Jakucka delegacja tojonów, czasem nawet sam prezydent Jakucji.

– Nie baliście się budować? Łagry działały jeszcze pełną parą – pytam panią Swietłanę.

– Pewnie, że się baliśmy. Ale rehabilitowali go w 1956, więc nie było już tak straszno.

– A jednak?

– Łoj… Lepiej nie mówić.

Czy w latach dwudziestych jako przewodniczący rady komisarzy ludowych Jakucji Ammosow brał udział w zakładaniu pierwszych łagrów? A w Kazachstanie, jako pierwszy sekretarz partii Karagandzkiego Komitetu Okręgowego, czy wiedział, co dzieje się w łagrach Karagandy? Tego Swietłana Iwanowna nie wie.

## Chatytryk–Tübe

Po nocy spędzonej w gościnnym domu pracownicy muzeum pani Stiepanidy Archipownej wylazłem na słońce. Było okrągłe i rumiane jak kołacz, który gospodyni wsadziła mi do plecaka na drogę. Właśnie zjadłem śniadanie, zrobiłem siku i pożegnałem się z gospodarzami, obdarowując małego Ajchala cukierkami. Byłem pierwszym *nuuczcza*, którego widział z bliska, toteż przez cały wieczór chował się pod stołem. Czułem się zdrowy, nie paliłem od miesięcy, nie piłem od tygodni. Trochę tylko żałowałem, że jestem sam. Do Tübe, gdzie mieszka brat kustoszki muzeum, były trzydzieści cztery kilometry. Cały czas tropem człowieka, czyli wyjeżdżoną i wydeptaną w śniegu drogą.

Na zachodzie za białymi polami zobaczyłem zalesione myraany, od wschodu zaś świerkowy bór, za którym leżała zamarznięta Lena. Ta cała tajemnicza Północ to była właśnie droga pomiędzy tymi dwoma widokami. Położyła się przede mną cicho i swawolnie.

W najludniejszym ułusie Jakucji na kilometr kwadratowy przypada dwóch mieszkańców (w Polsce stu dwudziestu), ale kilometry, które przemierzałem, były puste. Miejsce ludzi zajęły sójki, *Garrulus glandarius*, różne *Picoides*, czyli dzięcioły: czarny, trójpalczasty i pstry duży, no i sikora czarnogłowa, *Parus montanus*. Te jakuckie odzywają się tak samo jak polskie, rozpoznawałem je więc bez trudu po głosie. Znajomy język ptaków jakoś dodawał otuchy we wszechobecnej ciszy i pustce tej części Engsieli.

Sójki zajmowały właśnie rewiry lęgowe. Ich miejsce to zazwyczaj jakaś krzaczasta wierzba na skraju alaasu. Z braku krzaków gniazdo potrafią też przymocować do pni trzech rosnących blisko siebie młodych modrzewi, ale zazwyczaj nisko, tak że widać, co jest w środku. Kiedy po kilku godzinach

podglądania uda się już wyszukać gniazdo, to jest centrum rewiru, wystarczy poczekać kwadrans, by samica przestała się niepokoić. Można wówczas podejść i spojrzeć jej w oko, a nawet sięgnąć do środka gniazda, policzyć jaja i zagrzać palce pod ciepłym brzuszkiem. Nie ucieka, choć serce wali nam obojgu.

Droga człowieka krzyżowała się z drogą zająca, potem lisa, dalej z drogą myszy i sarny syberyjskiej. Najwięcej było tropów zajęcy. Zrazu przystawałem nad każdym, próbując ocenić, kiedy zwierzę przechodziło, czy biegło, czy odpoczywało, potem szukałem już tylko śladów rzadszych zwierząt. Od ciągłego kucania pękły mi spodnie. Tropy wyglądały jak ozdoba widoku, jak tajgowa litofania, technika zdobienia matowego szkła wklęsłym reliefem. Ziemia przypominała powierzchnię naczynia w ornamentach, szczególnie tam, gdzie tropy odbiły się w starych zmarzniętych zaspach. Na białym tle wyglądały jak ciemne motywy przemyślnego wzoru.

Droga sobola przypomina szew chirurgiczny: dwa równoległe szeregi kropek połączone niewidzialną nicią. Jeżeli wlókł w pysku zdobycz – sójkę czy orzechówkę – to pomiędzy odciskami łap będzie widać bliznę. Mięciutki ogon nie zostawi śladu nawet na świeżym śniegu. Droga lisa to punkty rozsypane dokładnie jeden za drugim. Rzadko dostawi kreskę, pociągnąwszy pyskiem po śniegu, jeszcze rzadziej siknie, znacząc teren. Zając to kleksy, jakby nachlapane przypadkiem, od góry do dołu, na całej kartce. Jeśli tropy się zbiegają i pomiędzy podługowatymi odciskami tylnych łap czernieją małe odciski przednich, to znak, że kicaj odpoczywał. Wtedy też na którejś z okolicznych wierzb widać ślady jego zębów. Kilka razy drogę bielaka przecięła droga lisa, raz nawet rysia.

Wilk. Choć samego basiora już dawno nie widać, to jego trop wciąż ucieka przed ludzkim wzrokiem. Zupełnie jakby się ruszał. Najpierw końskim susem przeskoczył zwalony modrzew i przepadł za nim niczym przywidzenie, potem przywarował na skraju boru, jakby do niego przyszyty, by na koniec paradnie przemaszerować pod arkami przywalonych śniegiem brzóz. Drogę wilka łatwo pomylić z drogą psa, ale w przeciwieństwie do nawet wyrośniętego burka, wilk sznuruje, czyli stawia tylne łapy w odciski przednich, układając trop w jedną linię prostą, jak lis. Tymczasem tylne łapy psa nie trafiają w odciski przednich i pies zostawia podwójne tropy. Ciekawe, że trop wilka zawsze ma jakiś wyraźny kierunek, a psa biegnie raz w tę, raz we w tę, jakby zwierzę nie do końca wiedziało, dokąd zmierza. Jakby nie

oszczędzało sił. Gdzieś za drogą wilka trakt do Tübe przecięła droga człowieka. Odciski stóp w wielkich buciorach prowadziły z modrzewiowego młodnika wprost do tropu zwierzęcia. Widać, że człowiek założył tu szerokie myśliwskie narty i pognał drogą basiora. Jego własna wyglądała teraz jak dwa gładziutkie pasy wyślizgane w białym widoku. Dróg człowieka było coraz więcej, aż stos rur gazowych przy trakcie zdradził, że wioska Tübe leży gdzieś blisko. Stiepanida opowiadała wczoraj, że do wioski doprowadzają właśnie gaz i że trzeba skręcić przy zwałowisku rur.

> *Tübe* – po jakucku oznacza gęstą tajgę nad rzeką, las tak zwarty, że ciężko iść dalej. Jeśli trafisz na *tübe*, trzeba się zatrzymać albo je obejść. Kończy się tu *suol*, droga jako możliwość przejścia. Tak jak w modrzewiowej tajdze, w której chowa się wieś Tübe.

## Łowca wilków

Sowiecki film czy książka nie znają postaci wędrowca. Włóczęga nie jest więc zbyt mile widziany, szczególnie w okolicach Jakucka, gdzie zdarza się dużo kradzieży i ludzie obawiają się bomża albo bicza. *Bomż* to akronim od *biez opriedielennowo miesta żytielstwa*, czyli (człowiek) bez określonego miejsca zamieszkania. *Bicz* natomiast to *bywszyj inteligientnyj czełowiek*, to jest były inteligent. Na szczęście Polakowi w Jakucji łatwo wejść w rolę uczonego przebywającego na badaniach terenowych. Uppan Uppanycz, usłyszawszy od siostry, że przybędzie badacz Sieroszewskiego, otworzył drzwi szeroko, choć powoli, aż jęknęły zawiasy, a Zoja Michajłowna nalała talerz zupy i podała wielki kawałek krowy.

Uppan ma na oko sześćdziesiąt, może pięćdziesiąt lat, typową jakucką fizys i zwartą, krzepką sylwetkę. Oczy wąskie jak nacięcia w twarzy, włosy jak śnieg. Chętnie słucha opowieści o Sieroszewskim, nic mu nie wiadomo o wycieczce Polaka w te strony w 1891 roku. Już Gosza uprzedzał mnie, że w Tübe ludzie są zamknięci niczym ptasie jajo i bez potrzeby nie wdają się w rozmowy. Uppan o sobie mówi mało: trochę pracował w kołchozie, póki Jelcyn go nie rozwalił, jakiś czas polował, trochę łowił na Lenie. Ma córkę i dwóch synów, młodszy cierpi na porażenie mózgowe. Tak Uppan streszcza sześćdziesiąt lat.

Myśliwy jest trochę wystraszony, że przyszedłem pieszo. Nie chodzi o odległość, którą on jako dziecko pokonywał niemal co dzień, żeby dojść do szkoły w Chatyryku, ale o wilki. Na przednówku zeszły z Gór Wierchojańskich i dziesiątkują stada koni w Engsieli. Nie dalej jak dwa tygodnie temu zarżnęły (tak mówią myśliwi) trzy kobyły i ogiera z tabunu Uppana. Trzeba było strzelać, więc niektóre wilki są ranne i mogą być niebezpieczne.

Żeby wilka zabić, trzeba trafić kulą tuż nad przednią łapę, w miejsce wielkości dłoni dziecka. O tym miejscu pomyślał Uppan Uppanowicz Popow, kiedy zobaczył zarżniętą przez watahę kobyłę. Potem wspomniał je raz jeszcze, znalazłszy dwie następne, a w końcu po raz trzeci, kiedy natknął się na resztki czwartej. Jakuci hodują konie na mięso, zadbana klacz może rodzić nawet kilkanaście razy, a tusza rocznego źrebaka starcza dla czteroosobowej rodziny na pół zimy. W Tübe, dwieście kilometrów na północ od Jakucka, kończy się świat i nie ma roboty. Nic dziwnego, że kiedy stary policzył straty, aż posiwiał ze zmartwienia: nad środkową Leną zima trwa siedem długich miesięcy.

Starzy Jakuci, Eweni i Ewenkowie unikają słowa „wilk”, zastępują je zaimkiem „on” albo nazywają „ogoniasty”, „szary”, „samiec”. Trochę z szacunku, a trochę z przekonania, że wilk słyszy ich i rozumie. Drapieżniki przychodzą co parę lat zza Leny, z zasypanych śniegiem Gór Wierchojańskich, których szczyty widać z dachu chałupy Uppana. Za Sojuza istniało tam kilka eweńskich kołchozów, które prowadziły odstrzał wilków. Od dwudziestu lat nikt tego nie robi. W szczególnie mroźne miesiące na przednówku, kiedy nieliczne sarny i łosie migrują na południe, a cietrzewie, głuszce i zające kryją się w kopnym śniegu, głodne i wyczerpane watahy zmuszone są podchodzić do wsi. Na zaśnieżonych pastwiskach zarzynają konie, przy przeręblach na Lenie krowy, a nawet wiejskie psy. Bywa, że giną też ludzie.

Miejsce po starciu watahy i tabunu koni to wielki krąg ubitego śniegu otoczony pętlą wilczych tropów. Kiedy przychodzą, kobyły i źrebaki zbijają się w zwarty pierścień, łbami do środka, i na oślep wyrzucają kopyta, kręcąc szalonego młyńca. Dookoła nich wierzga oszalały ze strachu ogier, kopiąc i gryząc co śmielszych szarych myśliwych. Wszystkiemu towarzyszy kwik, rżenie i wilczy skowyt, który przy sześćdziesięciu stopniach mrozu niesie się daleko po tajdze. Wilki próbują doskakiwać do końskich ścięgien

i jeżeli uda im się okaleczyć źrebaka czy klacz, odchodzą. Za dzień, za dwa i tak znajdą okulałego konia, któremu nie pomoże już spłoszony tabun.

Miejsce walki watahy z człowiekiem wygląda dużo skromniej. Rzecz działa się dobre trzydzieści lat temu, też na przednówku. Saszka Żirkow wracał z wojska, a że autobus z Jakucka dojeżdża tylko do wioski Chatyryk, na drugą stronę Leny, do rodzinnego Frunze musiał się dostać pieszo po lodzie. Zaatakowały go, kiedy był już na rzece i nie mógł się schronić na drzewie. Następnego dnia znaleziono but, trochę odzieży i tropy sześciu wilków. Niektórzy do dziś powtarzają, że Saszę zagryzły zdziczałe psy, ale Uppan twierdzi, że tropy wskazywały na watahę. Poza tym nieopodal znaleziono też dwa martwe wilki. Żirkow zdołał poranić je scyzorykiem, wykrwawiły się albo dorżnęli je bracia (o wydarzeniu pisały gazety: „Doga Lenina" i „Bądź gotów").

Kilkanaście lat później, jeszcze dalej na południe, między Chatyrykiem a siołem Modut wataha rzuciła się na konia, którym z przeglądu tabunu wracał jeden z chatyryckich koniuchów. Jeździec zwalił się wraz z wierzchowcem, był bez broni. Ci, którzy mieszkają w miastach i zwierzęta oglądają w zoo, nie uwierzą, ci, co strzelają do niedźwiedzi i żyją z wilczych sideł, tylko spluną trzy razy: „Żeby takie na człowieka nie wypadło".

Gdy Wacław Sieroszewski spisywał opowiadania Jakutów, nie było w nich mowy o wilkach napadających na ludzi. Nie atakowały też bydła i koni, bo dość dziczyzny miały w tajdze i górach. Dopiero XX wiek przyniósł masowe odstrzały dzikich renów, zorganizowane traperstwo i łowiectwo w sowchozach i kołchozach, które doprowadziło do tego, że drapieżniki w czasie ciężkich zim zaczęły głodować. Wilczych watah jest coraz więcej, a renów, saren, zające i głuszczców coraz mniej. Ludzie w wioskach porozrzucanych nad Ałdanem i Leną muszą jakoś strzec skromnego dobytku, więc stawiają dookoła wsi i pastwisk samostrzały, sidła i żelazne kapkany[76].

Wilczy kapkan trzeba postawić w miejscu szczególnym, na niewidocznym jeszcze szlaku, który wilk wybierze na drogę i na którym zostawi trop. Nie chodzi tylko o właściwy przesmyk czy ścieżkę, ale o konkretne miejsce, w którym basior postawi łapę. Jak wybrać je w rozległej jak ćwierć Polski dolinie i jak przewidzieć, którędy pójdzie zwierzę, wie stary wyga Uppan. Widzi drogę wilka, kiedy jej jeszcze nie ma. W sobie tylko wiadomy sposób przejrzał wilcze myśli i zakopał żelazo, gdzie trzeba. Po kilku

dniach wyczekiwania nie znalazł jednak ani zwierzęcia, ani potrzasku, tylko wyraźny trop na śniegu: potężny, spasiony na jego kobyłach koniarz (silny wilk) zerwał gruby łańcuch, którym kapkan przymocowany był do drzewa, i z potrzaskiem na łapie zniknął w tajdze. Trop zdradzał, że żelazo wlókł za sobą.

Młodszy brat Uppana Öndö przez większą cześć roku koczuje na dworcu autobusowym w Jakucku w poszukiwaniu taniej wypitki, a do tajgi wraca tylko na polowanie. Dopiero kiedy zabija, staje się człowiekiem. Dwa dni Uppan i Öndö na starych sowieckich buranach[77] tropili uciekiniera. „On" okazał się nie tylko silniejszy, ale i mądrzejszy od ludzi. Zwodził ich, klucząc nieśpiesznie po dolinie i naprowadzając na tropy innych wilków, tak że oszukani myśliwi, błądząc, tracili cenne godziny. Tymczasem chytry drapieżnik po stromym zachodnim skłonie, w najmniej dogodnym dla skutera miejscu, wydostał się z doliny i przepadł w rozległych borach modrzewiowych ciągnących się od Leny po Jenisej. Tak daleko na rozklekotanym i pożerającym kanistry ropy buranie nie można było jechać.

Trzeciego dnia w południe, po drugiej nieprzespanej nocy stary i Öndö byli znów na „jego" tropie, tym razem konno. Wyczerpane już zwierzę próbowało chronić się w zwartych modrzewiowych młodnikach, czasem jednak za ciasnych nawet dla wilka. Omijając bądź przecinając ściany modrzewiowych odnowień, basior zaczął kluczyć szerokimi ósemkami, tak że po paru godzinach z tropionego zamienił się w tropiącego i zaczął podchodzić jeźdźców z tyłu. Stary uważa, że basior chciał zagryźć mu konia – poczekać, aż myśliwy zostawi go, by pieszo szukać wyjścia z zapętlających się ósemek, i wtedy rzucić się na zwierzę.

Kiedy bracia zaczęli pilnować wierzchowców, zwierzę wyskoczyło z mętliku ósemek i spróbowało ostatniej szansy w młodnikach. Stary Uppan był u kresu sił, tropił już trzeci dzień, przy czym w ten ostatni nieustannie to wskakując w siodło, to schodząc z konia i brodząc z ciężkim karabinem po pas w śniegu. Po kolejnej godzinie pościgu w jednym z niezliczonych zagajników zdało mu się, że słyszy brzęk łańcucha przy potrzasku. Wbił się z koniem między modrzewie i w śnieg. Dzwonienie łańcucha umilkło, a z tropu wynikało coś niepojętego: uciekinier podnosi łapę z kapkanem i ucieka na trzech nogach, tak by nie mącić ciszy. Kiedy już o zachodzie słońca Uppan zamiast łańcucha usłyszał ziajanie, położył się na wilczej ścieżce i w jednym z nielicznych prześwitów pod młodymi modrzewiami

zobaczył wilczą przednią łapę i miejsce nad nią, którego tak szukał przez trzy doby.

Zanim podszedł do martwego już wilka, na wszelki wypadek pomacał go długą żerdzią, tak jak robi się na Syberii po strzale do niedźwiedzia czy rosomaka. Kiedy dołączył Öndö, aż wzdrygnął się na widok wielkiego basiora, a spłoszony zapachem koń raz po raz stawał dęba. Koniarz był zbyt duży, by można go było przewiesić przez siodło, trzeba było wlec go do wsi na postronku. Zostawiali po sobie dziwny trop, w tajdze niespotykany. Kiedy dotarli do domu, łajka Uppana uciekła w panice z obejścia.

*

Do późnej nocy oglądamy zdjęcia wilka podwieszonego za tylne łapy do belki w szopie. Ludzie z całej wioski przychodzili fotografować się z trofeum. Niektórzy wychylają się zza cielska, inni bojaźliwie go dotykają, pozostali zachowują dystans i szacunek. Jakby chcieli oswoić to, czego tak się bali i co ich krzywdziło. Nie wiadomo przecież, jak się zachować, kiedy tabu dynda na powrozie i jest bezbronne.

## Słówka

*Ön* – szczególnie zaplątany trop zwierzęcia, trudny do odczytania. Niektóre zwierzęta, jak rosomak czy wilk, plączą świadomie, by zmylić tropicieli. Inne, jak zając, plączą mimochodem, pasąc się od krzaka do krzaka.

*Chachchan* – puszczyk mszarny. To największa – obok puchacza – sowa Jakucji i najpospolitsza z tutejszych dużych sów. Skrzydła dorosłego ptaka mają aż półtora metra rozpiętości. Bywa mylony z puszczykiem uralskim, słownik Piekarskiego w ogóle ich nie odróżnia. Uralski jest jednak dużo mniejszy, a jeśli przyjrzeć się siedzącemu na szczycie modrzewia czy płocie, widać, że ogon wyraźnie wystaje poza skrzydła.

Puszczyki mszarne zaczynają tokować jeszcze w zimie. Po zamarzniętych bagnach niosą się wydawane przez samca seryjne głębokie „ho”, które jednak nie zdradzają miejsca lęgu, bo samiec wydaje je tyl-

ko w ciemności. Samice składają jaja w opuszczonych gniazdach ptaków drapieżnych, ale też na kikutach pni. Jej szlara[78] przypomina przekrój poprzeczny drzewa, toteż kiedy samica siedzi nieruchomo na kikucie brzozy, wygląda jak część pnia.

Ta ogromna a tajemnicza sowa jak żadna inna uosabia starość i zdaje się dużo wiedzieć o dolinie Engsieli. Jest mistrzynią znikania, stąd zapewne jej łacińska nazwa – *Strix nebulosa*, strzyga mglista.

*Chatyng* – brzoza. Uważana przez Sacha za najbardziej jakuckie drzewo. Ciekawe, że żaden inny gatunek nie ma tu rzeczownika określającego skupisko drzew, jest tylko *czarang* – brzeźniak. Na taki rzeczownik nie zasłużyły sobie *tiit* – modrzew, *bes* – sosna ani *abagha* – olcha. Na północy Tujmaady brzozy jeszcze śpią, ale za kilka tygodni pędy przybiorą niepowtarzalny wiśniowy kolor. W końcu się zazielenią, ale biel i tak ocaleje na ich pniach do następnej zimy.

## Tübe

Widok wioski to kilkadziesiąt drewnianych domów rozrzuconych wzdłuż jednej z odnóg Leny. W szkole (dziewięć klas) uczy się trzysta dzieci. Był kołchoz, sowchoz, dziś ludzie łowią ryby, polują, hodują krowy i konie na mięso. W Namie mówią, że kończy się tu droga, ale zimą nie jest to prawda, bo po zamarzniętych błotach można jechać dalej, do Sangaru, eweńskiego posiołka nad Leną. Latem nawet wielka ciężarówka KrAZ utknie po lusterka w tamtejszych bagnach i torfowiskach.

Kilkanaście kilometrów za wioską uchodzi do Leny Ałdan, po czym Babcia, powstrzymywana przez skaliste fundamenty Gór Wierchojańskich, skręca mocno na zachód, by za jakiś czas znów wrócić na północ. W zakolu Leny z jej dawnych starorzeczy powstało tysiące jezior i bagna zamieszkiwane przez roje ptactwa, rzadkie gatunki sów, orłów i sokołów. Myśliwy zawsze znajdzie tu łosia, jelenia i niedźwiedzia, nierzadko też niedźwiedź myśliwego. Obozowiska nie można zostawiać bez straży na dłużej, bo spustoszy je swoim zwyczajem rosomak albo rozniesie w pył stary niedźwiedź. Najwięcej jest jednak wody, chlorofilu i przestrzeni, co widać nawet na mapie. Opłynąwszy ten raj od północy, Lena przyjmuje swój największy za-

chodni dopływ, czyli Wiluj. To w jego ujściu Dobryński w 1621 roku założył ostrożek.

Dzieci na spotkaniu w szkole pytały o to samo co studenci: jak jest po polsku „kocham cię”, czy w Polsce mówimy po polsku, czy po rosyjsku, czy prezydentem jest Polak. Pilnuje ich miłe grono nauczycielek i tylko dzięki nim ci z pierwszych ławek nie uciekli ze strachu przed *nuuczcza*, krzycząc „Diabeł! *Abaahy!*”. Uciekł za to chłopiec, którego zastałem nad przeręblem ze stadkiem byczków. Wracałem do gospodarzy odnogą Leny, nad którą leży Tübe, kiedy nagle okrążyły mnie jego cielaki. Na szczęście nic nie krzyczał.

## Wieczór

Rosyjskie imię „Iwan” Jakuci wymawiają zazwyczaj „Ujbaan”. Tymczasem w Tübe mówi się, a więc i słyszy trochę inaczej niż w pozostałych częściach republiki. W fonetyce mieszkańców Tübe „Iwan” zamienia się w „Uppan”. W ich języku usłyszeć można słowa z języka sąsiadów górali, czyli Ewenów. Nawet rysy ich twarzy przypominają rysy tunguskie, choćby tak charakterystyczne dla Ewenów bułeczkowate policzki, pękate, że dla oczu ledwo starcza miejsca.

– Odcisk wilczej łapy – mówi Uppan, kiedy wieczorem pani Zoja dolewa zupy i stawia na stole kawałek koniny – jest podobny do tropu psa. Tylko nie tak szeroki, a bardziej podłużny, bo boczne palce łapy psa się rozchodzą, a wilka pozostają w odcisku. Wilk – kontynuuje – ma też niestarte pazury. I na piasku czy śniegu widać je doskonale.

– Czy można rozpoznać trop wilka, jeśli jest słabo odciśnięty? – dopytuję, widząc, że chętnie opowiada.

– Tak, między odciskami poduszek na jego tropie możesz narysować patykiem krzyżyk, a u psa się nie da, bo linie wejdą ci na poduszki.

– A jak nie widać poduszek? – drążę.

– Wielkość. Rzadko który pies zostawia trop wielkości talerza.

## Słówka

Przed snem notuję:

*Omooch suol* – słabo odciśnięty i źle widoczny ślad bądź trop zwierzęcia. Słowo, którego nie usłyszy się w stolicy, choć Jakuck pełen jest omooch suol po swoim drewnianym poprzedniku.

*Kiis tingileghe* – pięta sobola. Tak nazywają moi gospodarze gatunek tajgowej maliny *Rubus arcticus* i konfiturę z niej, którą pani Zoja serwuje do czaju. Owoce rzeczywiście przypominają łapę zwierzątka, choć Alosza, starszy syn Uppana, mówi, że to od tropu, nie od owocu. Że to niby odcisk łapy sobola przypomina malinę. Tak czy owak nazwa jest stara jak polowanie.

*Wołoczatnik* – rosyjskie słowo określające łowcę wilków, od rosyjskiego wołk, czyli wilk. Tak sąsiedzi mówią o Uppanie. Jakucki również tworzy podobne rzeczowniki, ale *wołoczatnik* nie mógł powstać w jakuckim, bo wilk był zwierzęciem totemicznym, unikano jego imienia i starano się nie wchodzić mu w drogę.

## 25 marca

Cały ranek oskardem i łomem kułem głęboką dziurę w twardej bieli, jakby nie chodziło o przerębel, tylko o jakiś głębszy sens. Wraz z kilkoma towarzyszami Uppana pojechaliśmy do ujścia Ałdanu sprawdzać sieci. Uppan Uppanycz, San Sanycz, Dym Dymicz, Sawa Sawicz i Tit Titowicz zawarli pakt o niepiciu wódy pod żadną postacią. Rzecz w tej części świata niesłychana. Są trzeźwi w urodziny, w Nowy Rok i nawet w Dzień Zwycięstwa. Nie mówiąc o wędkowaniu, podczas którego pijani giną łatwo, ześlizgując się w głębokie jak studnia przeręble.

San Sanycz to imię i *otczestwo* w wersji skróconej. Oficjalnie Aleksander Aleksandrowicz. Dym Dymicz to Dmitrij Dmitrijewicz, Sawa Sawicz to Sawa Sawowicz. Jakuci mają zazwyczaj rosyjskie imiona i nazwiska, choć w ułusie tattańskim na Zarzeczu i nad Wilujem dominują nazwiska jakuckie.

Rodzaj niewodu rybacy rozpięli pod lodem między dwoma przeręblami jeszcze jesienią. Sprawdza się raz na tydzień. By sieć wyciągnąć przez jeden z przerębli, trzeba rozbić gruby lodowy korek w obu. Sznur, na którym niewód wisi, jest ruchomy – jeden rybak opuszcza go w wodę, a sto metrów dalej drugi wyciąga sieć i wyłuskuje z niej ryby. Rozkuwaniem zamarzniętego przerębla zajmuje się na zmianę trzech mężczyzn i to przez dobre dwie godziny.

Zanim sięgnęliśmy po pierwszego szczupaka, nad wierzbami zobaczyłem Góry Wierchojańskie. Ojczyznę Ewenów i Jukagirów. To tam rozciąga się mitopoetycka przestrzeń ich bajek i eposów. Kryją się odpowiedzi na ich dziwne zagadki i przysłowia. Spisywał je przez lata zesłaniec Iwan Aleksandrowicz Chudiakow, póki nie zwariował, co na Północy zdarzało się często. Kilkanaście lat po nim nad Janę przybył Sieroszewski. Uppan twierdzi, że choć szczyty wydają się blisko, do pierwszych zboczy jest dobre trzydzieści kilometrów.

## Słówka

*Sordong* – to szczupak, ryba, którą w wielu miejscach Syberii i Jakucji karmi się lisy na fermach albo psy w zaprzęgu. Ludzie deklarują, że jedzą ją rzadko, tylko wtedy, gdy nie ma szlachetnych nalima, olenioka, lipienia czy nelmy. Ewentualnie jesiotra. Przy czym sensem rzeczownika *sordong* jest szczupak szczególnie dużych rozmiarów, wielkości nogi dorosłego człowieka.

*Borchoj* – inne słowo określające rybę tego samego gatunku, ale mniejszą, rozmiarów ręki. Młodsze szczupaki są smaczniejsze, zasłużyły więc w języku rybaków na osobną nazwę.

*Tulaajach* – dosłownie sierota. Mianem sieroty określa się najmniejsze szczupaki, które rybacy zazwyczaj wypuszczają z powrotem do Leny. Tylko najubożsi i głodni wezmą takiego na ruszt.

## Piotr Iwanowicz

– Kto to widział strzelać do zajęcy?! – piekli się Piotr Iwanowicz, Sacha, emerytowany nauczyciel chemii, który nie znosi komunistów. – Zające chwyta się w sidła! – wyjaśnia.

Właśnie wchodzi w życie rozporządzenie zabraniające chwytania zajęcy w pętlę, a to sposób praktykowany przez Jakutów od wieków. Najsprytniejsi do dziś potrafią tak chwytać nie tylko zające, rosomaki czy lisy, ale nawet dzikie kaczki. Te ostatnie łapie się, układając na powierzchni płytkiego jeziora pętelki z końskiego włosia, zakotwiczone w dnie albo przymocowane do wystającej z brzegu żerdzi. Kaczki, żerując, zaplątują się łapami w końskie włosie i stają się łupem myśliwych. A teraz wolno do nich tylko strzelać. Tymczasem nauczyciel nie ma broni.

– I skąd brać mięso? – martwi się emeryt w swojej drewnianej chatce na skraju wsi.

Okno w niej tak małe, że więcej tu światła z pieca i od białych włosów chemika niż z zewnątrz. Dzięki polowaniu na zające renty starczało do końca miesiąca, a teraz nie tylko nie wolno w sidła, ale być może trzeba będzie na każdego zająca wykupić licencję. Za ile, na razie nie wiadomo. Na zające polował całe życie. Nawet gdy czterdzieści pięć lat temu pojechał do Leningradu studiować chemię, wymykał się za miasto stawiać sidła.

O tym wszystkim napisał w swojej książce. I o tym, jak komuniści traktowali miejscowych. Jak „radzili” dzieciom w szkole, żeby nie mówiły po jakucku, tylko po rosyjsku. O tym, jak całe rodziny w tajdze zdane są tylko na siebie.

– Czy da się ją przewieźć przez granicę? I czy ktoś w Europie może to wydać? – konfidencjonalnie pyta Piotr Iwanowicz.

*

Któregoś ranka w domu gospodarzy zadzwonił telefon. N. znalazła mnie przez muzeum w Chatyryku. W słuchawce usłyszałem polsko-jakuckie gaworzenie Jasi:

– No chodź już do domu, tato.

No to poszedłem.

# Słownik języka jakuckiego XIII

## *Muus ustar yja*, miesiąc spływania lodu – kwiecień

W Jakucku czekało na mnie przyjemne uczucie ocalenia, jakbym uciekł z pułapki. Z wielkiego potrzasku między niebem a ziemią. Z żelaznych szczęk litosfery i stratosfery. Z przestrzeni do miejsca. Może tak właśnie czuje się wilk, któremu udało się wyrwać z kapkana.

## Pierwszy dzień miesiąca spływania lodu

W południe słupek rtęci podniósł się do zera. Potem powoli jak ślimak wspiął się o trzy kreski. Tak wygląda droga słupka. Jakuck wylazł trochę spod śniegu, a wraz z nim niewiarygodny nieporządek. Entropia w ekstremum. Okazało się, że miejsce „Jakuck” to amalgamat iłów i pyłów, konglomerat piasków aluwialnych i gliny, piasków eolicznych i lessów. Lepkie, sypkie, kleiste. Czarne, płowe, rude, a wszystkie zmieszane. *United Colors of Benetton*, głosi wielka reklama przy dworcu autobusowym.

Jedynie język jakucki zachował sztywne reguły i porządek. Sufiksy jak zawsze na miejscu. Harmonia głosek brzmi spójnie: po „o” zawsze „u”, po „a” zawsze „y” i tak dalej. Do tego stały akcent. Chowam się więc w języku, koniugacja to podstawa: *min barabyn* – ja idę, en baraghyn – ty idziesz, *kini barar* – on idzie.

Odkąd ustąpiły mgły, widać, że nieba nad miastem jakby za dużo. Uzmysławia, że Ziemia jest kulą, i drażni wypracowany z mozołem spokój, który płynie z pozostawania w miejscu przez dłuższy czas. I z tego luksusu, jakim jest całodobowy dostęp do widoku. Zatem: *min olorobun* – ja mieszkam, *en oloroghun* – ty mieszkasz, *kini oloror* – on mieszka.

## Puszkinka

Siedzę w bibliotece w oddziale cymeliów i mam przed sobą egzemplarz dzieła *Jakuty* Wacława Sieroszewskiego, wydany w Petersburgu w 1896 roku. Pod takim właśnie tytułem ukazało się w Rosji *Dwanaście lat w kraju Jakutów.* Książka powstała dzięki wsparciu Anny Iwanowny Gromowej. Ta przedsiębiorcza syberyjska kupcowa sfinansowała koszty dwuletniego pobytu i pracy Wacława w Irkucku. Pisał Sirko w pokoiku przydzielonym mu w obszernych magazynach państwa Gromowów, które po dziś dzień można oglądać na ulicy Suche Batora naprzeciw polskiego konsulatu. Dzieło poświęcił Polak pamięci Aleksandra Fiodorowicza Middendorfa, niemieckiego uczonego i podróżnika, który badał Tajmyr, studnię Szergina w Jakucku, a w latach 1844–1845 udał się w podróż przez Amgę i rzekę Uczur nad Morze Ochockie i Amur. Jak temu postawnemu mężczyźnie udało się przebyć tyle kilometrów wierzchem na reniferze, wie tylko on sam. Middendorf zmarł w roku 1894, ale Sirko zdążył otrzymać jego błogosławieństwo i zgodę, by właśnie jemu zadedykowana była największa książka o Jakutach.

Poza portretem uczonego Niemca dzieło zawiera też mapę Jakutskoj obłasti oraz blisko dwieście rysunków i zdjęć. Szkice wykonano na podstawie prac i, co ciekawe, także zdjęć Sirki. Nie wszystkie rysunki wyglądają profesjonalnie, niektóre są wręcz infantylne – to prawdopodobnie spod poprawek fachowców wyglądają niepewne pociągnięcia ręki Sieroszewskiego. Zdjęcie numer 101 jest szczególne: przedstawia dwoje Sacha, chłopca i kobietę w średnim wieku, prezentujących na progu drewnianego domu lub ambaru jakuckie sprzęty codziennego użytku. Obok podrostka leży pies. Pod fotografią widnieje podpis: „kosa *garbusza*[79], zimowe buty *sary*, siodło, koszyk, gwintówka, czaprak, nóż”. Jeśli fotografie wykonał Sirko, a we wstępie fotografie nazywa swoimi, to czyż ta nie przedstawia jego domowników? Okuliny, Botiugata i psa Ajaksa?

Zgadzałby się wiek postaci. Nie bez znaczenia jest też fakt, że siedzą na progu domu zbudowanego na modłę rosyjską, takiego, w jakim mieszkał Sirko. I że prezentują materiał etnograficzny wybrany przez fachowca. Nie widziałem jeszcze, żeby pies leżał aż tak spokojnie, kiedy fotograf celuje do niego z obiektywu. Chyba, że aparat trzyma ktoś znajomy.

I dlaczego, zapytałby autor *Światła obrazu*, tak duże znaczenie ma dla mnie to, że patrzą na mnie, a ja ich widzę?

## Sajsary

Trzy wielkie psy spały zwinięte w kłębek pod parkanem na ulicy Gogola. Chciałem je przezornie ominąć łukiem, ale zdziwiło mnie, że leżą takie przysypane pyłem i po brzuchy pogrążone w starej zaspie ni to brudu, ni to śniegu. Wyglądały jak wypchane. Widocznie zwinęły się w kłębek i przytuliły do siebie, żeby było ciepło. Dopiero z bliska zobaczyłem i poczułem, że leżą tak od miesiąca. Może dwóch. A brudna lodowa bryła, z której wystawały, jeszcze nie odmarzła do końca.

Musimy opuścić mieszkanie na Lermontowa, dlatego szukałem dziś na Sajsarach kwatery do wynajęcia. Ciasnymi uliczkami pośród setek drewnianych chałup nie łatwo się poruszać, bo między płotami stoją bajora pełne śmieci. Tu i ówdzie dryfuje przez nie psi trup. Trzeba przemykać wzdłuż płotów, po płotach i szukać dróg naokoło. W kilku miejscach przechodnie poukładali z okolicznych parkanów kładki, ale wody przybywa i wczoraj położonych mostków już dziś rano nie widać.

Przed blokiem wskazanym w ogłoszeniu wznosiła się imponująca kupa śmieci. Sięgała okna na pierwszym piętrze, zasłaniając numer domu. Długo stałem, kombinując, czy przygotował ją do załadunku jakiś buldożer, czy usypali mieszkańcy bloku, przez zimę wyrzucając śmieci „na skróty”. Wokół piramidy ganiały dwa chude psy, złe i groźne jak sprzedawczynie z naszego sklepu. Jakaś staruszka stała bezradnie po drugiej stronie ogromnej kałuży, w sumie już stawu, który rozlał się na ulicy. Za parkanem mężczyzna w sile wieku grzmocił szczotką młodą dziewczynę, a dwie kobiety usiłowały go powstrzymać. Kiedy kij szczotki pękł na grzbiecie nastolatki, pomyślałem, że brakuje tu tylko pijanego bomżyka. Zjawił się po chwili, jakby czytał w moich myślach, tyle że trzeźwy. Wychynął zza drzwi pobliskiego wychodka, przeciągając się, jakby właśnie wstał. Przed chwilą tam zaglądałem i przysiągłbym, że się nie da wejść, bo podłoga była wyłożona kupami jak terakotą. Skąd się tam wziął?

– Nie wdepnął pan w gówno? – zapytałem uprzejmie.

– Nieee. Tutaj jeszcze nie odmarzło. Cień.

– A jak pan tam spał?

– Nie spałem. Skorzystałem.

W bloku okazało się, że co prawda jest do wynajęcia trzypokojowe mieszkanie zaledwie za dwanaście tysięcy rubli (tysiąc dwieście złotych), ale właściciel chce mieszkać z nami. Do pozostania nie zachęcały też liczne pancerzyki karaluchów w pajęczynach. Rozstaliśmy się szybko, a nasze uprzejme uwagi na temat ciepłej wiosny brzmiały jakoś fałszywie.

## Słówka wiosenne

*Küügeen* – szum wody na kamieniach w potoku, ale też szmer nurtu w ogóle (a także piana). Można tak mówić również o chlupaniu efemerycznych burych strumyczków, które coraz częściej powstają w mieście. Ale rzadko kto tak powie, bo *küügeen* to słowo używane w tajdze. Na polowaniu, przy wypasie renów czy w czasie obozowania nad strumieniem, gdy szum wody sprawia, że ludzie mówią podniesionym głosem.

*Zapoj* (ros.) – stan wielodniowego chronicznego nadużywania alkoholu w różnych postaciach. Słowo na wiosnę często słyszane, już to w radiu, już to na ulicy. W gazecie mignęła mi wiadomość, że piekarnia nad Oceanem Lodowatym nie pracuje od kilku dni, ponieważ szefowa *uszła w zapoj*. Reklamy firm oferujących „wyprowadzenie z zapoju” i z „alkogolnoj *intoksykacji*” są zwiastunem wiosny – obok wron, bomża i kapania wody. Wyprowadzenie z zapoju, który może prowadzić do białej gorączki, kosztuje około sześciu tysięcy rubli, ale w godzinach nocnych cena wizyty specjalisty rośnie. Niektóre firmy oferują wyprowadzenie wraz z kodirowanijem.

*Kodirowanije* (ros.) – polega na wszyciu esperalu bądź podaniu innych substancji powodujących nieprzyjemne dolegliwości po wypiciu alkoholu. Może być niebezpieczne dla zdrowia i życia. Cena bywa dwa razy wyższa aniżeli wyprowadzenie z zapoju. Niektóre firmy oferują kodirowanije hipnozą albo za pomocą praktyk miejskich szamanów.

# Wiosna

Choć 10 kwietnia niebo było niebieskie jak jakucka flaga, z góry spadły strumienie wody, bomby mokrego śniegu i bryły lodu: zaczęły odmarzać dachy, daszki, gzymsy, parapety i sam nieboskłon. Tający śnieg zmienił topografię miasta, bo chodnikami popłynęły potoki, ulicami rzeczki, a place zamieniły się w stawy. Przechodnie pomaszerowali gęsiego – krawężnikami, łańcuchami ocalałych zasp – usiłując przejść suchą nogą. Na ulicach Bogdana Czyżyka i Feliksa Kona wciąż ktoś łapie równowagę, na Nadieżdy Krupskiej i Włodzimierza Lenina walczy z grawitacją, tańcząc to na krawężniku nad bajorem, to na lodzie. Bo późnym kwietniowym popołudniem mróz ścina kałuże, przypominając, że do pierwszych jesiennych przymrozków zostało raptem dwa – no, dobra – trzy miesiące. I rzeczywistość znowu będzie z lodu.

Omar, sprzedawca w zieleniaku, co roku musi mierzyć się z wodą, która podmywa mu blaszak. Uzbek powiada, że pierwsze zwiastuny wiosny w Jakucku to dziewczyny. „Pierwiosnki”, nie bacząc na chlapę i lodową kaszę, z ulgą zrzuciwszy reniferowe unty, zakładają modne kozaki na długich jak wiosenne sople obcasach. Baranie szuby i norkowe dublonki znikają w szafie, zastąpione kurtkami Benettona i Columbii, a zamiast uszanek z soboli i piżmaków widać modne czapeczki Reeboka, rzadziej Pumy. Niedalekie lato wieszczy też lubiana tutaj jakoś szczególnie złota nić: to w czapce, to w szaliku, poza tym cekiny, których nie powstydziłyby się tancerki z Rio, no i mini, choć na ulicy jeszcze poniżej zera. Studenci wylegają na place (znikła wreszcie lodowa polepa), zakochani mogą w końcu trzymać się za ręce (ma to sens dopiero bez rękawic) i całować na skwerach (spróbuj przy minus czterdziestu). Budzi się też przyroda: chutliwe wróble parzą się beztrosko na rachitycznych brzózkach wzdłuż prospektu Lenina, a nad akademikami uniwersytetu tokują pustułki.

Plejstoceński szron zniknął w końcu ze ścian domów, z okien i billboardów. Przy skrzyżowaniu Pojarkowa i Kuraszowa odsłonił się pomnik marynarza Siemiona Dieżniewa z jakucką żoną i dzieckiem. Jeśli spojrzeć od strony skrzyżowania, Dieżniew siedzi na tle budynku polikliniki, a nad głową dzielnego kozaka widać niemałych rozmiarów szyld: „Anonimowy gabinet lekarski. Diagnostyka i leczenie chorób wenerycznych”.

A w garażach, szopach i na balkonach tają resztki zimowych zapasów. Mieszkańcy stolicy całą zimę juczą okna torbami z mięsem, zapełniają balkony tuszami i półtuszami, combrami i uważanymi za przysmak workami mrożonych karasi. Tu sterczy krowi udziec (choć może łosi), tam wystają zajęcze słuchy, jeszcze dalej wielki jak dłoń ogon czyra bądź nelmy. Szczególnie parapety dieriewiaszek uginają się pod ciężarem worków, ba, dojrzeć tam można nawet reniferowe juki, ewenkijskie *czampuli* i *lamba*. Bardziej przedsiębiorczy wieszają za oknem skrzynki. W początkach kwietnia, gdy słońce na krótko przygrzeje, z południowych ścian sączy się krew tających ryb, kruszejących zajęcy i „dochodzących" krów. To w Jakucku, a w tundrze i tajdze odmarzają plejstoceńskie padła nosorożców włochatych i mamutów. W górach Kołymy z lodowej brei wypływają czasem nawet kopalne ryby.

Nic więc dziwnego, że dwaj tamtejsi poszukiwacze złota, o znanych już w całej republice nazwiskach Pustow i Striuk, brnąc amfibią przez rzekę Mała Filipowka, zauważyli sterczący z brzegu kudłaty kulas. Kończyna okazała się nogą nosorożca włochatego, dokładniej samicy, której ogromne ciało zapewne przez kilka tysięcy lat spoczywało nad brzegiem Małej Filipowki. Akurat kiedy odsłoniła je wezbrana woda, pojawili się dwaj awanturnicy. Pustow i Striuk, jak pisała jakucka prasa, wiedzeni chęcią łatwego zysku (nosorożec jest cenniejszy niż złoto), wykopali trupa (coś około tony) i przewieźli w sobie tylko znanym kierunku, po czym zakopali w zaspie. Ale nie wiedzieć czemu porzucili. Nosorożec odmarzł więc po raz drugi tej wiosny, tyle że poćwiartowany, w kilku workach w pobliżu drogi gdzieś pod Czerskim. Naukowcy szaleli z radości, bo nosorożec okazał się ciężarną samicą, a płód przetrwał neolit, ba, nawet operację Striukowa i Pustowa. Miło też było paniom ze sklepu kombinatu mięsnego Chotuu As (z jakuckiego „Jedzenie Północy"), w którego lodówkach przechowywano bezcenne znalezisko. Otóż brzemienną nosorożycę odnaleziono w Dzień Kobiet, 8 marca.

Stan skupienia powoli zmienia też Załog. Mieszkańcy wywożą wodę z podwórek i ulic, póki jest jeszcze mokrym śniegiem i lodem. Wynoszą, ile się da, układają w wielkie pryzmy na skrzyżowaniach i wywożą za miasto. Nad Lenę nie można, bo miejski śnieg jest tak nasycony toksynami, że mógłby zatruć rzekę. Tymczasem woda wychodzi nawet spod ziemi. To, co

topnieje, nie wsiąka, bo ziemia jest zmarznięta na kamień. Niektóre domy trzymają się jeszcze tylko dlatego, że są z odpornego na wilgoć modrzewia.

## Słówka

*Uu* – trudno o trafniejsze określenie żywiołu wody w języku, który rozróżnia kilka rodzajów rzek, stawów, a nawet rosy. Trochę onomatopeja, trochę pantomima, a trochę próba naśladowania ruchu. Cały Jakuck stoi w wodzie, dryfuje.

*Örüs* – to rzeka, ale taka wielkości Leny czy Ałdanu. Te mniejsze nazywają się *ürech*.

*Tammach* – kropla. Imię psa i najczęstszego teraz dźwięku za oknem. Na co dzień jednak synonim wypitki, *Tammach*, czyli kropelkę. W rzeczywistości spożywa się tu dwadzieścia litrów na głowę rocznie. Jak donosi portal ykt.ru, pięćset osób ginie co roku z powodu nadużycia alkoholu.

*Pieriegar* (ros.) – intensywny zapach przetrawionej wódki. Kolejny wiosenny omen, szczególnie wyczuwalny w autobusach.

*Sobutylnik* (ros.) – towarzysz przy wypitce. Ktoś, z kim zasiada się do butelki.

## *Purga*

Zawiodła ludowa mądrość głosząca, że skoro mityczny Byk Zimy od dawna jest martwy, to może być już tylko cieplej. W któryś z kwietniowych dni w samo południe pociemniało i sypnęło śniegiem jak z pierzyny. Z góry, z boku i spod ziemi uderzyła purga, śnieżna burza, bo słowo „śnieżyca” to za mało. Zdawało się, że zima czai się pod ziemią, w wiecznej zmarzlinie, a ona uderzyła z góry. W tundrze zdarza się, że purga hula kilka dni, w Jakucku wiało tylko jakieś piętnaście godzin, ale wystarczyło, żeby wrócił grudzień. Dolinę Tujmaady prawie zrównało z okolicznymi wzgórzami. Zamieciony Załog zakryło, kaszlące dieriewiaszki na Kirzawodzie zamroziło.

Na ulicach pojawiły się zaspy i wydmy. Przepadł pierwszy lęg wróbli, znikły też sikory modre i bogatki. Dima Szyszkin, robotnik drogowy, który przez siedem miesięcy baruje się z Bykiem Zimy, mówi, że zwiały Leną na południe, do Olokmy. Ale pociesza, że Bykowi starczy sił na jakieś dwa tygodnie i w Święto Pracy będzie już cieplej. Na pochód pierwszomajowy czasami i bez czapek się chodzi. W końcu kwietnia słupek rtęci w termometrze znów podniósł się ponad zero. To znaczy w południe i na jakieś dwie godziny. Bo nad ranem stoi niewzruszone minus piętnaście. Jak wytrzymują to pliszki siwe, *Motacilla alba*, trznadle, *Emberiza citrinella*, i czajki, *Vanellus vanellus*, co właśnie nadciągnęły z południa? Dzięki temu, że w nocy temperatura spada do minus dwudziestu, Iwan Kimowicz Nikołajew może jeszcze zarabiać. Iwan przewozi ludzi przez Lenę przeprawą „o okresowej formie pokrycia”, to znaczy po gołym, według słów szofera, jak dupa lodzie. Przeprawa od piętnastego kwietnia jest zamknięta, ale! Za zamkniętą uznaje się oficjalną przeprawę z podjakuckiego Darkylaachu do Biestiachu, dwupasmową, wytyczoną i monitorowaną przez administrację Jakucka. A przeprawa, z której żyje przez pół roku Wania, jego rodzina i wielu mu podobnych, oficjalnie nie istnieje. Nie ma jej w planach zarządu dróg, na mapach, milczą o niej rozporządzenia mera miasta. Nikt więc za nią nie odpowiada. Tymczasem ruch trwa tam od nowego roku aż po dzień zwycięstwa nad „hitlerowską Germanią”.

*Uu*, woda, brzmi podobnie jak lekki okrzyk zdziwienia kierowcy na Lenie, przechodnia przed wielką kałużą na placu Ordżonikidzego czy mieszkańca Załogu przed falą powodziową. *Uu* i „uuu!” słychać na ulicach Jakucka, ale przede wszystkim w dzielnicy Założnej, która co roku pływa jak śmieć po wodzie. Ponoć śniegu było w tym roku więcej niż zazwyczaj i woda może wystąpić ze starorzeczy. Jak zawsze władze zapewniają, że miasto gotowe: lód na Lenie pocięty i zaczerniony, by szybciej topniał, jakucki ZUS na *wsjakij słuczaj* będzie wypłacać emerytury z góry aż do czerwca, a system ostrzegania działa bez zarzutu. Ale Paweł Gieorgijewicz, jedyny na Załogu stolarz i rzeźbiarz, który umie odtworzyć dziewiętnastowieczne okiennice, wie swoje.

– Po czym poznać, że trzeba uciekać przed powodzią? – Kiwa siwą głową nad niewiedzą cudzoziemca. – Patrz na myszy – odpowiada sam.

Ponoć parę godzin przed przyjściem fali uciekają z obejścia do obejścia, z jednego drewnianego domku do drugiego, na skraj Tujmaady.

## Atlas miejsca

Jeszcze nie wylała Lena, kiedy ukazała się książka Pantalejmona Wasiljewicza Popowa pod tytułem *Historyczny atlas miasta Jakucka z 1917 roku*. Pantalejmonowi Wasiljewiczowi, podobnie jak jego kuzynowi Grigorijowi i bratu Wasilijowi, nie do końca było po drodze z władzą radziecką. Wszyscy byli dziećmi rodu, który od przybycia ich praszczura nad Lenę, czyli od połowy XVII wieku, służył Cerkwi, co budziło niechęć bolszewików. Grigorij zmarł w łagrach, Wasilij był zdolnym, ale zapomnianym artystą, a Pantalejmona gdzieś w latach dwudziestych minionego wieku wyrzucili z partii za napisanie ikony Jezusa Chrystusa. Jego świetny atlas gotów był już w 1957 roku, ale ukazał się dopiero teraz. Zapewne dlatego, że był pomnikiem wystawionym miastu kupców, karciarzy, duchownych, poszukiwaczy złota i utracjuszy.

Kronikarz może nie uchronił Jakucka przed zapomnieniem, ale na pewno sprawił, że przemija wolniej. Niespełna ośmiotysięczne wówczas miasto podzielił na osiemdziesiąt dziewięć kwartałów i każde obejście oznaczył literami. Niektórych gospodarzy zaledwie wspomina, innych barwnie opisuje. W kwartale dziewiętnastym, przy dawnej Policejskiej, można odnaleźć dwa domy, które często odwiedzałem zimą, a których widok uzmysłowił mi, że dawny Jakuck skreślony był tylko z linii krzywych. Opis zdradza, że należały do Innokientija Migałkina, Jakuta z ułusu Boroghon[80], który handlem dorobił się niemałego kapitału. Majątek powiększył, żeniąc się z bogatą Rosjanką. Oprócz magazynów wina Migałkin posiadał młyn i tartak parowy, stojące za budynkiem NKWD przy dzisiejszej Dzierżyńskiego. Kilka dni temu włamałem się do jego starego ambaru z nadzieją znalezienia jakiegoś skarbu, ale został tam tylko napis na belce podtrzymującej strop: I. Migałkin.

Drugi dom wynajmował Dmitrij Striełow, zarządzający kompanią handlową Kokowin i Basow, a dalej była melina z burdelem. Rządził tam sławny na cały Jakuck Stiopa, zwany Harmoszką, wespół z Saszką Ministrantem. Towarzyszyli im Jakutka Marta o ksywce Warownia i wierszokleta Pietrow. Nikt nie zna dokładnie losów i przygód tej wesołej kompanii, nikt nie potrafi wytłumaczyć, czemu Martę nazywali Warownią, ale upamiętnił ich Popow, który nie szczędził surowych charakterystyk mieszkańcom opi-

sywanych kwartałów. Kto wie, może to z powodu hulanek Harmoszki, Ministranta i Warowni żyjący po sąsiedzku kozak Jakuszkow posłał swojego syna do seminarium duchownego? Do meliny zaglądał za to z pewnością Iwan Wasiljewicz Popow, malarz i fotograf, starszy brat autora atlasu, który pomieszkiwał parę domów dalej, na tyłach monastyru. Jego domek sąsiedzi omijali z daleka, gdyż uważano, że jest nawiedzony. Nie wiadomo tylko, czy złą sławę zyskał sobie Iwan urządzaniem seansów spirytystycznych, którym towarzyszyły *stołowiercenija,* czy nieskrywanym *cztienijem pornograficzeskoj litieratury*.

Opisywany kwartał ma w atlasie kształt prostokąta, którego podstawą jest ulica Policejska, a drugim długim bokiem zaułek Monastyrski. Kronikarz nie tylko zaznaczył przy zaułku ułusną kwartirę, w której zatrzymywał się Sirko, ale podał też kilka ważnych szczegółów. Otóż gospodyni tego przybytku nazywała się Matriona Wasiljewna Niepomniaszczija-Bobuchowa. Zesłańców wabiła dużymi zapasami wódki, ale też małą biblioteką z aktualnymi gazetami. *Kwartira* stała do 1951 roku. Najdłużej przetrwały więc w tym kwartale budynki Migałkina. Także trzeci jego dom, zburzony dopiero rok temu, stojący u zbiegu zaułka Monastyrskiego i ulicy Kuraszowa. Stał na tyłach dwóch wspomnianych wcześniej. Dotychczas myślałem, że należał do organizacji Sacha Keskile, tymczasem stowarzyszenie wynajmowało go tylko od kupca. Przed wojną młoda jakucka inteligencja wystawiała tam sztuki Kułakowskiego, Ojuńskiego, Sofronowa i Nieustrojewa, póki nie zdziesiątkowały jej aresztowania i wysyłki do łagrów. Tylko kto dziś o tym pamięta?

Pośród setek nazwisk, które kronikarz przypisuje poszczególnym kwartałom, pojawiają się też polskie. I tak Edward Piekarski, autor słownika, mieszkał i pracował jako księgowy u kupca Mikołaja Borisowicza Wasiljewa w ujściu Łogu. Tuż obok, w kącie pomiędzy Łogową a Nabierieżną widnieje dom „Polaka handlarza” A. F. Kowalskiego, byłego zesłańca. Zaś w głębi miasta, u wylotu dzisiejszego prospektu Lenina z placu tegoż, stał za czasów Popowa osiemnastowieczny dom, w którym zakład fryzjerski prowadził niejaki Stanisław Świderski. Ale najciekawsza jest notatka o zesłańcu Stanisławie Stachowskim, który przed rewolucją miał dom nad jeziorem Tałym w głębi miasta. Popow nazywa go „sławnym specjalistą i propagatorem hodowli roślin”. Stachowski na dalekiej Północy hodował kwiaty.

Jego wielka oranżeria dostarczała miastu wszelkich gatunków, tuż obok założył ogród warzywny. Polak trzymał też kury i kaczki, co było w owym czasie nad Leną wielką rzadkością. Kiedy po rewolucji komuniści zamknęli mu oranżerię i zabrali ziemię, wraz z żoną Jakutką przeniósł się do balaghanu na peryferiach miasta. Tam przedsiębiorczy zesłaniec znów założył szklarnię. W latach czterdziestych wrócił do Polski.

Z planów i notatek Popowa wynika, że Stachowski miał wesołe sąsiedztwo. Z jednej strony do jego obejścia przylegała sławna niegdyś w mieście publiczna bania mieszczanina Bielenkowa, która z czasem podupadła i zamieniła się w karczmę o jednoznacznej nazwie Dno. Z drugiej strony niedaleko było do jakuckiej jurty, którą właściciel wynajmował pracującym w mieście Jakutom z ułusów. Często odbywały się tu hulanki i karciane wieczory, na których brylował jakucki szuler Kyłysyt.

## Środek. Przeobrażenie

Dzięki atlasowi Pantalejmona Wasiljewicza można opisać asymetryczny środek miasta, którego nie pamięta już żaden żyjący jakucjanin. Wyznaczały go trzy ulice wytryskujące ze wspólnego źródła gdzieś w okolicach Krużała i cerkwi Przemienienia nad Leną.

Ulica Sobrańska zaczynała się obok Krużała, a kończyła, uchodząc w dzisiejszą Ordżonikidzego, po drodze wyznaczając północno-wschodnią pierzeję obecnego placu Lenina. Tuż obok Krużała zawsze było gwarno, bo po drugiej stronie Sobrańskiej działał mały bazar, czyli pięć krytych dachem straganów z placykiem pośrodku. Dziś ulica ta nosi imię Maksima Ammosowa, a z dawnych zabudowań zostały tylko dwa murowane magazyny kupca Piotra Kusznariewa. Z małego bazaru nie przetrwało nic. Ostatnie stoiska rozebrano w 2003 roku. W magazynach Kusznariewa mieszczą się dziś sklepy, od nich z tyłu poprzecznie odchodziła ulica Połkowa, przy której mieszkał kolejny szuler i hulaka niejaki Sundulla. Do najbliższego *pitiejnego domu*, czyli wyszynku, jednego z wielu w ówczesnym Jakucku, miał zaledwie kilkaset metrów. U samego zaś zbiegu Sobrańskiej i Połkowej stał dom Iwana Gawrilewicza Wasiljewa, który żył z wynajmu domów, a z zamiłowania zbierał rękopisy i dokumenty związane z historią Jakucji. Te traktujące o jakuckim Janosiku Manczarym zaginęły po jego śmierci.

Ulica Prieobrażeńska brała swój początek przed cerkwią Prieobrażenija i sięgała aż do jeziora Tałego, po drodze wyznaczając południowo-zachodnią pierzeję dzisiejszego placu Lenina. Między Prieobrażeńską a równoległą do niej Sobrańską, na dwóch kwartałach zajętych dziś przez hotel Tygyn Darchan, jeszcze za czasów Popowa stał cenny dom z XVIII wieku, którego resztki przetrwały do lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Kolejny stary dom – kupca Wasilija Ewerstowa, który żegnał Sipowicza wyjeżdżającego z Namu – zburzono wcześniej, ale aż do 1992 przetrwał dom jego sąsiada, kupca Zacharowa, bezmyślnie rozebrany pod współczesną zabudowę. Dalej, już prawie między cerkwią a Krużałem, w kwadracie B kwartału czterdziestego pierwszego, stały dwa trzystuletnie domy należące do Anny Iwanowny Gromowej, tej samej, która finansowała prace Sieroszewskiego w Irkucku. Po domach zostało dziś tylko miejsce. Tak jak po kramach mięsnych, rozebranych w latach dziewięćdziesiątych. Gimnazjum żeńskie z początku XX wieku spłonęło w podejrzanych okolicznościach. Odbudowano je szybko: stare budynki można tylko chronić, nowe zaś wynajmować i nieźle na tym zarabiać. Ulica Prieobrażeńska to dzisiejsza ulica Kirowa.

Trzecia ulica, która biegnie ze środka do miasta, to Nikoło-Prieobrażeńska, z której został tylko zaułek Głuchy. Obszar ten Popow oznaczył numerami 43 i 44. To tu stała wówczas Solnaja Ławka, którą dziś zastępuje licha atrapa. Stały też kolejne trzy trzystuletnie domy, których nikt nie uratował. W młodszych chałupach po sąsiedzku mieściła się cerkiew staroobrzędowców i synagoga. Pod literą D w kwartale czterdziestym trzecim Popow napisał: pustka. Mógłby tym symbolem oznaczyć też wtedy cały Zielony Ług i łąki zalewowe nad Leną rozciągające się na tyłach świątyni aż po Załog i dalej na południe.

Szedłem tamtędy niedawno, skrajem Zielonego Ługu, ogłuchły od ryku samochodów, gdy widok rozdarła mi eskadra gągołów. Cztery samce i trzy samice. W *olongcho* i bajkach mowa jest o tym, że mityczne jakuckie drzewo życia przebija kolejne warstwy nieba i dociera aż do obejścia Ürüng Ajyy Tojona. Według jednych służy mu jako tron, według innych jako konowiąz. Tak czy owak to przy nim Ürüng Ajyy zbiera się wraz z sąsiadami na kilkudniowe biesiady, zakrapiane kumysem i wódką. Resztki tej uczty spadają na ziemię w postaci jaj gągoła, *Bucephala clangula*, i rozbijają się, tworząc jezioro pełne mleka albo *ilge*. *Ilge* Piekarski nazywa życiodajnym mlekiem, ale jest to zakamuflowany obraz spermy albo żeńskiej wilgoci.

Gągoł żyje nad śródleśnymi jeziorami, a gniazda zakłada w naturalnych dziuplach bądź opuszczonych gniazdach dzięcioła czarnego. Młode po wykluciu muszą czasami skakać z dużych wysokości. Jeśli to prawda, że dziuple zamieszkują też różne *iczczi*, to *Bucephala clangula* musi rywalizować z nimi o miejsce do lęgu.

Przyleciały. To znaczy, że coś gdzieś naprawdę odmarzło. Można to uznać za początek wiosny.

Wszedłem do świątyni, by zapalić z tej okazji świeczkę i spojrzeć na ikonę Przemienienia Pańskiego, ale co innego zwróciło moją uwagę. Wraz z chrztem Ruś przejęła od Bizancjum nie tylko architekturę, ale i program ikonograficzny. Zgodnie z nim nad wyjściem z cerkwi widnieć powinno przedstawienie Sądu Ostatecznego. Dzięki temu wierny, opuszczając przybytek, pamiętać miał o czekającym nań końcu. Tylko że w wizji przedstawionej w jakuckim soborze do nieba nie idą, jak to bywa zazwyczaj, biskupi i tłumy wiernych, lecz sowieccy żołnierze z czerwoną gwiazdą na hełmach. Do piekła zaś, zamiast wystraszonych grzeszników, maszerują żołnierze amerykańscy. Jeszcze jedno przeobrażenie. Karkołomna transfiguracja końca.

*

Początek i koniec plączą się, tworząc miejsce. Nie sposób o tym nie myśleć, gdy patrzy się na brnące przez wodę Leny UAZ-y i ciągnące z południa ciężarówki dalniebojszczików. Ubłocone po szyby przybyły prosto z bieli, a zimniki właśnie znikają pod ich kołami. Malutkie marszrutki raczej płyną po nich, niż jadą. Kierowcy śpieszą się, by zdążyć do miasta, zanim Lena wyleje.

## Słówka

*Rasputica* (ros.) – znaczy tyle co bezdroże. Słowo „bezdroże” nie mogło powstać w języku jakuckim, bo Jakutom jakąś drogę – czy to pieszo, konno, czy na renie – zawsze udawało się znaleźć. Czasem trzeba było zwyczajnie poczekać, by rzeka opadła, a trakt wychynął spod wody. Jednak kiedy kozacy wytyczyli stałe szlaki pocztowe, które co

roku tonęły w jesiennym i wiosennym błocie albo znikały zasypane śniegiem i lawinami, słowo *rasputica* pojawiło się też w jakuckim. Wcześniej to wiosenne zjawisko wchodziło, zdaje się, w pole znaczeniowe jakuckiego rzeczownika „przestrzeń". A może też „tajga".

*Pieriekrostok* (ros.) – skrzyżowanie. Kolejne słowo, które Jakuci pożyczyli od Rosjan. Stary Mikołaj Sochso, u którego trzy lata temu sporządzałem słownik związany z hodowlą koni, o skrzyżowaniach ścieżek w tajdze mówił „początek drogi", *suol tördö*. Drugi człon tej nazwy można przetłumaczyć jako „korzeń", „podstawa", ale także „miejsce urodzenia", czyli miejsce, w którym rodzi się droga i zaczyna podróż. Na wsiach starsi mówią więc o skrzyżowaniu nie jak o przecięciu dwóch dróg, ale jako o punkcie, z którego zaczynają się cztery kolejne. W Jakucku tymczasem mówią *pieriekrostok*.

*Chonoho* – wspaniałe słowo. Oznacza gościa, który przybył niespodziewanie i zostaje na noc. Świadczy o niezwykłej gościnności Jakutów. Słowo przez lata używane na wszystkich pięciu jakuckich traktach pocztowych, aktualne do dziś.

# Mapa

Na starej mapie szlaków pocztowych Jakutskoj obłasti guberni irkuckiej widać, że wszystkie stałe drogi pocztowe zaczynały się w Jakucku. Było ich pięć, a ich początek – Jakuck – oznaczono cerkiewką z trzema kopułkami. Szlak do Wierchojańska biegł stąd w dół Leny do Ałdanu, po czym dopływami Kele i Tulukan na Przełęcz Tulukańską, czyli granicę wododziału, jakim są Góry Wierchojańskie. Dalej już północnymi stokami Wierchojania wzdłuż rzeki Dulgalaach do Jany i Wierchojańska. Wierchojańsk oznaczono małym chramem zaledwie z jedną kopułką. Wygląda nawet jak czasownia.

Szlak nazywano wierchojańsko-kołymskim, bo tędy szła poczta, ale i zesłańcy na Kołymę. Do Średniekołymska trzeba było jechać jeszcze dobry miesiąc, czasem dwa, ale lepiej tędy niż krótszą drogą przez przełom Ałdanu i niebezpieczne doliny Gór Rzeki Głębokiej. Zatem z Wierchojańska szlak odbijał na wschód, nad Indygirkę, którymś z jej zachodnich dopływów. Wschodnie zaś prowadziły już do zlewni samej Kołymy. Szlak z Jakucka przez Wierchojańsk na Kołymę w czasach Sirki liczył dwa tysiące dwieście kilometrów. Sieroszewski przebył go dwukrotnie. Po raz pierwszy kiedy jechał na zesłanie do Wierchojańska, skąd za próbę ucieczki wysłano go do Średniekołymska. Po raz drugi, kiedy wracał do Jakucka, by przenieść się nad Ałdan.

Z Jakucka do Ałdanu szlak wierchojańsko-kołymski prowadził przez ziemie Jakutów, a potem przez góry będące terytoriami łowieckimi Ewenów. Z Jany nad Indygirkę i Kołymę przez łowiska jukagirskie, zasiedlane coraz gęściej przez Jakutów. Tajgową drogą z Jakucka do Wierchojańska do niedawna jeździli jeszcze dalniebojszczycy. Porzucili ją z powodu licznych pustolodów i braku ludzkich osiedli. Ponoć pęcherze lodowe na tamtejszych rzekach są tak głębokie, że mogą skryć ciężarówkę. Szlak był uczęszczany jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych, dziś chodzą nim niedźwiedzie, rosomaki i myśliwi.

Nie mniej trudny do przebycia był Trakt Ochocki z Jakucka nad Morze Ochockie. Prowadził na wschód, przeprawami po szerokiej jak Wisła Amdze i kilkukrotnie szerszym Ałdanie, dopływami tego ostatniego przez góry Wielkiej Przeszkody i Siettie-Daban. Góry zaczynały się tuż za Ałdanem, potem zaś rzeką Ałłach Juń trzeba było przedostać się na Chandę, a z biegiem Chandy nad brzeg wartkiej Judomy. Stał tam krzyż, który pozwalał odnaleźć się w przestrzeni gór rozległych jak Karpaty. Czy stoi do dziś, nikt nie potrafi powiedzieć. Od Judomskiego Krzyża karawany szły południowymi okrainami Ojmiakonu nad rzekę Urak, która wiodła już nad Morze Ochockie. Pieszo, konno i na renach pokonywać trzeba ją było przez miesiąc. Ostatnia karawana przeszła tamtędy w latach dwudziestych minionego wieku[81]. Na odcinku z Jakucka do Ałdanu urządzono aż trzynaście stacji, od Ałdanu do Ochocka początkowo tylko dwie, z czasem ich liczba urosła do kilkunastu. Coś więc przecież musiało zostać z zabudowań pocztowych stanic. Szczególnie w górach.

W 1852 roku drogę do Ochocka oficjalnie zamknięto, bo powstał trakt do Ajanu, drugiego portu na Morzu Ochockim. Trakt Ajański liczył tylko dwieście cztery wiorsty górskiej drogi, co oznaczało, że poczta z Jakucka nad Pacyfik szła dziesięć dni, czyli nawet pięć razy krócej niż szlakiem ochockim. Karawany koni i renów zmierzały z Jakucka nad Amgę, dalej strumieniem Nuotara do Ałdanu i rzeki Maja, by jej brzegami zbliżyć się do gór Dżugdżur. W górach niektóre odcinki traktu wykładano płytami, te niebezpieczne miały nawet barierki. Podróżnych aż nad sam brzeg morza wyprowadzała z wyżyn dolina malowniczej rzeczki Ałdoma. Znaczenie tej drogi zmalało szybciej niż Traktu Ochockiego. Amur okazał się rzeką żeglowną i towary z Chin i Japonii w głąb kontynentu można było dostarczać wodą. Z traktu korzystano rzadko, ale wiele z ponad stu jakuckich rodzin osiedlonych wzdłuż niego dla obsługi podróżnych zostało w tajdze do dziś. Dobrze byłoby kiedyś przejść tą starą drogą, zobaczyć, co zostaje, kiedy szlaku nikt nie używa.

Na zachód wiódł Trakt Wilujski, służący tylko Jakutom i kozakom. Cudzoziemcy i ekspedycje naukowe zaglądali tu rzadko. Wiódł przez upstrzoną jeziorami tajgę, z rzadka zamieszkaną przez Jakutów. „Na zachód” to za dużo powiedziane – prowadził po prostu nad rzekę Wiluj i utykał w Wilujsku, jakieś siedemset pięćdziesiąt kilometrów od Jakucka. Tamtędy w 1854 roku udał się jeden z nielicznych badaczy Wiluja – wspomniany Richard

Karlowicz Maak. Jeśli już planować wycieczkę nad Wiluj, koniecznie z książką będącą owocem jego podróży.

Najważniejsza droga prowadziła na południe. Tudzież z południa. Jednak z drogą w jej potocznym znaczeniu miała niewiele wspólnego. Była raczej trudno przejezdną nadrzeczną ścieżką. Biegła krawędzią Leny, raz kamienistym brzegiem, raz urwiskami, poprzez ujścia licznych rzek i strumieni, bez mostów, za to z dobrze znanymi brodami. Często – jak pozostałe trakty – przypominała przesiekę w lesie. Nic dziwnego, że latem podróżni woleli do Jakucka płynąć łodziami bądź na barkach. Droga powrotna w górę rzeki była jednak uciążliwa i kosztowna – łodzie trzeba było ciągnąć z brzegu. Zimą gościniec często schodził z lądu na lód Leny, gdzie wypoczęte trojki pędziły przez biel jak szalone.

W początkach XVII wieku stacji pocztowych między Jakuckiem a Irkuckiem było zaledwie kilkanaście, dwieście lat później już około sześćdziesięciu. Dawało to możliwość zmiany koni i odpoczynku nawet co dwadzieścia pięć wiorst, choć w czasach gdy jechał tędy na zesłanie Sirko, zdarzały się pięćdziesięciokilometrowe odcinki bez ani jednej wsi. Sieć pocztową Rosjanie przejęli od Tatarów, toteż stacje nazywano z tatarska jamami, od słowa *jamczy* – goniec, pocztowy. Mieszkańców przytraktowych wsi nazywano zaś jamszczykami. Ich obowiązkiem było trzymanie kilku par koni, sań i łódek niezbędnych do podróżnej sztafety.

Wiele ze starych wsi jamszczyków jeszcze stoi, zachowały się w nich budynki sprzed lat. Dziś traktem z Jakucka dojechać można do Mochsogollo-ocha, czyli posiołka, gdzie Lena skręca powoli na zachód. Zimą samochód dotrze trochę dalej, do Olokmińska, czyli ujścia ewenkijskiej rzeki Olokmy. Dalej lądem nie przejedzie ani samochód, ani konny wóz. A stara droga zasługuje przecież na to, żeby ktoś ją przebył od początku do końca. Nie licząc tych, którzy spływają Leną, nikt nie robił tego od dobrych siedemdziesięciu lat.

## Słówka wędrowne

*Öjüö* – prowiant zabierany w podróż. Pieszą, konną bądź samochodową. Ma kilka innych wariantów (chociażby tattańskie *üte*), ale najważniejsze, że jest to słowo niezagrożone zapomnieniem, bo używane do

dziś. Potrzebują go wszyscy podróżujący między Kołymą a Olokmińskiem, między Mirnym a Ojmiakonem, między ujściem Leny w Tiksi a jej górnym biegiem w okolicach Leńska. Usłyszeć je można nawet w samolocie do Moskwy.

*Erkeeji* – nacięcie na drzewie pozostawione przez przewodnika, za którym idzie karawana, bądź przez myśliwego prowadzącego rodzinę. Tajgowy drogowskaz. Poza Jakuckiem słowo ważne i żywe do dziś.

*Olootoo* – patrzeć w dal. Ale nie tak zwyczajnie, jak w czasownikach „spoglądać" czy „widzieć", ale właśnie w dal. „Zarzucając nieco głowę do tyłu; patrzeć uważnie i czujnie, powoli, kręcąc głową i prowadząc wzrok z lewa na prawo". Pytam N., czy patrząc na mapę, też mogę powiedzieć *olootuubun*? Mówi, że jak najbardziej.

# Epilog. Archeologia widoku

Wasilij Wasiljewicz Popow sobie tylko znanym sposobem z krajobrazu jakuckiej tajgi wyłuskuje miejsca, w których przed wiekami żyli ludzie. Odnajduje tam średniowieczne grobowce bogatych tojonów, tajemnicze drewniane sarkofagi szamanów i rytualne miejsca pochówku koni, krów i psów. Doświadczony archeolog od razu potwierdził, że warto poszukać czegoś na wzgórzu za wsią Appany, gdzie przez sześć lat mieszkał Sieroszewski. Pan Wacław wyjeżdżał na syberyjski etap w roku 1880 jako carski więzień i zdekonspirowany rewolucjonista. Po dwunastu latach wracał w aureoli znanego literata i etnografa. Dyrektor Muzeum Krajoznawczego w Jakucku pożyczył łopaty i samochód, gmina Appany dała zgodę na wykopaliska, a czerwiec parę słonecznych dni. Kopać chcieliśmy już w maju, ale nie pozwoliła wieczna zmarzlina.

W okolice dzisiejszego Appany przybył Sirko w roku 1886, po sześcioletnim pobycie na Północy. O przenosinach do ułusu Nam, jednego z niewielu miejsc w Jakucji, gdzie dojrzewa zboże, marzył każdy zesłaniec. Sirko miał nadzieję, że przestanie tu głodować i łatwiej mu będzie wychowywać pięcioletnią córeczkę. Gdy topniały śniegi, siał, żął i kosił, gdy nastawały chłody, czytał, robił atrament i wsłuchiwał się w opowieści jakuckiej gosposi. Wtedy powstała powieść *Na kraju lasów* i dojrzewało *Dwanaście lat w kraju Jakutów*. Miejsce po skromnym trojaku, na który składał się domek pisarza, kuchnia-balaghan i obórka, już znaliśmy. Teraz można mu się było przyjrzeć i sprawdzić, czy w zakamarkach widoku nie przetrwały materialne ślady opowieści Sirki.

Pył zalegał pod trawą od wieku, toteż wzbił się spod łopat i skalpu zdartej darni jak jakiś bury *cumulus*. Kiedyś gryzł w oczy mieszkańców domku i jurty, zbierał się na półkach z książkami i zasypywał odciski stóp na ścieżkach. Dziewiętnastowieczny kurz, ni to gaz, ni ciało stałe, jeszcze jeden po-

średni, niejasny stan skupienia obok błota i mgły. To dobrze. Ekshumacja czasu powinna się odbywać na granicy jawy i snu.

Blacha. Wasilij Wasiljewicz znalazł ją w kuchni. Już po trzecim machnięciu łopatą wyciągnął z darni zwój bogato zdobionej miedzianej blachy: *yngyyr sireje*, dosłownie „twarz siodła”, czyli okucie przedniego łęku. Sieroszewskiego? A może Botiugata, jego pomocnika? Po wyjeździe Sirki z Jakucji w 1892 roku w obejściu została tylko Okulina i ślepa Ketris z synkiem. Kto mieszkał na wzgórzu przez następne lata, nie wiadomo. W kącie kuchni towarzysz i kierowca Wasiljewicza Sania odkopał spory odłamek ręcznie lepionego naczynia z XIX wieku. Trafiły się też fragmenty starej patelni i kotła podobne do tych, które można zobaczyć w każdym jakuckim muzeum, kawałki szlaki i stopionego szkliwa, ozdobne naczynie z kory brzozowej. Mnie wpadły w ręce kamienne ciężarki od sieci, spławiki i świetnie zachowane łuski okonia. Cudem wygrzebana rozsypująca się już drumla. Ani śladu glinianego pieca, przy którym, według wspomnień Sirki, krzątała się gosposia.

Okulina Czalbach Kyyha, Jakutka z naslegu Chatyng Aryy. Przez sześć lat pomagała pisarzowi wychowywać Manię i prowadziła mu gospodarstwo. Dzięki niej Sirko mógł usłyszeć i zrozumieć wiele nieznanych mu podań i przysłów jakuckich: nie tylko je opowiadała, ale jako że mówiła „całkiem znośnie” po rosyjsku, tłumaczyła mu też trudne starojakuckie słowa (Edward Piekarski dopiero składał swój wokabularz). Pisarz miło ją wspomina i nazywa „wierną towarzyszką i pomocnicą”. W *Słowniku podróżników polskich* Wacława i Tadeusza Słabczyńskich mowa jest o niejakiej Arinie Czełba Kyyha, która miała być żoną Sirki. Jego jedyną żoną na Syberii była jednak poznana w Wierchojańsku Anna Slepcowa (Anczyk), matka Mani. Historycy się pomylili.

Kości. Wasilija i Sańkę, którzy brali razem udział w niejednych wykopaliskach, zdziwiła znikoma liczba kości w obejściu. Badacz powtarzał, że w jakuckich domostwach walały się zazwyczaj po klepisku i wokół pieca, ale w kuchni Okuliny panował widać „europejski” porządek.

Stare przedmioty pojawiały się z rzadka i niechętnie, liche resztki dawnych całości, które już ledwo, ledwo zwiastowały minione życie: ucichłe rozmowy, skończone gesty, wywietrzałe zapachy. Fragmenty filiżanek, tajemnicze szkiełka, grubaśne dna butelek, skrawki skór. Wypatrzyły tę padlinę kanie czarne, syberyjskie sępy, nachalnie zawisające tuż nad wzgórzem

i przypatrujące się pracy. Wystarczyłoby wyjść na chwilę z tych stu rozbabranych lat, żeby rzuciły się w dół i porwały jeden z ochłapów przeszłości.

Kręgi wołu i kopytko źrebaka. Wasilij mówi, że tym zazwyczaj bawiły się jakuckie dzieci. Mała Mania dokazywała pewnie z synkiem Ketris, może więc Sania trafił na porzucone zabawki?

Nóż. Spadł z pieca w izbie Sirki i utknął w szczelinie podłogi, której tu już dawno nie ma. Brzęknął o deski jakieś sto dziesięć lat temu, może jeszcze za Rozienowa, może już za Sieroszewskiego. Jest zupełnie zużyty, zostało z niego wąskie ostrze, takie samo, jakie osadzone w kawałku brzozowego drewna noszą za pasem mężczyźni w tutejszych wsiach. Spadł, a może ktoś go tam wcisnął? Jeszcze przed wojną ludzie w tych stronach, zraniwszy się ostrą klingą, karmili ją obficie tłuszczem i chowali na jakiś czas. Może wetknęła go tu Okulina, posmarowawszy ofiarną omastą, i zapomniała? A kołchoźnicy rozbierający dom Sirki nawet go nie zauważyli? Po latach zgrzytnął pod łopatą, oznajmiając, że minął wiek.

O życiu na wzgórzu pisze pan Wacław w *Pamiętnikach*, ale mówi też o nim opowiadanie *Jak Gryf Mostowski budował młyn*. Fabułę oparł Sieroszewski na własnych przygodach, toteż czytając uważnie, można odkryć fakty z jego życia dotychczas nieznane. Pisarza łatwo rozpoznać w postaci Gryfa Mostowskiego, który tak jak Sirko mieszka w ułusie Nam, na wzgórzu przy jeziorze, a za sąsiadów ma Polaków Barańskiego i Heffdinga (czyli Kornela Bagrynowskiego i Franza Cobla). W *Pamiętnikach* wspomina tylko, że ci dwaj próbowali uciec łodzią po Lenie i że ich złapano. W opowiadaniu można zaś przeczytać, jak gorączkowo naradzali się z Sieroszewskim i jak planowali ucieczkę. Spiskowcy chcieli, by pan Wacław przewodniczył ich wyprawie Leną i przez Ocean Lodowaty do Ameryki, przecież sam pięć lat wcześniej próbował uciekać tą drogą z Wierchojańska. Sirko się nie zgodził – jego wyrok dobiegał końca i chciał wracać do Polski.

Nikt z piszących o Sieroszewskim i polskiej zsyłce na Syberii nie wspomina o wielkim ogrodzie, który założył pisarz, i o „uroczystości polskiego barszczu”, na którą zapraszał wszystkich zesłańców politycznych z całego okręgu. Na wiecznej zmarzlinie udawały mu się nie tylko buraki (z nasion przysłanych z Polski), ale i melony, którymi Gryf Mostowski zadziwiał gości. Te jesienne uczty odbywały się pod gołym niebem, gdyż domek zesłańca był tak mały, że z trudem mieściło się tam dwoje ludzi.

Kąt izby. Trudno uwierzyć, że przed laty było tu najprzytulniejsze miejsce w chałupie, a teraz jest przestrzeń, przebiega tędy nawet polna droga. Engsieli latami znosiła cierpliwie uwierający ją węgieł domu, aż rozpuściła jego zachodnią i południową ścianę. Dolina powiększyła się o izbę pisarza. Zachował się tylko modrzewiowo-brzozowy widok, który miał z dwu okien. To tu stał zapewne stół, przy którym pisał *Na kraju lasów*, wspominał Chajlacha, *Jesień* i W matni. Na stalówki nie ma co liczyć, tych raczej nie gubił, używał też piór gęsich. Ale może chociaż okruchy lustra? Tego, które stało na stole i w które zerkał raz po raz, opisując reakcje i mimikę bohaterów. Budynek rozebrano wraz z drewnianą podłogą. Ocaleć mogło tylko to, co wpadło w szczeliny, jak ten nóż.

Gwóźdź. Znalazł go w drugim dniu prac Siergiej Konstantynowicz, jeszcze jeden towarzysz licznych ekspedycji Wasilija Wasiljewicza. Spoczywał na głębokości łopaty obok fragmentu miedzianego okucia jakieś półtora metra od pieca. Ręcznie kuty, dokładnie taki sam jak te, które można znaleźć w dziewiętnastowiecznych chatach sąsiedniej wsi Chatyng Aryy. Jego regularny haczykowaty kształt nie zwrócił uwagi archeologów, więc chcieli go wyrzucić. Tymczasem był to haczyk na ryby zrobiony z gwoździa. Sirko wspomina, że podczas pobytu w Wierchojańsku uczył się łowić na haczyki od Jana Zaborowskiego, a nad Ałdanem wiosną 1885 roku zrobił ich sobie dwadzieścia. Haczyk. Jeszcze z pięćdziesiąt lat i połknęłaby go Engsieli. Przepadłby w jej ogromnych trzewiach jak domek Sirki.

Siergiej Konstantynowicz Kołodieżnikow, znamienity jakucki archeolog krajobrazu, przybył na wzgórze drugiego dnia wykopalisk. O jego znajomości kultury materialnej Jakutów krążą nad Leną legendy. Ledwo się zjawił, a jak gdyby dla rozgrzewki wydostał spod darni kawałek dziwnej deski, i orzekł, że to fragment burty ciężarówki ZiŁ sprzed czterdziestu lat. Potem obszedł wzgórze, połączył niewidzialnymi liniami niecki oraz górki i wyczarował prostokąt szerokiego zagonu, który kiedyś orał Sieroszewski. Rzeczywiście: jakby ktoś potężnym a szczerbatym szpadlem zdjął nadmiar ziemi z pagóra w tym miejscu.

Wasilija Wasiljewicza niepokoi fakt, że na wzgórzu brak śladów jeszcze jednej jurty. Pan Wacław wybudował przecież obok swojego domku duży jakucki balaghan, po którym jakoś ani śladu. Siergiej tłumaczy jednak, że mógł stać w miejscu, gdzie później umieszczono kołchozowy trak albo przy zjeździe na łąki, teraz szeroko zniwelowanym przez spychacz. Tajemnicy

nie wyjaśniają wspomnienia najstarszych mieszkańców, ani trochę światła nie rzuca też na nią ciężki złamany świecznik znaleziony trzeciego, ostatniego dnia poszukiwań. Tylko sędziwy Siemion Siemionowicz Gawrilew wspomina jak przez mgłę, że kiedy w latach kolektywizacji rozproszone po całej dolinie rodziny zaczęto zganiać i osiedlać we wsi-kołchozie Appany, rozbierano i przenoszono z tajgi stare balaghany, ambary, chotony, pewnie więc także zabudowania Sieroszewskiego. Potem stawiano je na nowo gdzieś w kołchozie, często na modłę rosyjską, nie dbając o ozdoby, zniszczone i zdekompletowane. A co zostało w tajdze, zgniło, spróchniało i utleniło się.

Najtrwalsza więc architektura w dolinie Engsieli to stare groby, mogiły i krzyże. Jakuci budowali je zazwyczaj przy traktach, bo jeśli zostałyby w tajdze, w pobliżu wiekowych domostw, nikt nie przeczytałby tabliczki z nazwiskiem, nikt by się o czyjejś malutkiej śmierci nie dowiedział. Bo kogo można tam dziś spotkać? Najwyżej puszczyka na czubku starego krzyża.

# Bibliografia


Afanasiew P. S. [red], *Sacha tyłyn byhaaryylaach kyłgas tyldżyta*, Dżokuuskaj 1994

Afanasiew P. S., Charitonow L. N. [red.], *Russko-jakutskij słowar*, Moskwa 1968

Akimow A. K. [red.], *Gorod Jakutsk. Istorija, kultura, folklor*, Jakutsk 2007

Aleksiejew N. A., *Tradicjonnyje rieligioznyje wierownija jakutow w XIX – naczale XX w*., Nowosybirsk 1975

Anikin A. E. i in., *Iz istorii russkich słow,* Moskwa 1993

Anisimow A., *Wierzenia ludów Północy*, Warszawa 1971

Anisimow W. M. [red.], *Sachałyy taba surujuu tyldżyta*, Dżokuuskaj 2002

Armon W., *Polscy badacze kultury Jakutów,* Wrocław 1977

Arżakowa M. M., *Jakutskije skazki*, Jakutsk 1990

Aszczepkow E. A., *Russkoje narodnoje zodczestwo w wostocznoj Sibiri*, Moskwa 1952

Babuszkin S. M. [red.], *Buriatsko-russkij, russko-buriatskij słowar*, Ułan-Ude 2004

Baszarin G. P., *Istorija agrarnych otnoszenij w Jakutii*, Jakutsk 2003

Bołdyriew B. W., *Russko-ewienkijskij słowar,* Nowosybirsk 1994

Borisow A. A., *Wzaimnootnoszenija rossijskogo gosudarstwa i jakutskogo obszczestwa w XVII wieke*, w: Iwanow W. N. [red.], *Jakutija – forpost oswojenia siewiero-wostoka Sibiri, Dalnogo Wostoka i russkoj Amieryki* (*XVII–XX wieka*), Jakutsk 2004

Boryś W., *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2006

Brawina R. I., *Koncepcija żyzni i smierti w kulturie etnosa*, Nowosybirsk 2005

Brawina R. I., Popow W. W., *Pogriebalno-pominalnaja obrjadnost Jakutow: pamjatniki i tradicii* (*XV–XIX ww.*), Nowosybirsk 2008

Derlicki J., Lipiński W. [red.], *Pierwsze narody. Społeczności rdzenne i idea tubylczości we współczesnym świecie*, Warszawa 2002
Dieriewianko A. P. [red.], *Ewienkijskije gieroiczeskije skazania*, Nowosybirsk 1990
Dieriewianko A. P. [red.], *Jakutskij gieroiczeskij epos „Moguczij Er Soghotoch"*, Nowosybirsk 1996
Dieriewianko A. P. [red.], *Priedanija, legiendy i mify Sacha* (*jakutow*), Nowosybirsk 1995
Dybo A. W., *Lingwisticzeskije kontakty rannich Tjurkow. Leksiczeskij fond*, Moskwa 2007
Eliade M., *Szamanizm i archaiczne techniki ekstazy*, Warszawa 1994
Ergis G. U., *Oczerki po jakutskomu folkloru*, Jakutsk 2008
*Etnograficzieskij sbornik Russkogo Impieratorskogo Gieograficzeskogo Obszczestwa*, t. 6, 1864
Gabyszewa L. L., *Obraz tieła: Siemantika i funkcji* (*na materiale jakutskogo jazyka i kultury*), w: Fiodorowa J. G. [red.], *Kulturnoje nasledije narodow Sibiri i Siewiera. Materiały IV Sybirskich Cztienij 12–14 oktjabrja 1998 g.*, Sankt-Pietierburg 2000
Gogolew A. I., *Istorija Jakutii*, Jakutsk 2006
Iłłarionow W. W., *Jakutskoje skazitielstwo i problemy wozrożdienija olongcho*, Nowosybirsk 2006
Iwanow N. M., *Mongolizmy w toponimii Jakutii*, Jakutsk 2001
Iwanow W. S., *Ekologija tokkoolommut tyldżyta*, Dżokuuskaj 2001
*Jakutija. Priroda, istorija, etnografia, sowriemiennost. Istoriko-gieograficzeskij atłas*, Moskwa 2007
Jawłowskij. P. P, *Letopis goroda Jakutska ot osnowanija jego do nastojaszczego wriemieni*, t. 2, 1801–1914, Jakutsk 2004
Jemieljanow N. W., Jefriemow P. J., *Jakutskije narodnyje piesni*, Jakutsk 1977
Kałużyński S., *Iacutica. Prace jakutoznawcze*, Warszawa 1995
Kałużyński S., *Religie Azji Centralnej i Syberii*, w: Poniatowski Z. [red.], *Zarys dziejów religii*, Warszawa 1964
Keptuke G., W. Robbek, *Tungusskij archaiczeskij epos*, Jakutsk 2001
Kon F., *Na posielenii*, Moskwa 1933
Kośko M. M., *Mitologia ludów Syberii*, Warszawa 1990
Kuczyński A., *Ludy dalekie a bliskie*, Wrocław 1989

Kuczyński A. [red.], *Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś*, Wrocław 2001
Lipiński W., *Ludzie tundry. Tożsamość i granice etniczne na północy Syberii*, Warszawa 2011
Łukawski Z., *Historia Syberii*, Wrocław 1981
Makarow I. G., *Widy ssyłki i prawowoje położenije ssylnych w doriewolucjonnoj Rossiji*, w: Fiodorow W. I. [red.], *Istoriczeskije issledowanija w Riespublikie Sacha* (*Jakutija*)*: poiski i problemy*, Jakutsk 1999
Myrjejewa A. N. [red], *Skazania wostochnych Ewienkow*, Jakutsk 2004
Myrjejewa A. N., *Ewienkijsko-russkij słowar*, Nowosybirsk 2004
Nowicka E. [red.], *Wielka Syberia Małych Narodów*, Kraków 2000
Nowicka E., Wyszyński R., *Lamowie i sekretarze*, Warszawa 1996
Nowik E., *Szamanizm syberyjski*, Kraków 1993
Okładnikow A. P. [red.], *Istorija Sibiri*, t. 1–5, Leningrad 1968–1969
Opołownikow A. W., Opołownikowa E. A., *Dieriewo i garmonija*, Moskwa 1998
Opołownikow A. W., Opołownikowa E. A., *Izbiannaja liturgija. Kniga o russkoj izbe*, Krań 2001
Piekarskij E. K., *Słowar jakutskogo jazyka*, Sankt-Pietierburg 2008
Piermiłowskaja A. B., *Kriestianskij dom w kulturie russkogo siewiera* (*XIX – naczało XX wieka*), Archangielsk 2005
Pietrow P. P., *O niekotorych faktach strojenia Jakutskogo ostroga*, w: Iwanow W. N. [red.], *Lenskij ostrog i oswojenie siewiero-wostoka Azji*, Jakutsk 2002
Popow A. A., *Kamłanija szamanow*, Nowosybirsk 2008
Popow G. A., *Soczinienija*, t. 3, Istorija goroda Jakutska 1632–1917, Jakutsk 2005
Popow G. A., *Soczinienija*, t. 4, *Proszłoje Jakutii*, Jakutsk 2009
Popow P. W., *Istoriko-graficzeskij atłas goroda Jakutska w 1917 g.*, Jakutsk 2009
Potapow L. P. [red], *Istorija Jakutskoj ASSR*, t. 1–3, Moskwa–Lieningrad 1955–1963
*Rabstwo w Sibiri*, w: *Sobranije soczinienij S. S. Saszkowa*, t. 2, Sankt-Pietierburg 1898
Sidorow B. I., *Znajetie li wy ptic Jakutii?*, Jakutsk 2005
Sieroszewski W., *Dwanaście lat w kraju Jakutów*, cz. 1 i 2, Kraków 1961
Sieroszewski W., *Jakuty*, Sankt-Pietierburg 1896

Sieroszewski W., *Nowele*, t. 1–4, Kraków 1961
Sieroszewski W., *Pamiętniki. Wspomnienia*, Kraków 1959
Sjulbe Bagdaryn, *Toponimika Jakutii*, Jakutsk 2004
Slepcow P. A. [red], *Jakutsko-russkij frazieologiczieskij słowar. Tom I i II*, Nowosybirsk 2002
Slepcow P. A. [red.], *Tołkowyj słowar jakutskogo jazyka*, Nowosybirsk 2004
Slepcow P. A.[red.], *Jakutsko-russkij słowar*, Moskwa 1972
*Studia Etymologica Cracoviensia*, vol. 2, Kraków 1997
Szczukin N., *Pojezdka w Jakutsk*, Sankt-Pietierburg 1844
Szirokobokowa N. N., *Otnoszenije jakutskogo jazyka k tjurkskim jazykam jużnoj Sibiri*, Nowosybirsk 2005
Szynkiewicz S., *Herosi tajgi*, Warszawa 1984
Śliwowska W., *Ucieczki z Sybiru*, Warszawa 2005
Tieniszew E. R., Dybo A. W. [red.], *Srawnitielno-istoriczeskaja grammatika tiurkskich jazykow*. *Pratjurkskij jazyk-osnowa. Kartina mira pratjurkskogo etnosa po dannym jazyka*, Moskwa 2006
Tieniszew E. R., *Srawnitielno-istoriczieskaja grammatika tjurkskich jazykow*. *Regionalnyje riekonstrukcji*, Moskwa 2002
Tryjarski E., *Zwyczaje pogrzebowe ludów tureckich na tle ich wierzeń*, Warszawa 1991
Tulisow J., *Legendy ludów Mandżurii*, Warszawa 1997–1998
Tulisow J., *Ludy starożytnej Syberii*, Warszawa 2008
Wasiljew N. I., *Istorija Jakutii*, Jakutsk 2004
Woronikin M. S., *Sacha tüölbe tyłyn tyldżyta. Dialektologiczeskij słowar jazyka sacha*, Nowosybirsk 1995
*Wzaimnootnoszienije ewienkijskogo i jakutskogo jazykow*, Lieningrad 1975

I wiele, wiele innych.

# Podziękowania

Dziękuję Jasi, Stasiowi i Nucie za wyrozumiałość i cierpliwość.

Mamie i siostrze za wsparcie. Wiele razy udzielili mi go także Lucynka i Michał Przybyszowie, Zubi i Monika Zubkowiczowie.

Jakuckiego nauczył mnie wspaniały profesor Stiepan Kołodieżnikow, doktor Jegor Antonow zaś opowiadał o historii Jakucji i tłusto karmił w chude tygodnie. Wiele jakuckich i ewenkijskich słów zapisałem od Dużego Żeni, pasterza reniferów z gór Udokan.

W zawiłościach języka Sacha pomogli mi także profesor Anna Dybo i doktor Csaba Mészáros.

Do pisania zachęcało mnie wiele osób, ale pan Leszek Będkowski i pani Grażyna Musiałek z „Polityki” zrobili to w niezwykle przekonywający sposób.

Pierwszą, jakże cierpliwą czytelniczką, była Ola Górska.

W całym przedsięwzięciu szczególny udział wzięli: dyrektor Jan Malicki, profesor Jane Curry, profesor Ewa Nowicka i dr hab. Jerzy Tulisow. Nie mogę zapomnieć o Kubie Osieckim, Wojtku Konończuku, Arturasie Rudym i Wojtku Tworkowskim. Grażynę Szymańską, Michała Pendrackiego i Wojtka Lipińskiego serdecznie pozdrawiam.

Wdzięczny jestem wszystkim jakuckim, ewenkijskim i eweńskim przyjaciołom, u których wielokrotnie znajdowałem nocleg. Także rosyjskim dalniebojszczykom, którzy podwozili mnie na trasie Jakuck–Magadan.

[1] Słowo *jaka* we współczesnym jakuckim przyjęło brzmienie *sacha* i tak właśnie nazywają siebie Jakuci.
[2] *Posiołek* (ros.) – charakterystyczna dla Rosji jednostka administracji terytorialnej, odpowiadająca skupisku większemu niż wieś, ale mniejszemu niż miasto.
[3] *Ułus* (jak.) – odpowiednik polskiego województwa.
[4] *Saraj* (ros.) – szopa.
[5] Jakucjanie to wszyscy, także niejakuccy obywatele Jakucji, jakucjanie zaś to mieszkańcy Jakucka.
[6] *Dalniebojszczik* (ros.) – kierowca ciężarówki.
[7] *Jaranga* (ros. z czukockiego) – duży namiot w kształcie ściętego stożka kryty skórami renów bądź morsów, budowany przez mieszkańców tundry północno-wschodniej Rosji.
[8] *Purga* (ros.) – silny wiatr północno-wschodni z zamiecią śnieżną.
[9] *Wriemienszczik* (ros.) – gastarbeiter, od *wriemia* (ros.) – okres, czas.
[10] *Bomż* (ros.) – bezdomny.
[11] *Urkagan* (ros.) – w gwarze złodziejskiej więzień kryminalista.
[12] „Chór” w języku łagrowym to określenie gwałtu zbiorowego, inaczej *kołchoz*.
[13] W slangu łagrowym więzień kryminalista, który przystał na współpracę z administracją, na przykład pełnił niższe funkcje obozowe.
[14] Carska danina w naturze ściągana od ludów Północy, z początku płacona futrami, z czasem pieniędzmi oraz bydłem.
[15] Tujmaada – nazwa doliny zalewowej, w której leżą Jakuck i pobliskie wsie.
[16] *Tojon* (jak.) – dostojnik, bogacz, wódz, dziś ważny urzędnik.
[17] *Palma* (jak.) – długi nóż osadzony na drewnianym trzonku.
[18] Historyczna nazwa Jakucka.
[19] Obróbka kamienia na Syberii prawdopodobnie przetrwała aż do XIX wieku.
[20] *Bilir* (jak.) – słowo oznaczające zlanie się dwóch rzek, węzeł.
[21] *Wochrowiec* (ros.) – pracownik Wochry, *Wojenizirowanoj Ochrany*, czyli zbrojnej straży obozowej.
[22] *Błatnyj* (ros.) – jedno z określeń więźnia kryminalisty.
[23] Jakuci i Sybiracy Syberią nazywają obszary pomiędzy Uralem a jeziorem Bajkał. W odróżnieniu od Europejczyków, którzy Syberią zwą także Jakucję, Zabajkale, daleki wschód Rosji, a nawet Czukotkę.
[24] *Choton* (jak.) – niskie obórki budowane podobnie jak balaghany.
[25] *Nalicznik* (ros.) – dekoracyjne obramowanie odrzwi bądź framug.
[26] Wieloboczna bądź cylindryczna podbudowa pod kopułą, inaczej bęben.

[27] Jakucja długo była tylko ujazdem albo najwyżej województwem podległym bezpośrednio Tobolskowi lub (najdłużej) Irkuckowi. W wieku XIX powołano do istnienia Jakutskuju obłast′ (obwód jakucki) guberni wschodniosyberyjskiej, ale jakuckiego generał-gubernatora nazywano cywilnym i wciąż podlegał on irkuckiej administracji. Dopiero stalinowska republika z 1922 roku dała Jakucji autonomię.

[28] Bajanaj – *iczczi* tajgi, gospodarz polowania i wszelkich leśnych pożytków. Uwielbiał słuchać opowiadań.

[29] *Urasa* (jak.) – letni szałas w postaci stożka, kryty korą brzozy bądź modrzewia, skórami, czasem ziemią.

[30] *Köskö kelbit dżon* (jak.) – ludzie przybyli na zesłanie.

[31] *Wołok* (ros.) – szeroki szlak łączący rzeki, po którym przeciągano łodzie, by móc kontynuować spływ. Jeszcze jeden rodzaj drogi na Syberii.

[32] W skrócie KPD, stąd popularne określenie „kapiedieszka”.

[33] „Gdzie trumna, tam i pluskwa”.

[34] „Lód zejdzie i wszystkie zabierze”.

[35] *Czołobitnaja* (ros.) – meldunki, w których atamani zdawali relację z postępów kolonizacji.

[36] *Yraaxtaaghy* (jak.) – car.

[37] *Bootur* (jak.) – wojownik, bohater.

[38] *Ambar* (ros.) – spichlerz, ale też bunkier i schron.

[39] *Czełdon* (ros.) – chłop sybirski, także przybysz rosyjski w Syberii, włóczęga.

[40] Jedna wiorsta to 1070 metrów.

[41] Być może stąd wziął się zwyczaj, powszechny tak wśród Rosjan, jak i Jakutów, by drewniany balaghan nazywać też jurtą.

[42] *Küörczech* (jak.) – bita śmietana z poziomkami i pieczonym rano chlebem.

[43] Dosł. „przestępca państwowy”. Tym mianem władze carskie określały zesłańców, aktualne także w Gułagu.

[44] *Błatnaja fienia* (ros.) – język kryminalistów i złodziei.

[45] Czyli tak, że belki poszczególnych wieńców u zbiegu ścian wystają poza lico budynku, tworząc koziołek.

[46] Tylko w początku lat trzydziestych na Wyspy Sołowieckie wysłano około trzystu Jakutów. Trzech uciekło, pozostali zmarli bądź zginęli z rąk władzy radzieckiej.

[47] Już po zakończeniu prac nad książką udało się ustalić, że po rozstaniu z ojcem Marią Sieroszewską zaopiekowała się Maria Bykowa, założycielka szkoły-sierocińca w Soczi, a potem Walentyna Siemionowna Sierowa, matka znanego malarza Walentyna Sierowa. Maria mieszkała w domu Sierowów w Moskwie, gdzie zmarła w 1964 roku. Pochowana została na cmentarzu Nowodziewiczym razem z Walentyną Siemionowną i jej rodziną.

[48] *Alkasz* (ros.) – pijak, moczymorda.

[49] Nowy Rok obchodzony według starego kalendarza.

[50] Ministerstwo Spraw Wyjątkowych (Ministierstwo Czriezwyczajnych Situacji).

[51] Tak nazywa się liczne w Jakucku samochody sprowadzane z Japonii z kierownicą po prawej stronie.

[52] *Bielasz* (ros.) – „pączek” nadziewany mięsem, smażony w oleju. *Czeburiek* (ros.) – wielki pieróg, także z mięsem, ale z cienkiego ciasta.

[53] Szczukin pisze o ulicy Nikolskiej, ale nie widział jej dobrze. Widział za to Bolszą, i to w pełnej krasie.

[54] „Lamą” nazywali je żyjący nad jego brzegiem i w Górach Wierchojańskich Eweni. Stąd inna nazwa Ewenów: Lamuci.

[55] Jakucka organizacja kulturalno-oświatowa, w latach dwudziestych minionego wieku zlikwidowana przez bolszewików.

[56] Obwód jakucki dzielił się wówczas na kilka okręgów: wierchojański, kołymski, wilujski, olokmiński i jakucki (stołeczny).

[57] W latach 1642–1660 nad Lenę zesłano około dwustu sześćdziesięciu więźniów. Byli to przede wszystkim Polacy i Litwini, uczestnicy wojny z Moskwą (1654–1667), a także Szwedzi i Niemcy.

[58] Rosyjska Komunistyczna Partia (bolszewików).

[59] Komitet Bezpieczeństwa Publicznego (Komitiet Obszczestwiennoj Biezopasnosti).

[60] Tak pisze Anne Applebaum w książce *Gułag*. U Sołżenicyna w *Jednym dniu Iwana Denisowicza* Szuchow czeka na minus czterdzieści jeden stopni jak na zbawienie od pracy.

[61] *Szatun* (ros.) – chory i niebezpieczny niedźwiedź, który nie zapadł w sen zimowy bądź zbudził się zimą.

[62] *Yhyach* (jak.) – święto obfitości i przywitania lata, na którym składano ofiarę z kumysu.

[63] Kamłanie – praktyki szamańskie prowadzące do ekstazy: taniec, śpiew, gra na bębnie.

[64] *Zdorowyj Obraz Żyzni* (Zdrowy Tryb Życia) – prohibicja obowiązująca na obszarach, gdzie administracja walczy jeszcze z alkoholizmem.

[65] *Tajożnik* (ros.) – człowiek, który żyje i pracuje w tajdze.

[66] W łagrach prycze montowane wzdłuż ścian.

[67] Parking. Place często są okrągłe jak pięć rubli i stąd nazwa.

[68] Szybko recytowane wierszyki pełne trudnych słów, z ros. *skorogoworki*.

[69] *Nucifraga caryocatactes* – ptak z rodziny krukowatych wielkości kawki.

[70] „Oto nasi wrogowie, seminarzyści, złodzieje!”

[71] *Tojuk* (jak.) – pieśń.

[72] *Algys* (jak.) – błogosławieństwo.

[73] Profesor Stanisław Kałużyński, ałtaista, językoznawca i wybitny jakutolog, uważał, że liczba wyrazów nieznanego pochodzenia wraz z rozwojem badań będzie malała na rzecz wyrazów turkijskich i mongolskich.

[74] Jakuci zwracają się do starszych kobiet „*emeechsin*” co można przetłumaczyć „starucha”, „staruszka”. Zwrot używany w bajkach i na ulicy.

[75] Rodzaj kuszy montowanej na ścieżce, którą często chodzą zwierzęta. Samostrzały, niewidoczne, zakładali też walczący ze sobą szamani. Ponoć do dziś natykają się na nie ludzie, dlatego co jakiś czas ktoś nie wraca z tajgi.

[76] *Kapkan* (ros.) – potrzask sprężynowy.

[77] *Buran* (ros.) – skuter śnieżny.

[78] Pióra sowy układające się w specyficzną „twarz” ptaka. Zwykle ubarwione inaczej niż reszta upierzenia.

[79] Prymitywna kosa o krótkim stylisku.
[80] Dziś *ułus* ustʹ-ałdański na Zarzeczu.
[81] Kupcy używali go jeszcze w XX wieku.